

# *Mifosna kapitulacija*

*W serii Romans Historyczny polecamy  
najnowsze powieści bestsellerowych autorek*

JULIE ANNE LONG  
Wydarzenie pewnej nocy

*oraz*

GRACE BURROWES  
Miłość barona

TESSA DARE  
Dama o północy

SHANA GALEN  
Rubiny dla rozpustnika  
Książęta wołą szafiry

ELOISA JAMES  
Wieża miłości

NICOLE JORDAN  
Tajniki uwodzenia  
Spisek serc

SARAH MACLEAN  
Uwodziciel bez szans

MARY JO PUTNEY  
Nie taki święty

AMANDA QUICK  
Ogród kłamstw  
Wynajęta narzeczona  
Rzeka tajemnic  
Kolory zmierzchu

JULIA QUINN  
Sekrety małżeństwa  
Miłosne tajemnice

JULIE ANNE  
LONG

*Miłosna kapitulacja*

Przekład  
Magdalena Ufland



Korekta  
Renata Kuk  
Magdalena Stachowicz

Projekt graficzny okładki  
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcia na okładce  
© Peter Zelei/iStock

Tytuł oryginału  
Between the Devil and Ian Eversea

Copyright © 2014 by Julie Anne Long  
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana  
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu  
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition  
Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Druk  
Drukarnia ReadMe

ISBN 978-83-241-5870-6

Warszawa 2016. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysienki 58  
tel. 620 40 13, 620 81 62

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

# 1

**J**eśli niewinność miałaaby kolor, byłby to splukany deszczem, srebrzysty błękit oczu panny Titanii Danforth.

Jej plecy dostojnie opierały się o stylowe XVIII-wieczne krzesło, dłonie spoczywały spokojnie na kolanach, a biała, muślinowa suknia była nieskazitelna niczym szata anioła. Titania byłaby uosobieniem spokoju, gdyby nie rzęsy. Były czarne, zachwycająco gęste i bardzo ruchliwe. Poruszały się w górę. I w dół. I znów w górę. I znów w dół. Gdyby tylko mogła wytrzymać przenikliwe spojrzenie księcia Falconbridge...

Jak dziewczica sącząca dżin, pomyślał szyderczo książę.

Nawet mężczyźni czuli się zakłopotani w jego towarzystwie. To właśnie wychodziło księciu doskonale – uprawianie ludzi w zakłopotanie.

Dwie godziny wcześniej towarzysza panny Danforth, słusznych kształtów kobieta w średnim wieku, zatrudniona na potrzeby morskiej podróży do Anglii, dostarczyła swoją podopieczną z niemal tuzinem waliz. I z nieco ironicznym: „Życzę dużo szczęścia, Wasza Książęca Mość”, pospiesznie zniknęła. Nie pożegnała się wylewnie z panną Danforth. Lecz długie rejsy potrafiły nawet świętemu zszarpać nerwy, a poufałość łatwo

mogła prowadzić do pogardy. Kiedy zobaczył córkę kuzyna, był pewien, że nie potrzebowała szczęścia. Jej nienaganne wychowanie można było wyczuć w każdym słowie. Głos miała przyjemny i cichy, a wypowiedzi precyzyjne, choć bezbarwne.

Za to olśniewała urodą.

Popołudniowe światło, jakby potwierdzając jego wnioski, wlało się przez okno i utworzyło poświatę nad jej jasnymi włosami. Równie dobrze mogłyby mieć cholerną aureolę.

Musiał jednak przyznać, że chowane pod kloszem niewiasty irytowały go. Nigdy nie wiedział, o czym z nimi rozmawiać. Wystawiały na próbę jego cierpliwość. Ale teraz, przez niemal zapomnianą obietnicę, którą złożył wiele lat temu, przyszłość tej konkretnej chowanej pod kloszem niewiasty była w jego rękach.

Przez obietnicę, którą jego kuzyn uznał za stosowne umieścić w testamencie.

Żona dyskretnie musnęła go kolanem, co powstrzymało go przed głośnym westchnieniem, mruknięciem pod nosem i innymi reakcjami, do których miał skłonność. Przez chwilę rozmyślał nad licznymi cudownymi rzeczami, które mogła mu komunikować dotknięciem kolana. Tak go dobrze znała i kochała i miał niezwykle szczęście, więc mógł zachować się szlachetnie, kiedy piękna, wyjątkowo życzliwa młoda kobieta siedząca u jego boku była jego. Z Genevieve nigdy się nie nudził. W końcu jako Eversea nie miała najmniejszych szans, aby być nudziarą.

Na szczęście wystarczająco się naoburzał, gdy dwa miesiące temu otrzymał zwięzły, nieco niepokojący list od prawnika panny Danforth.

– Wiem, że podróż z Ameryki może być... – powiedziała pogodnie Genevieve.

Zamilkła, gdy w drzwiach stanęło dwóch lokajów. Kolana im się trzęsły pod ciężarem wazonu z przepięknymi kwiatami z cieplarni.

– Dla Olivii? – powiedziała Genevieve niemal z rezygnacją.

– Tak, proszę pani.

– Na kominku powinno znaleźć się trochę miejsca.

Lokaje przeszli przez pokój i cicho postępując, podnieśli wazon.

Panna Danforth z żywym zainteresowaniem obserwowała ich poczynania.

Długie łodygi kwiatów wciąż drgały po wyjściu mężczyzn.

– Mówiłam – kontynuowała Genevieve – że wiem, jak męcząca może być podróż statkiem, ale morskie powietrze pani służy. Wygląda pani promiennie, panno Danforth. Cóż za radość poznać tak piękną kuzynkę!

Panna Danforth oblała się rumieńcem.

– Jest pani bardzo miła. Na szczęście podróż upłynęła spokojnie. Mniemam, że pochodzę z wytrzymałej rodziny.

Gdy ponownie podniosła rzęsy, jej oczy były przejrzyste. Miała w sobie tyle wytrzymałości co dmuchawiec. Na tę widoczną próbę przypodobania się lekko się uśmiechnęła.

– Oczywiście, panno Danforth, nasza rodzina przeżywała wiele trudności

– ...aaaaannnnnnnnn...!

Odwrocił głowę. Wysoki, niewyraźny i jakże podejrany dźwięk wypełnił pokój. Nie można było określić

kierunku, skąd pochodził. Natęzał się i cichł niemal jak bzyczenie latającego komara.

Spojrzał na żonę, którą z zaskoczenia ściągnęła brwi.

Natomiast panna Danforth pozostała niewzruszona. Poza lekkim wyprostowaniem pleców nie dała po sobie poznać, że cokolwiek usłyszała. Jej oczy płonęły ciekawością. Może u mężczyzn w jego wieku – skończył właśnie czterdzieści lat – tiki i drgawki były naturalne. Była przegotowana na wyrozumiałość.

– Państwa dom jest wyjątkowo piękny – powiedziała. – I wytworny.

– Cieszymy się, że pani tak myśli – odparła pogodnie Genevieve. – Spędziłam tu wspaniałe dzieciństwo. Falconbridge chce, żebyśmy kupili kolejny dom w okolicy, abyśmy mogli mieszkać przy mojej rodzinie przynajmniej przez część roku. Ale nie mogę się doczekać, aż pokażę pani całą posiadłość! Choć jestem pewna, że w porównaniu z Ameryką wyda się pani monotonna.

Śmiech panny Danforth zabrzmiał donośnie.

– Zaryzykuję stwierdzenie, że Ameryka nie jest tak ekscytująca, jak może się pani wydawać, ale z pewnością jest inna niż Anglia. I proszę mówić do mnie Tansy! Przyjaciele tak się do mnie zwracają.

Genevieve i książkę zastygli. W jej manierach była nuta amerykańskiej swobody, takiej, którą człowiek czuje, gdy leniwie rozsiada się na fotelu, nie mając komu zaimponować. Książkę uśmiechnął się lekko.

– Z przyjemnością przedstawimy cię naszym przyjaciołom, Tansy – oświadczyła jego żona. – Nowy Jork musi być ekscytujący, lecz tutaj też przyjemnie spędzamy czas! Lubisz tańczyć? Zaplanowaliśmy dla ciebie wiele wspaniałych atrakcji.



– No cóż... obawiam się, że ostatnio raczej podpie-  
ram ściany. Moje życie było nieco... – odchrząknęła –  
...spokojne przez ostatni rok.

Spuściła wzrok i na chwilę zapanowało milczenie.  
Wiedzieli, co ma na myśli. Jej rodzice zginęli w wypad-  
ku powozu ponad rok temu, a starszy brat na wojnie  
brytyjsko-amerykańskiej, przez co panna Danforth zo-  
stała sama na świecie. Poza księciem, oczywiście, który  
był odpowiedzialny za wydanie jej za mąż za kandy-  
data godnego jej majątku, który zostanie jej przekaza-  
ny w całości po ślubie. Jej przyszłość była zasadniczo  
w rękach księcia.

Tak zdecydował jej ojciec w swoim testamencie.

Jego kuzyn ulotnił się z Sussex i wyjechał do Ame-  
ryki, kiedy siedząca przed nim dziewczyna miała zale-  
dwie osiem lat. Księżę wierzył, że kiedyś ponownie go  
zobaczy, ponieważ byli sobie bliscy, a bliskich przyja-  
ciół nie miał wielu.

– ...aaaaaannnnnforth...!

Jasna cholera. Znów ten dźwięk. Taki niepokojący,  
prawie upiorny, aż włosy na karku prawie stanęły mu  
dęba. Znów odwrócił głowę. Lecz zanim spojrzał w kie-  
runku okna, z lekki poczuciem winy zdołał zauważyć  
zainteresowanie w oczach panny Danforth.

Zmrużył oczy i wbił w nią wzrok.

Nadał się uśmiechała. Dłonie wciąż miała oparte  
o kolana. dzielnie znosiła jego spojrzenie.

– Może owca wpadła do rowu? – zasugerowała Ge-  
nevieve, gdy zaległo milczenie. – Biedactwo.

– ...ocham panią...!

Tym razem można było rozpoznać głos.

Głos mężczyzny.

– Mo... może to wiatr? – Panna Danforth starała się prowadzić swobodną rozmowę i prawie, choć niezupełnie, jej się to udało. „Wiatr” zabrzmiał bardziej jak pisk niż konkretne słowo.

Panna Danforth poruszyła się nerwowo, kiedy księżę raptownie wstał.

– Panie pozwolą, sprawdzę, co się dzieje. – Trzema krokami przemierzył pokój. Otworzył okno, a mocny wiatr wysoko uniósł zasłony, niczym łotr wymachujący czapką.

Księżę wyjrzał na zewnątrz. Na trawie, poniżej okna, klęczał mężczyzna. Dłonie miał złączone w uniwersalnym błagalnym geście, a głowę odrzuconą tak mocno do tyłu, że jego usta przypominały mały, ciemny otwór. I z tego właśnie otworu wydobywały się udęczone jęki.

– Panno Daaaaaanfoooooorth! Kooooocham panią! Proszę tylko o rozmowę, błaagam! Niechże mnie pani nie opuszcza!

Księżę przez chwilę przyglądał się tej żalösnej scenie. A następnie odwrócił się bardzo powoli i spojrzał na milczącą i zaskoczoną pannę Danforth.

Milczał tak długo, że kiedy uniósł brwi pytająco, drgnęła.

– Czy rozpoznaje pani ten głos, panno Danforth? Odchrząknęła.

– O... chyba. Brzmi jak pan Lucchessi. Był pasażerem na statku i obawiam się, że mógł zapłonąć do mnie... – jej twarz nabrała koloru – ...uczuciem, którego nie odwzajemniłam, mimo iż dołożyłam wszelkich starań, aby moje zachowanie było uprzejme i stosowne. Musiał... musiał śledzić mnie, odkąd zesłam ze statku.

Pewnie to wina jej amerykańskiej otwartości. Choć Lucchessi nie krzyczał: „Tansy!”.

– ...prooooooszęeeee... – żałosny jęk wpłynął do pokoju.

– Jest Włochem – dodała panna Danforth, gdy nadal zalegało milczenie.

– Ach – powiedziała ze zrozumieniem Genevieve, jakby to wszystko wyjaśniało.

Panna Danforth posłała jej pełne wdzięczności spojrzenie.

– Takie rzeczy się zdarzają – zapewniła Genevieve, na co jej mąż uniósł brwi. – Oczywiście nie mnie – pośpiesznie dodała. – Ale mojej siostrze, Olivii... widziałas kwiaty. – Machnęła ręką w kierunku kominka. – Mężczyźni zawsze rzucają się do jej stóp. Stale wysyłają jej kwiaty. Robią żenujące zakłady u White’a o to, kiedy weźmie ślub i...

Zamilkła, kiedy zobaczyła niedowierzanie na twarzy swojego męża.

– Ostrożnie, kochanie – powiedział. – Zaczynasz brzmieć, jakbyś to aprobowała.

Uśmiechnęła się, na co też posłał jej uśmiech. To była jedna z tych krótkich chwil, kiedy cały świat wokół nich zniknął.

Głos panny Danforth przerwał im tę chwilę.

– Najmocniej przepraszam. Za tak uprzejme powitanie odpłacam problemami! – Panna Danforth wyrzuciła ręce w górę. – Nigdy bym nie marzyła... to znaczy nigdy bym nie przypuszczała, że może przyjechać tu za mną! Jestem zbulwersowana, że...

Księżę uniósł dłoń.

– Panno Danforth, życzy sobie pani rozmówić się z panem Lucchessim?

Pokręciła głową tak energicznie, że blond loki uderzyły o jej policzki niczym pejcze.

– Czy życzy sobie pani, abym to ja rozmówił się z panem Lucchessim?

– Nie! To znaczy, wołałabym, żeby księżę tego nie robił... Po prostu chciałabym, żeby on sobie poszedł. – Znow spuściła głowę i zamilkła.

Westchnął. Matko Boska, ta dziewczyna stanowiła zagrożenie dla samej siebie. Im szybciej znajdzie dla niej męża, tym lepiej. To powinno być dosyć łatwe, ale do tego czasu musi trzymać ją z dala od tarapatów. To też nie powinno stanowić kłopotu. Inteligentni uwodziciele bali się księcia Falconbridge, a głupich łatwo się pozbyć.

Jednak pewnego uwodziciela trzeba będzie osobiście przestrzec.

Księżę zwrócił się do swojej żony.

– Moja droga... – powiedział leniwie – ...zakładam, że twój brat przebywa obecnie w Pennyroyal Green?

Nie musiała pytać, o którego brata mu chodzi.

Ian Eversea przeturlał się na bok i otworzył oko. Na szczęście obudził się, zanim prześladujący go sen dał mu popalić, więc teraz miał dobry humor.

Jak zawsze po tym śnie, wyprostował nogi i przeciągnął się. Był wdzięczny, że wciąż oddycha, wdzięczny, że ma wszystkie kończyny. Nie mówiąc o innych przydatnych częściach ciała.

Westchnął z zadowoleniem i otworzył drugie oko.

Przez okno dostrzegł idealny półksiężyc i kilka gwiazd. Był wieczór.

Co oznaczało, że powinien szybko się ulotnić albo przerwie swój rekord niepozostawania na całą noc.

Potań ucho.

– Dziwne – mruknął.

– Co jest dziwne, *mon cher*? – odezwał się zaspany głos z francuskim akcentem. Kobieta leżąca obok niego była kolejnym powodem radosnego nastroju.

– Ucho mnie swędzi.

Monique oparła się na łokciu i spojrzała na niego spod kasztanowych włosów. W tej pozycji ścisnęła duże, piękne piersi, przypominając mu o przyjemności płynącej z zanurzania głowy między nimi. Ach, i co teraz ma zrobić?

– Co się mówi, gdy ucho swędzi...? Ktoś musi cię obgadywać. – Musnęła palcem jego ucho.

– Zawsze – mruknął z zadowoleniem i wziął Monique w swoje ramiona, żeby kontynuować miłosny maraton – ktoś o mnie myśli.

## 2

**B**iedny Giancarlo.

Dochodziła północ i Tansy nie mogła zasnąć. Przesunęła przesadnie kolorowy bukiet – miała wrażenie, że kwiaty znajdują się w każdym zakamarku tego domu, najwyraźniej dzięki Olivii Eversea – dominujący na małym stoliczku przy oknie.

Stanęła na skraju małego balkonu, gdzie przywitała ją gwiazdzista noc Sussex. Próbowwała wyobrazić sobie

klęczącego mężczyznę tam w dole, na trawniku. Z okna na trzecim piętrze byłby zapewne jedynie drobnym pyłkiem. Matko Boska, co to była za okropna chwila – siedziała nieruchomo, uśmiechając się do księżnej i księcia jak wariatka, podczas gdy w jej głowie kołatały słowa: jasna cholera, jasna cholera, jasna cholera, gdy już zrozumiała, co się dzieje. Nigdy nie marzyła o tym, że mógłby pojechać za nią po zejściu na ląd, a co dopiero pojawić się pod oknem księcia Falconbridge, krzycząc: „Niechże mnie pani nie opuszcza”. Skąd się tego nauczył? Był pociągający nie tylko dzięki rozmazonym brązowym oczom, ale głównie ze względu na melodyjnie szeptane włoskie słówka (które o dziwo rozumiała), uroczo wtrącane do wypowiedzi. Musiał czytywać poezję w obcych językach lub inne nonsensy, kiedy nie uwodził jej na pokładzie. Nie spodziewała się, że czytanie poezji może doprowadzić do czegoś tak niemiłego.

Książę Falconbridge jedynie uniósł brew i – puf! – Giancarlo jakimś cudem rozplynął się w powietrzu. Zapewniono ją, że już nigdy nie będzie musiała się nim martwić, a książę i księżna (głównie księżna) przeszli do rozmowy o innych wydarzeniach i osobach – o wielu osobach, członkach rodziny – o których wypowiadali się niezwykle czule. Nie wypytywano jej o związek z panem Lucchessim, ponieważ książę był pewien, że zakończył ten temat.

Istotnie pyłek. Tym właśnie dla księcia był Giancarlo.

Książę. Podejrzewała, że on częściej unosił brwi niż większość mężczyzn. Naturalnie był uprzejmy, serdeczny, ale nieco... sztywny. Jakby obojętny na jej próby oczarowania go. Po rozmowie czuła się zmęczona, jakby

przez godzinę próbowała wspiąć się po śliskiej ścianie, tylko po to, żeby raz po raz się zsuwać. Prawdopodobnie najlepszym wyjściem było kiwać głową i zgadzać się z nim. Jej ojciec zdawał sobie sprawę, co robił, kiedy powierzył księciu Falconbridge jej przyszłość.

Domyślała się, że księżę mógł uchodzić za przystojnego mężczyznę, ale musiał mieć co najmniej czterdzieści lat. Niebawem, biorąc pod uwagę, że jego żona była bardzo atrakcyjna i tylko odrobinę starsza od niej, a Tansy liczyła dwadzieścia wiosen.

Przypomniła sobie wymianę spojrzeń między nimi.

Jej rodzice też tak na siebie patrzyli. Zawsze miała wrażenie, że spojrzenia te są niczym uchylone drzwi do świata, do którego nigdy nie zostanie zaproszona.

Bardzo kochała rodziców i była przez nich kochana. Wiedziała o tym. Ale doskonale знаła swoje miejsce.

Podejrzewała, że dla księcia także była pyłkiem. Zwykłym problemem, który należy przekazać innemu mężczyźnie, którego problemem się wtedy stanie. Przypominało to przekazywanie pałeczki w odwiecznej sztafecie.

Niech i tak będzie. Objęła się ramionami i lekko zadrżała w oczekiwaniu na przyszłość. Chciała wziąć ślub. Wyobrażała sobie, co powiedzieliby jej przyjaciele z Nowego Jorku, gdyby została księżną czegoś tam lub hrabiną jakąś tam. A kto, jak nie księżę, mógł znaleźć dla niej księcia na męża?

Z pewnością nigdy więcej nie zobaczy Giancarla.

Przez chwilę poczuła ukłucie żalu. Nigdy się nie spodziewała, że to wszystko skończy się takim nieczystym... crescendo. Zaczęło się od wymiany spojrzeń –

przelotnych i uporczywych, ukradkowych i otwartych. Potem, na próbę, udała, że poślizgnęła się na pokładzie przed nim, akurat wtedy gdy przechodził; ścisnęła jego ramię, gdy pomagał jej wstać. Wyjąkała podziękowania, stojąc odrobinę za blisko, a jego źrenice mocno się rozszerzyły.

To bliskie spotkanie przerodziło się w zaproszenie do spaceru na pokładzie statku.

Znała na tyle włoski, żeby wiedzieć, że Giancarlo (jego biceps napiął się pod jej uściskiem, gdy niby przypadkiem po raz pierwszy namiętnie wyszeptała jego imię – Giancarlo – jak ponownie pomógł jej wstać) mówił rzeczy, których dżentelmen nie powinien mówić damie. Były to rzeczy zuchwałe, porywające, często zaskakujące.

Chciał ją pocałować. Jej usta były jak śliwki, mówił. Jej usta były jak róże. Jej pośladki były jak brzoskwinie. Jej skóra była jak lilia. W swoich komplementach nie szczędził nawiązań do flory i fauny. Pragnął też robić z nią inne rzeczy niż tylko całować. Żałowała, że nie zna potocznej włoszczyzny. Chociaż, jak sądziła, odebrała dobrą edukację.

Nawet zastanawiała się, czy nie pozwolić mu na zrobienie jednej lub dwóch rzeczy, na które wyraził chęć. A z każdym kolejnym dniem na statku usta jej towarzyszek, pani Gorham, zaciskały się coraz bardziej, a przekleństwa wypowiedane pod nosem stawały się coraz mocniejsze. Lecz Tansy nie mogła się pohamować. Była mistrzynią flirtu i przez zdecydowanie zbyt długi czas odmawiała sobie okazji do ćwiczenia swoich umiejętności, których szczyt przypadł na okres, gdy powóz bez woźnicy stoczył się ze wzgórze.



Prawdopodobnie statek w odpowiednim momencie dobił do brzegu.

Odważyła się wyjść na mały balkon i spojrzała na angielskie niebo, ale nie mogła odnaleźć konstelacji, której szukała. Choć wiedziała, że to nedorzeczne, właśnie przez jej brak czuła się osamotniona, jakby bez celu wędrowała po niebie niczym puch dmuchawca – nieistotny, skazany na wieczną tułaczkę.

Gdzieś tam w spowitym ciemnością hrabstwie Sussex znajdował się kiedyś dom, który z całego serca kochała, gdy była dzieckiem. Lilymont. Jej ojciec go sprzedał, zanim wyjechał z rodziną do Ameryki. Zastanawiała się, kto dziś był jego właścicielem. Jej dom w Nowym Jorku też sprzedano, zgodnie z testamentem ojca, i mimo że tęskniła za nim, odczuwała także dziwną ulgę. Po śmierci rodziców niemal wszystko, niegdyś znajome i ukochane – od mebli po kwiaty w ogrodzie – zaczęło być obce, nawet nieco złowieszcze, niczym rekwizyty w opuszczonym teatrze.

Potrzebowała własnego miejsca. A nie będzie miała domu, prawdziwego domu, dopóki nie weźmie ślubu.

Cisza zdawała się przepiękna napięciem, jakie zapada po strzelaninie, a ciemność nie była tą ciemnością, która zalegała w gęstym lesie na skraju posiadłości w Nowym Jorku. Nawet gwiazdy wyglądały obco po tej stronie Atlantyku. Przypomniała sobie, że w Anglii używają innych nazw konstelacji. Pamiętała jedną czy dwie różnice. Reszty nie była pewna, ale to nie tak, że brytyjskiego angielskiego musiała się uczyć jak włoskiego.

Jedyne, czego była pewna, to tego, że nie lubi ciemności i ciszy, i samotności.

Sięgnęła po peniuar. Wsunęła w niego ramiona i zawiązała kokardę pod szyją. Na stopy założyła satynowe pantofelki, wzięła zapaloną lampę i na paluszkach zeszała po długich marmurowych schodach.

Nie znając otoczenia, poruszała się jak we śnie, co jej się podobało. Miała wrażenie, że nic złego nie może się stać. Nikt się nie pojawi, żadne potwory, smoki, księżęta czy duchy. Niemal pragnęła, żeby coś się zjawilo, po prostu dla zabawy. Już dawno przestała się bać.

Instynktownie trafiła do kuchni, jakby była sercem domu i podążyła do niej, słysząc jej bicie. Znajdzie kawałek chleba, może filiżankę czegoś ciepłego. Umiała znaleźć się w kuchni na tyle, żeby nastawić czajnik.

Na kuchennym stole, jakżeby inaczej, stał wazon z kwiatami, które wędły od ciepła. Na miłość boską! Pokręciła głową. Nie tak dawno temu to ona kolekcjonowała bukiety, podobnie jak wielbiciele.

Przy kominku chrapał chłopiec, wierząc się i mrużąc przez sen. Domyśliła się, że miał za zadanie obracać wielki udziec, żeby się nie przypalił. Języki ognia zbliżały się do niego. Przypali się.

– Psst – szepnęła.

Zerwał się, przez chwilę wymachując kończynami niczym przewrócony pająk, i przetał oczy pięściami.

– O matko! Prawie się zsiąłem. Przestraszyłaś mnie, pani.

– Przepraszam.

Przez chwilę się w nią wpatrywał.

– Jesteś aniołem? – spytał niemal oskarżycielsko.

– Daleko mi do anioła.

– Spałem?

– Tak.

– W takim razie jesteś aniołem, pani, bo dzięki tobie nie przypiekleć udźca.

Cicho się zaśmiała. Miał w sobie jakąś ledwie tłumioną figlarność – co przypominało jej brata, który był ulubieńcem wszystkich.

– Domyślam się, że byłeś zmęczony. Jeśli obrócisz mięso, nic się nie stanie. Nazywam się panna Danforth i jestem gościem tego domu. Miałam ochotę na małą przekąskę i...

– Jordy! Czy słyszałam jakieś rozmowy?

Tym razem i chłopiec, i Tansy się zerwali. Głos należał do niskiej kobiety, która wyglądała jak miękki bochenek rosnącego chleba. Loki koloru rdzy wystawały spod jej nocnego czepka i kołysały się na czole. Najwyraźniej śpieszyła się do kuchni.

– Och, toż to pewnikiem panienka Danforth. – Dygnęła, chwytając białą, marszczoną szatę. – Margaret deWitt, do usług. Kucharka.

– Panna Danforth; tak. Miło mi panią poznać, pani deWitt. Przykro mi, że panią niepokoję. Po prostu naszła mnie ochota na małą przekąskę i...

Pani deWitt rozpromieniła się na te słowa. Żyła, aby zaspokajać głód i pomstować na młodzież.

– Niech panienka siada, a ja przygotowuję coś na ząb. Chucherko z panienki. Było trzeba zadzwonić, przyniosłabym jedzenie.

Była pocziwa. Tansy od razu to wyczuła. Jej twarz i głos należały do kobiety, która zna i lubi swoje miejsce. Miała ochotę przysunąć się do niej jak kwiat do słońca. Jej uprzejmość wydawała się miłsza niż wyszukane powitanie ze strony księcia i księżnej.

– Nie mogłabym zadzwonić. Nie chciałam przeszkadzać, a dom był taki cichy i spokojny, i...

– Żaden problem się obudzić. Niektórzy z nas nie śpią głęboko. Są jak myszy, tak właśnie powiadam. Wstydź się, Jordy. Żeby tak kłopotać panienkę!

Tansy uśmiechnęła się. Oczami wyobraźni zobaczyła siebie jako mysz, z narzuconym czepkiem, filiżanką herbaty w ręce, krążącą przed maleńkim kominem w maleńkiej norze, niemogącą zasnąć. Czasami, a zwłaszcza ostatnio, nie przeszkadzałoby jej życie na poziomie podłogi i dysponowanie norą, do której można wrócić.

Oczywiście kiedy nie rozkoszowała się faktem, że wszystkie oczy w pomieszczeniu skupiały się na niej.

– Jordy nie sprawił żadnych kłopotów! Właśnie miał mi powiedzieć, gdzie mogę znaleźć chleb. – Mrugnęła do chłopca.

Chłopiec, skazany na życie służącego, rozpromienił się.

Pani deWitt z wdziękiem baletnicy odkryła bochenek chleba i pół koła sera. Ukroiła duży kawałek każdego z nich, położyła na talerzu i podała go Tansy wraz ze słoikiem dżemu. Nalała wody i postawiła czajnik na piecyku. Tansy prawie zamknęła oczy, słysząc uspokajający, domowy dźwięk gotującej się wody.

– Panienka przyjechała tu na ślub, tak? – zapytała radośnie pani deWitt.

Tansy nie była zaskoczona, że służba wie o niej wszystko. Taka była ich natura.

– Tak sędzę.

Pani deWitt skinęła.

– Księżę, kuzyn panienki, to porządny człowiek.  
Najporządniejszy.

I najbardziej przerażający, miała ochotę dodać Tansy.

– Na koniec świata poszłabym za tym człowiekiem.  
Na koniec świata...

Domyślała się, że kucharka próbuje ją uspokoić.

– ...mimo tego, co poniektórzy o nim mawiają –  
dodała stanowczo. – I niech panienka nie wierzy w ani  
jedno słowo.

Czyli miałam rację, pomyślała.

– A co mówią? – spytała spokojnie.

– A księżna, nasza pani Genevieve, ona jest jak anioł,  
który zstąpił na ziemię – powiedziała, jakby w ogóle nie  
usłyszała Tansy, w co Tansy szczerze wątpiła. – Piękna  
kobieta i taka dobra... i sprawiedliwa.

Genevieve – księżna – w istocie była piękna. Drobna  
brunetka o niebieskich oczach emanowała inteligencją  
i pogodną pewnością osoby, która wie, że jest kochana  
i która jest częścią Sussex.

Tansy zwalczyła irytujące uczucie; miała wrażenie,  
jakby ktoś przesunął szorstką ręką po jej skórze.

– Księżna jest wspaniąta. Była bardzo przyjazna i ser-  
deczna. To niezwykle szczęście mieć takich krewnych.

Pani deWitt uśmiechnęła się promiennie.

– Herbata... – spojrzała przenikliwie na Tansy –  
...może ma panienka ochotę na czekoladę?

– Poproszę czekoladę! – Wbrew sobie dziewczęco  
klasnęła.

Kilka chwil później filizanka z parującą czekoladą  
stała przed Tansy, a pani deWitt szturchnęła Jor-  
dy'ego, którego głowa zaczęła się kiwać, i usiadła na  
krześle naprzeciw Tansy.

– Dziękuję, pani deWitt. Właśnie tego potrzebowałam.

Pani deWitt uśmiechnęła się triumfująco.

– Wiedziałam! Poznam dziewczynę, która lubi czekoladę, kochaniutka. Najładniejsze ją lubią.

Tansy znów poczuła dumę.

– Od dawna pracuje pani dla rodu Eversea?

– Panią Genevieve, Jej Księżęcą Mość, znam, odkąd była szkrabem. Wtedy była panną Genevieve Eversea. Pani Genevieve to piękność, ale zawsze jest taka spokojna. Panienska też jest jak anioł – kucharka pośpiesznie zapewniła.

– Tak słyszałam... eee, to znaczy, jest pani zbyt uprzejma.

Tansy z roztargnieniem obracała kubek na stole. Po chwili przestała. Chłubiła się swoją umiejętnością zachowania spokoju w każdej sytuacji. Bez względu na to, czy chodziło o flirt podczas balu, Włocha krzyżącego pod oknem „niechże mnie pani nie opuszcza”, czy przeczytanie wiadomości o wypadku powozu, podczas gdy posłaniec, zaciekawiony, wyczekiwał, aż Tansy odzyska mowę i uspokoi oddech, żeby znaleźć szylinga i zapłacić mu za dostarczenie wieści o końcu świata.

– Ale siostra księżnej, panienska Olivia... ta to dopiero piękność! Umie opleść mężczyznę wokół palca. Jest doskonałą partią.

To uraziło dumę Tansy. Gdy ona wkraczała do sali balowej, milkły rozmowy. Wszystkie oczy patrzyły na nią. Umiesz tak, Olivio Eversea?

Miała wrażenie, że upłynęło bardzo dużo czasu, odkąd ostatni raz była na balu.

– Pan Genevieve mówiła z czułością o swoich braciach i siostrach.

– O tak. Pan Marcus wziął ślub z Louisą, a Colin ustatkował się i hoduje bydło, ale jeszcze nie ma dzieci. Panna Olivia może przed końcem roku wyjdzie za majątnego wicehrabiego, oby jej biedne serce znalazło ukojenie. No i jeszcze jest pan Ian... Na Boga, jak ten księżyc mocno świeci! – powiedziała nagle.

Tansy odwróciła głowę. Księżyc faktycznie mocno świecił, ale taka była jego natura.

Poniekąd podejrzewała, że zmiana tematu była celowa. Kogo przed chwilą wspomniała pani deWitt? Kogoś, o kim nie mówili ani księżna, ani książę. Tego Tansy była pewna.

Wyglądało na to, że kucharka nie pociągnie wątku.

– Panienska z łatwością znajdzie sobie doskonałą partię. Może nawet tak dobrą jak pani Genevieve.

Tansy chciałyby, żeby ludzie przestali mówić o niej jak o jakiejś rzeczy, której brakuje pary. Gdyby to było tak proste, z pewnością wymieniałyby teraz głębokie spojrzenia z jednym ze swoich wielbicieli z Nowego Jorku. Wielu przysięgało jej wieczną miłość i wielu było co najmniej tak przystojnych jak biedny Giancarlo, a jeden ją pocałował, ponieważ był odważny, a ona rzuciła mu wyzwanie. Podobało jej się, ale natychmiast przerwała czułości, ponieważ miała więcej zdrowego rozsądku, niż ojciec jej przypisywał.

Nie poczuła nic poza przyspieszonym biciem serca. Mężczyzna nie zawładnął jej wyobraźnią, a tym bardziej sercem, na dłużej niż jeden dzień. A Tansy była przekonana, że ktoś, kogo poślubi, powinien być do tego zdolny.

Na szczęście sporządziła listę wymagań wobec przyszłego męża. Stwierdziła, że księciu się przyda.

– Pochlebia mi pani, pani deWitt – powiedziała.

Pani deWitt spojrzała na Tansy i przez chwilę uważnie się jej przyglądała.

Następnie zaskoczyła dziewczynę, poklepując ją po dłoni. Spoufalenie wynikało zapewne z tego, że obie miały na sobie nocne stroje.

– Niech się panienka niczym nie przejmuje.

To pewnie tylko frazes, ale w ciemnej kuchni, słuchając uspokajającego rytmu, w jakim Jordy sennie obracał udziec, miała wrażenie, że pani deWitt zajrzała w głąb jej duszy. Nagle ścisnęło ją za gardło, a oczy zaczęły piec.

Pewnie to przez parującą czekoladę.

### 3

Gdy Tansy otworzyła oczy, noc zaczynała powoli ustępować miejsca świtowi.

Miękki materac, na którym leżała, nie kołysał się w rytm fal. Pokój w odcieniach złota i błękitu pełen był eleganckich mebli z ciemnego drewna. To nie Ameryka. Nie statek. Tylko Sussex. A dokładnie Pennyroyal Green.

Promień przyjemnego różowego światła przebił się przez szczelinę między zasłonami.

Tansy sennie zsunęła się z łóżka, przetarła oczy, przerzuciła ciężki warkocz na jedno ramię i pewnie ruszyła przez gęsty dywan Savonnerie.



Łagodnie rozsunęła niezwykle miękkie, aksamitne zasłony w kolorze złota i wyrzała przez okno.

Roztaczała się przed nią paleta kolorów: jasna zieleń zadbanych parków Eversea, dalej rozłożyste i strzeliste korony drzew w kolorze butelkowym, za nimi rozległy obszar ciemniejszej zieleni, nierówny jak zmięty koc – z pewnością wzgórza Sussex – i na końcu wąski, srebrny pasek. Zapewne morze.

Niebo dopiero zaczęło nabierać dziewczęcych rumieńców. Obserwowała, jak wschodzące słońce ozdabiało kolejne elementy krajobrazu, jakby zapewniało im chwilę chwały. Najpierw wysokie, zadbane krzewy, potem białą, kamienną ławę, następnie fontannę i mężczyznę...

Wstrzymała oddech tak nagle, że niemal się zakrztusiła.

Nagi mężczyzna.

A przynajmniej nagi od pasa w górę.

Stał na małym balkonie obok jej okna. Za ledwie kilka jardów dalej.

Schowała się w pokoju. Zaciągnęła zasłonę na twarz, zostawiając jedynie szparę na oczy, jak dziewczyna z haremu, i wychyliła się, żeby mieć lepszy widok. Widziała jedynie jego plecy. Cudownie gładkie, szerokie barki, proste wgłębienie kręgosłupa, które rozdzielało wyraźne zarysowane mięśnie i zmierzało do wąskich bioder.

Nagle wyrzucił ramiona w powietrze, wygiął się do tyłu, jakby poraziła go błyskawica, i wydał z siebie krzyk niczym pogański bóg witający dzień. Choć wątpiła, czy bóg miałby takie gęste, czarne włosy pod pachami.

Po chwili zniknął w swoim pokoju, jakby był kukłą wyskakującą z zegara, która obwieszcza godzinę.

Jego krzyk wciąż unosił się cichym echem.

Całkiem udany początek dnia.

Tansy wróciła do łóżka. Jeśli to był sen, chciała, żeby trwał.

Kapitan Charles „Chase” Eversea zamasztył krokiem wszedł do pubu Pod Prosiakiem i Ostem, chwycił krzesło, obrócił je tyłem, usiadł na nim okrakiem, po czym sięgnął po ale Colina i wziął łyk, zanim jeszcze podniósł rękę, żeby przywołać Polly Hawthorne, która obsługiwała gości.

– Dziękuję – powiedział poniewczasie do Colina, ocierając usta ręką.

Colin rzucił mu gniewne spojrzenie, bardziej z obowiązku niż z oburzenia. Chase był starszy, Colin – najmłodszy, a hierarchia braci Eversea była nienaruszalna. Nie śmiałyby zaprotestować.

– Czy normalne siedzenie jest już passé, Chase? – spytał spokojnie Colin. – Boisz się, że bez pomocy krzesła nie utrzymasz prosto swojego starzejącego się ciała?

– Po awansie w Kompanii Wschodnioindyjskiej jego klejnoty powiększyły się trzykrotnie – powiedział Ian. – Potrzebuje dodatkowego oparcia.

– Jeśli przyjmiesz stanowisko, które Kompania proponuje ci w Londynie, też możesz mieć duże klejnoty, Ianie. Kiedy wrócisz do domu?

– Wczoraj w nocy. Najwyraźniej za późno, żeby był gotowy mój pokój, bo wylądowałem na trzecim piętrze. Przyjechałem z Londynu. Znasz moje plany. Nawet możliwość imponującego awansu ich nie zmie-

ni. Wkrótce znów wyjeżdżam. Rozkoszujcie się moją obecnością, dopóki możecie. – Zaplanował sobie podróż przez pięć portów i wreszcie zaoszczędził dość pieniędzy, odmawiając sobie wielu rzeczy i mądrze inwestując, żeby w nią wyruszyć. Chiny, Indie, Afryka, Brazylia. Tak często ślęczał nad mapą świata, że czasami sądził, iż wyrzyła się na jego siatkówce. Widział ją, kiedy zamykał oczy.

– Ian pewnie musi włożyć swoje klejnoty do lodu po tygodniu spędzonym z mademoiselle...

Ian kopnął go, żeby zamilkł. Nieoczekiwanie Polly Hawthorne podeszła do stolika.

Była piękna, młoda i pełna wdzięku niczym bogini. Żywiła nieodwzajemnione uczucie do Colina i nigdy nie wybaczyła mu ożenku z dziewczyną, która była mu przeznaczona. Wciąż udawała, że go nie zauważa, choć Ian podejrzewał, że robiła to częściowo z przyzwyczajenia. Trzeba oddać dziewczynie szacunek za to, że wciąż chowa urazę, pomyślał Ian. Podziwiał stałość jej uczuć. Kobiety, które znał, bywały zmienne i mimo że nieraz na tym korzystał, nie podobało mu się to. Pewnie był hipokrytą, ale nic nie mógł na to poradzić.

Obserwował, jak Polly dorastała w pubie, który był własnością jej ojca; lokal Pod Prosiakiem i Ostem od wieków należał do rodziny Hawthorne'ów. Była dla niego ważna, podobnie jak Culpepper i Cooke, i cała reszta, dzięki której Pennyroyal Green pozostawał domem, jaki przez całe życie znał i kochał. Może niesłusznie, ale chciałby wyjeżdżać stąd, kiedy miał ochotę – na wojnę czy do egzotycznych krajów – i wracać, zastając wszystkich tu, gdzie było ich miejsce, choć nieco starszych.

Kiedy Ian uśmiechnął się do niej, Polly zarumieniła się i zaczęła niespokojnie wiercić. Taką moc miał uśmiech Eversea. Nie skąpił go. Spojrzenia i rumieńce kobiet nigdy go nie nudziły.

– Jeszcze trzy ciemne, jeśli będziesz tak dobra, Polly.

– Oczywiście, kapitanie Eversea.

– Mademoiselle jaka? – zachęcił Chase, gdy tylko Polly zniknęła.

– LaRoque. – Ach, Monique. Przypomniał sobie, jak wstawał z łóżka i jej paznokcie delikatnie muskające jego plecy, kiedy starała się go namówić, żeby został. Nigdy nie zostawał. Z żadną z nich. To była jedna z jego zasad. Miał też zasadę co do prezentów – po prostu ich nie dawał. Chciał, aby kobieta czuła się uwiedziona przez niego, a nie przekupiona.

– Nie ma w tobie za grosz romantyzmu – narzekała Monique, wydymając usta, kiedy się ubierał. – Jedyne trochę namiętności. – Jej znajomość języka była dość słaba, ale i tak udało jej się go mniej lub bardziej dokładnie podsumować. Nie czuł się urażony. Monique wciąż go pragnęła, ponieważ wiedział, jak dać kobiecie to, czego chciała.

– Monique LaRoque? Ta aktorka? – zastanawiał się Chase.

– Imponująca, a raczej niestosowna jest twoja znajomość londyńskich plotek, Chase. Tak, ta aktorka.

– Słyszałem o niej. Moja żona widziała jej występ.

Była to jedynie luźna uwaga, ale słowa „moja żona” miały lekko zaborczy wydźwięk, a Chase wypowiedział je jak modlitwę dziękczynną.

Lecz dla uszu Iana zabrzmiały niczym oskarżenie. Colin głosił to samo tymi samymi, cholernymi słowa-

mi. Oczywiście wtedy, kiedy nie mówił o krowach. Ian zaczął wiercić się na krześle, jakby chciał uniknąć zarzucanej na niego sieci.

– Mademoiselle LaRoque jest niezwykle utalentowana – powiedział Ian perfidnie. Żeby pobudzić do myślenia dwóch mężczyzn, którzy ostatnio się ożenili.

Zaległa ciesząca go cisza.

Colin miał naturę uwodziciela i Ian lubił podpuszczać go, żeby sprawdzić, czy związek małżeński zabił w nim tę naturę, czy tylko uśpił. Choć przygoda ze strykiem mogła zachęcić każdego mężczyznę do szukania ukojenia w instytucji małżeństwa. A może za bardzo przyzwyczał się do niechlubnego pobytu w Newgate, żeby w pełni odzyskać wolność?

Wreszcie Colin spytał zaciekawiony:

– Jak niezwykle?

Ian jedynie się uśmiechnął. Okrutnie i zagadkowo.

Monique była utalentowana, ale nie jakoś wyjątkowo. Zaciągnięcie jej do łóżka było grą, która wymagała dużego uroku osobistego, wyrafinowanej sztuki flirtowania i pokonania innych mężczyzn. Ale nie podarzków. Zero prezentów. Wynik gry był z góry przesądzony, ale oboje się nią rozkoszowali, dopóki Monique nie uległa. Była sprawna, zwinna, niezwykła i piękna... i okazywała niepokojące oznaki zakochania się w nim.

Z tego powodu Ian odczuł ulgę, że ma wymówkę, aby powrócić do Pennyroyal Green; obiecał Adamowi, swojemu kuzynowi pastelowi, że pokieruje grupą mężczyzn – różnych z charakteru, lecz chętnych do pracy – podczas jakże potrzebnej naprawy starej plebani. Jeśli zostałyby w Londynie zbyt długo, matki przypomniałyby

sobie, że Ian Eversea jest kawalerem do wzięcia. Natomiast gdyby został w Pennyroyal Green zbyt długo, to jego matka, zamiast skupić całą swoją uwagę na jego siostrze Olivii, przypomniałaby sobie, że jest kawalerem do wzięcia. Olivia wreszcie zaakceptowała zaloty lorda Landsdowne i wydawało się, że czerpie z nich satysfakcję.

Wydawało się. Z Olivią nigdy nic nie wiadomo.

Wszyscy członkowie rodziny Eversea czekali z zapartym tchem, a kwiaty od mężczyzn przepelnionych nadzieją – lub po prostu masochistów – nie przestawały napływać

Ci, którzy obstawiali u White'a, że Olivia nie wyjdzie za mąż, zaczęli się nieco niepokoić. Nikt nie sądził, że po zniknięciu Lyona Redmonda, który, jak powiadają, zabrał ze sobą jej serce, Olivia Eversea weźmie kiedykolwiek ślub.

Zabawne, ale odkąd wczoraj w nocy wrócił z Londynu, ani razu nie pomyślał o Monique. Byłoby to co najmniej nieuprzejme z jego strony, zważywszy, że przez ostatnie tygodnie myślał tylko o niej.

Jeśli zostałyby w Pennyroyal Green wystarczająco długo, Monique pewnie zapomniałaby o nim. Zastanawiał się, czy to nie byłaby ulga.

Dopóki nie wróci do Londynu, oczywiście. I gra nie zacznie się od nowa.

Jeśli będzie jej chciał.

Na tę myśl poczuł zniecierpliwienie.

Polly wróciła z kufłami.

– Chase płaci – powiedział Ian, unosząc stanowczo brew w kierunku brata.

Chase dzielnie wyjął odpowiednią sumę.

– Za duże klejnoty i chętne aktorki! – wzniósł Ian radosny toast.

Bracia unieśli swoje kufle.

– Za duże kle...

Ich uśmiechy zastygły. Wbili spojrzenia w punkt ponad ramieniem Iana.

– Co? – Ian obrócił głowę.

– Za duże klejnoty! – powiedział spokojnie ksiązę Falconbridge.

Jasna. Cholera.

Skąd on się tu wziął? To cud, że w pubie nie zaległa cisza, jak wtedy, gdy śpiewające ptaki zauważają skradającego się w ogrodzie kota. Tymczasem wszyscy, jak zawsze, pili, głośno rozmawiali i żywo gestykulowali, Culpepper i Cooke pochylali się nad szachownicą, a Jonathan Redmond z niepokojącą precyzją rzucał strzałki w tarczę. Nikt nie zauważył, że osławiony ksiązę wstał do pubu Pod Prosiakiem i Ostem.

Ian doskonale wiedział, że ten człowiek umie zjawiać się znikąd.

Jego siostra Genevieve kochała księcia Falconbridge. To było jasne. Poślubiła go, odrzucając lorda Harry'ego. A Ian kochał Genevieve.

Ale czuł się cholernie niezręcznie, mając w rodzinie kogoś, kto niegdyś, trzymając go na muszce, kazał mu wychodzić przez okno swojej ówczesnej narzeczonej.

O północy.

Nago.

Spacer do domu w jednym bucie (ksiązę wyrzucił jego drugi but przez okno, wraz z resztą ubrań), gdy był odziany w resztki godności i strzępy koszuli – tylko ją zdołał znaleźć w ciemnościach – świadczył o odwadze

Iana i przyjemności, jaką czerpał z ryzyka. Doświadczenie, jakie wyniósł z pól bitewnych, przygotowało go na stoicką konfrontację z każdą ewentualnością.

Szczerze mówiąc, Falconbridge powinien mu podziękować za to, że wspiał się do okna jego narzeczonej, jeśli powstrzymało go to przed poślubieniem niewłaściwej kobiety i połączyło z Genevieve.

Był jednak pewien, że księżę nie postrzeża tego w ten sposób.

Falconbridge nie uchodził za wielkodusznego człowieka – nikt, najwyraźniej poza Genevieve, go nie lubił – i służył z dobrej pamięci; nie zapominał wyrażonych mu krzywd i wyrównywał rachunki bez względu na to, ile potrzebował czasu. Genevieve gorąco zapewniała Iana, że księżę nie zamordował swojej pierwszej żony, jak twierdziła popularna plotka, i mimo że najprawdopodobniej powstrzymał się od zabicia Iana przez wzgląd na Genevieve, nigdy nie można być niczego pewnym.

Ian nie był dumny ze swojego postępu. Jeśli wiedziałby, że ten mężczyzna wejdzie do jego rodziny, z pewnością nigdy by się nie wspinał po drzewie do okna lady Abigail.

Trójka braci Eversea powoli wstała i skinęła, uprzejmie witając szwagra. A kiedy znów usiedli, Colin wyprostował nogę i wysunął nią puste krzesło stojące obok Chase'a, zapraszając księcia.

Ian posłał mu gniewne spojrzenie.

Colin odwzajemnił się szerokim uśmiechem.

Cóż, był jedyną osobą (zapewne poza Genevieve), która wiedziała o nocnej wspinaczce Iana pod czujnym okiem uzbrojonego księcia.



Książę usiadł na krześle. Jego ramiona niemal stykały się z jego torsem.

Ian spiął mięśnie.

Jakby na zawołanie pojawiła się Polly.

– Spróbuj ciemnego, Falconbridge – zaproponował Chase.

Chase twierdził, że autentycznie lubi księcia. Lecz Chase lubił większość rzeczy, które dla Iana były niezbyt przyjemne, na przykład gęsią wątróbkę albo kukielki, które go denerwowały. Może i był bohaterem wojennym, ale jego gust nie był wyrocznią.

Polly zniknęła, żeby zająć się zamówieniem księcia.

– Co sprowadza cię w nasze skromne progi? – spytał Colin.

– Spacerowałem, a kiedy zobaczyłem pub Pod Prosiakiem i Ostem, uznałem to za okazję, żeby spotkać się ze szwagrami w ich naturalnym środowisku.

Roześmiali się uprzejmie, traktując jego słowa jako żart.

– Chase dostał awans – poinformował go Ian.

– Gratuluję, kapitanie Eversea. Pniemy się coraz wyżej, co? Chcemy zostać gubernatorem?

– Nie sądzę, aby moja żona chciała zamieszkać w Indiach, ale nie wykluczam tego.

– W Indiach raczej nie mają kukiełek, więc jest bezpiecznie – zapewnił go Ian, czym zarobił kopniaka pod stołem.

Książę albo nie zauważył, albo świadomie zignorował tę niepasującą do rozmowy uwagę.

– Ian także dostał awans. Wiedziałeś, Falconbridge, że ma stopień kapitana?

– A teraz – odezwał się Ian – wyruszam w podróż dookoła świata i już wkrótce zarezerwuję sobie bilet na statek. I nieprędko wrócę.

– Ach, dokoła świata – zamyslił się książę. – Co za zbieg okoliczności. Mamy u siebie gościa, który przyłynął do nas zza oceanu. Nie jestem pewien, czy Genevieve mówiła ci o mojej młodej podopiecznej, paninie Titanii Danforth, i jej niedawnym przyjeździe z Ameryki.

Mówiła, ale zapomniał jak najszybciej. Jakaś krewna, którą trzeba wydać za kandydata zatwierdzonego przez księcia.

– Panna Danforth przybyła wczoraj.

– Bezpiecznie i bez przygód, mam nadzieję? – spytał uprzejmie Colin.

– Jak najbardziej. Nie znajdziecie drugiej tak ułożonej, dobrze wychowanej i łatwowiernej kobiety. Mam szczerą nadzieję, że podczas jej pobytu będziecie traktować ją należycie i dbać o jej dobro, tak jak dbacie o dobro Genevieve.

Nieważne, jak zawołowana była ta wiadomość, Ian wiedział, że to ostrzeżenie.

To była naprawdę bezczelność. Jakby Ian nie mógł powstrzymać się przed zbałamuceniem każdej kobiety, jaka znalazła się w jego towarzystwie. Miał pewne zasady.

Przy stole zaległa cisza. Mniej więcej taka, jaka zapada po wyzwaniu na pojedynek.

Nie mów tego, Ian. Nie mów. Nie mów.

– A jeśli nie?

Colin i Chase zastygli. Widział, że obaj wstrzymują oddech... Cisza była tak przeszywająca, że Ian mógł przysiąc, że słyszy spływające po kuflu krople.

Księżę nic nie odrzekł.

– Oddałbym życie za Genevieve – dodał po chwili Ian z determinacją.

To była szczerza prawda. Nieraz nadstawiał karku za innych. I między innymi dlatego od lat prześladowały go niespokojne sny.

Nie były to czcze słowa.

Księżę wreszcie się poruszył, nieśpiesznie się podnosząc i sącząc swoje ale.

– No cóż – powiedział – miejmy nadzieję, że nie będziesz musiał oddać życia za pannę Danforth.

Dopił do końca i w uznaniu uniósł brwi.

– Doskonałe piwo. Chyba będę musiał częściej odwiedzać ten pub.

Skinął i wyszedł, zostawiając po sobie groźną ciszę.

– Musi być wyjątkowa, jeśli księżę doszedł do wniosku, że powinien cię ostrzec. – Colin był podekscytowany.

– Nonsens. Pewnie jest nudna – powiedział bez zainteresowania Ian. – Niewinne takie są.

## 4

**P**o południu księżę posłał po Tansy. Wytarła spoczone dłonie o spódnicę i pośpieszyła do pokoju, w którym stało duże, błyszczące biurko. Księżę siedział za nim, jakby zasiadał na tronie. Ale on wszędzie wyglądał w ten sposób, pomyślała Tansy.

– Jak sądzę, nie muszę przypominać pani warunków testamentu, panno Danforth, lecz zrobię to na wszelki

wypadek: cały majątek zostanie pani przekazany po poślubieniu mężczyzny, który spotka się z moją aprobatą.

Dlaczego brzmiał jak prawnik? Pewnie dlatego jej ojciec powierzył mu los córki. Może umiał komunikować się, jedynie wydając rozkazy lub onieśmielająco unosząc brew. Z taką brwią trudno było dyskutować.

– Dziękuję. Jestem tego świadoma.

Na chwilę zapadło niezręczne milczenie.

– Ostatnim razem, kiedy panią widziałem, była pani co najwyżej taka... – Zawiesił rękę jard nad podłogą. – Chowała się pani za spódnicą matki. To było w Lilymont.

Uśmiechnęła się uprzejmie. Jeśli chowała się za spódnicą matki, pewnie był to ostatni raz, kiedy była nieśmiała. Prawdopodobnie już wtedy księżę onieśmielał innych. A jego żona – wtedy miał inną żonę – była niezwykle piękna, pomyślała Tansy i się uśmiechnęła. Uwielbiała słuchać, jak jej matka i żona księcia śmiały się razem w ogrodzie.

Słowo „Lilymont” znów zakłuło boleśnie. Oczami wyobraźni zobaczyła ogrodzony ogród, półdziki, kolorowy, przepelniony splątana roślinnością, jak z bajki, a przynajmniej taki był z perspektywy dziecka.

Potem przypomniała sobie, że jakiś czas temu księżę stracił swoją piękną i wesołą żonę. Co tłumaczyło ślub z Genevieve.

Wpatrywała się w niego z zaciekawieniem, jakby mogła dojrzeć coś, co ujawni, że przeszedł niejedno, jeśli by się wystarczająco mocno skupiła. Lecz nie zobaczyła nic poza dostojnym, starszym i zagadkowym mężczyzną.

– Mniemam, że chciałaby pani wyjść za mąż – powiedział chłodno.

– Tak. – Oczywiście, o mało nie dodała. Czują, że zaczyna się rumienić. Kiedy zamilkł, dostrzegła swoją okazję. – Pomyślałam sobie, że przyda się lista przymiotów pożądanych u przyszłego męża.

Zaległo milczenie, które jej zdaniem mogło wynikać z lekkiej konsternacji.

– Zrobiła pani taką listę? – powtórzył powoli.

Skinęła głową.

– Listę przymiotów, które mogłabym uznać za pożądane u męża.

Kolejne krótkie zawahanie.

– I... chciałyby pani podzielić się ze mną tą listą?

Nie była pewna, czy mówił z ironią.

– Jeśli w opinii księcia będzie ona pomocna.

– Nigdy nic nie wiadomo – powiedział neutralnym tonem.

– Doskonale. – Ostrożnie rozłożyła kartkę papieru, wygładziła ją na kolanie i odchrząknęła.

Spojrzała na księcia, który skinął, zachęcając ją do czytania.

– Numer jeden: chciałabym, aby był inteligentny...

Ponownie podniosła wzrok, oceniając efekt wywarły przez jej pierwszy warunek.

Skinął z aprobatą.

– Półgłówek może być nudny – wyraził zrozumienie.

– ...ale nie przesadnie inteligentny.

Odrobinę się niepokoila, jak to zostanie przyjęte.

– Ach... – Zastukał palcami; zdawał się zastanawiać nad jej słowami. – Chodzi pani o osoby, które cytują poezję i filozofów? Wygłaszają peany na cześć dzieł sztuki? Używają wyrażeń takich jak „wygłaszać peany”?

Dokładnie to miała na myśli. Liczyła na to, że książę nie był typem osoby, która cytuje poetów i filozofów, choć spodobało jej się wyrażenie „wygłaszać peany”. Spróbowała użyć go w zdaniu: Titania Danforth wygłasza peany na cześć męskiego torsu widzianego na balkonie.

– Sądzę, że chciałabym, aby był... aktywny. Lubił świeże powietrze i konie, i polowania. Ja lubię czytać, ale nie analizuję dogłębnie utworów. Po prostu lubię, gdy w głowie pojawiają mi się obrazy wywołane przez jakąś historię.

No i znów papie bez ładu i składu. Miała nadzieję, że nie brzmi w jego ocenie niedorzecznie. Choć w swoich uszach zdecydowanie tak właśnie brzmiała.

– Ach, tak? – Nie wiedziała, czy był rozbawiony, czy zamyślony. – Nie oddaję się często czytaniu, choć moja żona uwielbia książki. Akceptuję jej nawyk.

Genevieve wygląda na osobę, która bardzo lubi czytać, pomyślała ponuro Tansy. Jednak książę brzmiał nieco ironicznie.

– Jaka jest kolejna pozycja na liście, panno Danforth?

– Eee... Numer dwa: powinien cechować się nieskazitelną postawą moralną.

Prawdę mówiąc, dodała ten wymóg, bo chciała za imponować księciu. Nie była pewna, jak zrozumie „nieskazitelną postawę moralną”. Sama nie wiedziała, jak ją rozumieć, i czy takowa ją cechowała. Wymóg numer dwa brzmiał nudno, ale był konieczny.

– Nieskazitelną postawą moralną – powoli powtórzył, jakby chciał nauczyć się tych słów na pamięć. – To pomoże zawęzić poszukiwania – powiedział poważnie. – Dziękuję.

Kiedy nic więcej nie dodał, znów spojrzała na kartkę.

– Numer trzy: powinien być przystojny.

Powiedziała to dość nieśmiało. Podniosła wzrok. Książę był przystojny... mimo posiwiałych skroni. Ale może stwierdzi, że wygląd nie jest istotny, gdy główną rolę odgrywa kręgosłup moralny.

– Niech się pani nie martwi, nie wydam pani za gurgulca, panno Danforth.

Doskonale! Uśmiechnęła się z ulgą.

– Tym się nazbyt nie przejmowałam, jako że wszyscy mężczyźni, jakich widziałam w Sussex, są...

Boscy, o mało nie powiedziała pod wpływem emocji, myśląc o mężczyźnie z balkonu.

– ...są mili – dokończyła grzecznie.

Zaległo milczenie. Miała wrażenie, że zmarszczki wokół jego oczu się pogłębiły. Czy walczył z uśmiechem?

– Większość z nich, tak – powiedział nieco zagadkowo. – Następna cecha to...?

– Ach, tak. – Wróciła do listy. – Numer cztery: lubi...

O rety. Kolejna delikatna sprawa. Ponownie spojrzała na księcia. Miał wyraźne zmarszczki wokół oczu, przez co podejrzewała, że mógł się w duchu śmiać. Choć jeszcze nie miała na to dowodu. Zastanawiała się, czy czerpał z tego przyjemność, a może był to u niego odruch, tak jak kłanianie się i tym podobne.

– Dobrą brandy? Żwawe spacerowanie nad morzem? Haftowanie? – wypytywał. Czuła, że książę z trudem zachowuje cierpliwość. Pyłek, pomyślała. Jestem irytującym pyłkiem i ledwie mnie toleruje.

– ...się śmiać.

Powiedziała to cicho, niemal przepraszająco.

– Tak... – odrzekł w zamyśleniu. – No cóż, obawiam się, że może zachodzić konflikt między wymaganiem numer dwa a tym warunkiem. Niestety, muszę poprosić panią o wybranie jednego z nich.

Nabrała tak szybko powietrza, że omal nie zaczęła kaszleć.

Do diaska. No cóż, tylko siebie mogła o to obwiniać.

Krępujące milczenie utrzymywało się, ona z trudem analizowała konsekwencje wyboru

Nagle księżę uderzył dłonią o biurko tak głośno, że aż podskoczyła, i wybuchnął śmiechem. Odrzucił do tyłu głowę i chichotał w najlepsze.

– Och, Titanio. Wyglądasz na zbolałą! Przekomarzam się z tobą tylko. Widzisz, ja też czasami lubię się śmiać. Ale wierz mi, wiem, co byś wybrała, jeślibyś musiała.

Jego śmiech był cudowny, tak zaraźliwy, że natychmiast zapomniała o złości i dołączyła do księcia. Choć jeszcze nie całkiem wybaczyła mu, że swoim żartem przyprawił ją o szok. Zbyt dokładnie wyobraziła sobie swoją przyszłość.

– Twój ojciec często się śmiał – powiedział, kiedy ucichli.

– Nieustannie, to prawda. – Wbiła paznokcie w dłonie, kiedy poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Pojawiały się w najdziwniejszych chwilach. Nawet tuż po ataku śmiechu.

– Miał też wyjątkowo bystry umysł. Czasami podczas dyskusji potrafił mnie zagonić w kozi róg. Jednak lubiliśmy nasze rozmowy. A powiem ci, że niełatwo mnie pokonać – dodał księżę.

– Nie wątpię – powiedziała szczerze. Choć też trochę się z nim drażniła.



Uśmiechnął się.

Zdawało się, że śmiech go rozluźnił. Tansy zauważyła, że dotąd był po prostu nieco sztywny, równie niepewny jej, co ona jego. Również cierpiał, gdy jej ojciec umarł. Był mu bliski, a wątpiła, żeby miał wielu przyjaciół od serca. Obudziło się w niej zrozumienie. Nagle poczuła (niedorzeczną, choć niezaprzeczną) troskę o niego.

– W swoich listach nazywał cię Titanią.

– Imię było pomysłem ojca, a matka nigdy nie potrafiła mu odmówić. Choć to ona namówiła go do wyjazdu do Ameryki. Zawsze uważałam, że moje imię jest nieco kłopotliwe. Rodzi oczekiwania.

– Sądzę, że im sprostałaś.

– Dziękuję. To mama nazywała mnie Tansy. Ojciec w końcu skapitulował.

Znów się uśmiechnął, i to tak naturalnie, że z ulgą uwierzyła, iż robił to często, a nie tylko wtedy, gdy konwenanse tego wymagały.

– Ale zdecydowanie przypominasz matkę.

– Wszyscy to mówią.

Zapadła cisza, tym razem mniej krępująca.

– Zawsze miałem nadzieję, że jeszcze was zobaczę – powiedział delikatnie, jakby wiedział, że rozmowa na ten temat może być dla niej trudna.

– Pamiętam księcia – powiedziała Tansy z lekką nieśmiałością. – Choć niezbyt dobrze. Miał wtedy księżę inną żonę. Pamiętam, że wydała mi się piękna, jak postać z bajki. I miała taki miły głos.

– O tak. Była piękna. Odeszła kilka lat temu.

– Wiem. Bardzo mi przykro.

Skinął krótko.

Było też dziecko, przypomniała sobie. I teraz żałowała, że wspomniała o jego żonie. Pamiętała, jak jej ojciec otrzymał list od księcia. Przekazał jego treść matce w kilku zdaniach, kilku krótkich zdaniach, które opisywały nieprawdopodobną stratę, a następnie zniknął w swoim gabinecie, zamykając za sobą drzwi. Jakby samotność pomogła mu wczuć się w ból przyjaciela.

– Ale wiedz, Titanio, że nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek był szczęśliwszy niż teraz.

Wiedziała, że mówił prawdę. Nie wątpiła w to. Pomyślała, że sama nigdy nie będzie w stanie opisać szczęścia słowami. To coś, czego można doświadczyć. A on to wyznał, ponieważ chciał zapewnić ją, że też może być szczęśliwa.

– Ciesz się – powiedziała łagodnie. – Dziękuję, że księżę mi to powiedział.

Odchrząknął.

– Czy masz jeszcze jakiś wymagania na swojej liście? Miała.

– Numer pięć: powinien być dobrym człowiekiem.

Spojrzała na niego, nieco zdenerwowana także tym kryterium, lecz mniej niż wtedy, gdy wchodziła do gabinetu. Teraz wiedziała, że – bez względu na to, co o nim mówiono – księżę był dobrym człowiekiem. Może niecierpliwym, może trochę aroganckim, ale tego się można spodziewać po księciu. Czuła, że w głębi duszy był dobry.

– Na razie to wszystko, co mam.

Lekko się uśmiechnął.

– Czy twoja lista będzie miała dalszy ciąg?

– Jeszcze nie wiem.

– Proszę, powiadamiał mnie o istotnych zmianach w jej treści – powiedział poważnie.

Podejrzewała, że znów się z nią drażnił.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się.

– Sadzę, że masz duże szanse na znalezienie wybranka spełniającego twoje wymagania. Twój ojciec był jednym z najbardziej rozsądnych ludzi, jakich znałem, i ufał mojej ocenie. Wierzę, że będziesz miała wielu wielbicieli. Ale będę wiedział, którzy kawalerowie są ciebie warci, Titanio, ... a którzy wręcz przeciwnie. Lecz gdybyś miała wątpliwości, w każdej chwili możesz się ze mną nimi podzielić.

– Dziękuję – powiedziała, myśląc jednocześnie: Nie nabierzesz mnie. Może i był dobrym człowiekiem, ale podejrzewała, że wiedział, jak położyć kres zabawie. Nie była aż tak naiwna.

– Chciałbym powtórzyć naszą rozmowę, jeśli będziesz miała ochotę – powiedział i wstał, dając tym samym znak, że kończą spotkanie.

– Z przyjemnością.

Ku jej zaskoczeniu było to prawdą.

Przedstawienie panny Titanii Danforth śmietance towarzyskiej Sussex zaczęło się obiadem, wstępem do balu – skromnego balu, jak to ujęła księżna – który miał odbyć się tego samego wieczoru. Genevieve zapewniła ją, że zaproszono najznakomitszych mieszkańców Sussex i Londynu. Potem wyrecytowała listę gości, wymieniając tytuły – ważne i te trochę mniej, żonatych i kawalerów. W wyobraźni Tansy wszyscy jawili się atrakcyjnie. Zabawne, jak magicznie działało słowo „lord”, poprzedzające imię. W głębi serca była

przekonana, że jej imię też dobrze zabrzmie, gdy poprzedzi je tytuł. Księżna Titania? Hrabina Titania? Lady Titania?

Kwestia czasu, pomyślała z przekonaniem.

Miesiąc po skromnym balu miał się odbyć nieskromny bal, jak chciała go nazywać Tansy, czyli wielki bal, jak o nim mówiła Genevieve.

Tansy musiała jedynie wyjść z pokoju i pięknie wyglądać.

– ...czego dokonasz, mając na sobie nawet worek – powiedziała Genevieve z typową dla siebie uprzejmością. – Nie, żeby w Sussex panował zwyczaj chodzenia w workach.

Rozbawiło to Tansy.

Powzięła żelazne postanowienie, że tego wieczoru będzie wyglądała pięknie.

A ponieważ jej amerykańska pokojówka odmówiła wyjazdu do innego kraju, Genevieve wspaniałomyślnie przysłała jej własną pokojówkę, dziewczynę imieniem Annie, która okazała się cicha, kompetentna i skora do pomocy.

Ale Tansy niełatwo było pomóc.

– Nie, nie zielona. Niebieska.

Służąca wyciągnęła niebieską suknię z szafy.

– Nie tę niebieską. Tę drugą niebieską.

Dziewczyna wyjęła ją i już miała się odwrócić, kiedy Tansy zmieniła zdanie:

– A może tamtą jasnozieloną z jedwabiu?

– Myślę, że w każdej będzie pani pięknie wyglądała – powiedziała z desperacją biedna dziewczyna.

Tansy miała ochotę nadepnąć jej na stopę.

– Powiedz mi, Annie. Masz ukochanego? – spytała.

Annie zarumieniła się.

– Tak, psze pani. Pracuje w stajni.

Tansy była szczerze zainteresowana.

– Jak cudownie! A ten ukochany jest przystojny?

– Tak, powiem nieskromnie. Na imię ma James.

Mamy wziąć ślub, ale...

– Ach, ślub? To świetnie! – Uśmiechnęła się szeroko.

Annie rozpromieniła się.

– O tak, tak. Ale musimy poczekać, bo nie mamy pieniędzy, żeby zacząć żyć na swoim. James chciałby wybudować dla nas mały domek, żebyśmy nie musieli... och, nie powinnam pani tym zanudzać, panno Danforth – powiedziała w końcu.

– Nie zanudzasz mnie. To bardzo ważne, by mieć własny dom. Też chciałabym mieć dom. Bo, widzisz, nie mam go już... ani rodziny.

Nagle kobiece nadzieje i obawy przekroczyły dzielące je podziały społeczne, tworząc między nimi nic porozumienia.

– Tutaj jest pani dom. Zaopiekujemy się panią – z zapalem powiedziała Annie. – Jeśli będzie potrzebowała pani czegokolwiek, panno Danforth...

– Dziękuję – odpowiedziała ze wzruszeniem.

Zapadła krępująca cicha i Tansy odwróciła się w kierunku szafy.

Nigdy nie martwiła się specjalnie sukniami. Podobnie jak każda młoda dama z nowojorskiej socjety, była pewna potęgi swojego uroku, bez względu na to, co miała na sobie. I dlatego w wyrazach współczucia, które otrzymała, znalazła subtelne, lecz czytelne słowa złośliwej satysfakcji. Królowa została strącona z tronu.

Co prawda potrzeba było do tego tragedii, ale liczył się rezultat.

Bale odbywały się dalej, podczas gdy Tansy spędzała czas z prawnikami. I tylko nieliczne młode damy składały jej wizyty.

Tansy z przykrością zauważyła, że jej pewność siebie nie była tak niewzruszona jak niegdyś. Może po prostu musiała trochę poćwiczyć w odpowiednich warunkach, takich jak sala balowa pełna mężczyzn.

– A teraz pomyśl, moja droga. Gdybyś była mną i chciała, żeby twój ukochany spojrzął na ciebie i zapomniał o całym świecie, którą sukienkę byś założyła?

Annie wyglądała na urzeczoną tym pomysłem. Po chwili odwróciła się i przejrzała wiszące suknie.

– Białą ze srebrną kokardą – powiedziała z przekonaniem.

Wreszcie jakiś postęp.

– Dlaczego? – chciała wiedzieć Tansy.

– Ponieważ w niej będzie pani wyglądać jak...

– Tylko nie mów: jak anioł!

Annie uśmiechnęła się.

– Jak perła wyjęta z ostrygi. Jak syrena. Nimfa.

Perła! Syrena! Nimfa! Tansy spodobały się te porównania. Przysunęła suknię do twarzy i przejrzała się w lustrze. Z rozpuszczonymi do ramion włosami faktycznie wyglądała jak mityczna istota. Srebrna kokarda pasowała do srebrzystego błękitu jej oczu, biel nadawała jej skórze złocisty odcień, a czerwone usta zdawały się przypominać kolor wnętrza muszli.

Nada się. Odetchnęła.

– Widzisz, Annie, chodzi o to, że mam tylko jedną szansę, by wyrzucić pierwsze wrażenie, a upłynęło

dużo czasu, odkąd ostatni raz byłam na takim przyjęciu.

– Jestem pewna, że zrobi pani niezapomniane wrażenie.

Tansy skinęła krótko głową.

– Dziękuję.

Zatem biała suknia. Wsunęła w nią głowę, jak gracz wybierający kartę, która przesądzi o losie gry.

Podczas obiadu przedstawiono ją licznym członkom rodziny Eversea.

Od razu zwróciła uwagę na wysokich, pociągających mężczyzn o olśniewających uśmiechach, wspaniałych kościach policzkowych i doskonałych manierach. Mieli męskie, bardzo angielskie imiona: Colin, Marcus i Charles, i byli uderzająco podobni do swoich rodziców, którym również nie brakowało uroku. Wszyscy mężczyźni byli wyżsi, choć tylko odrobinę, od pogodnego ojca. Matka natomiast miała ten sam kształt twarzy co Genevieve.

Gdyby byli pralinkami w pudełku, pomyślała, najpierw wybrałaby tego imieniem Colin, najwyższego, jedyne, którego oczy było bardziej zielone niż niebieskie. I lśniły radośnie.

Uśmiechnęła się do niego.

Odwzajemnił uśmiech i prawie do niej mrugnął.

Nieoczekiwanie skrzywił się, jakby ktoś dźgnął go widelcem.

Jednak po chwili grymas zniknął i ustąpił miejsca uśmiechowi, który posłał kobiecie siedzącej naprzeciw niego.

Jej uroda była uderzająca. Czarne włosy, jasna cera, ciemne, zagadkowe oczy. Emanowała pewnością siebie osoby, która wie, że jest kochana; posyłała mężowi subtelny uśmiech.

Jego żona. Madeleine. Pozostałe żony miały na imię Louisa i Rosalind.

Niestety wszyscy Eversea byli po ślubie.

Wszyscy poza Olivią.

Gdy Tansy po raz pierwszy ujrzała Oliwię Eversea, jej pewność siebie nieco osłabła.

Nietrudno było zrozumieć, dlaczego mężczyźni z Sussex i nie tylko zamieniali dom w kwieciste zarosła. Podczas gdy uroda Genevieve była miła i spokojna, Olivia lśniła niczym brylant. Jej oczy intensywnie błyszczały. Była szczupła, może aż nadto, lecz dodawało jej to uroku. Twarz Olivii Eversea pod każdym kątem wyglądała fascynująco. Tansy podziwiała, jak dziewczyna prosto trzyma ramiona, i z jaką gracją sięga po solniczkę.

– Wspaniale gościć w naszym gronie Amerykankę, panno Danforth. Przybyła pani z Nowego Jorku? – spytała.

– Tak. Urodziłam się tutaj i z rozrzewnieniem wspominam Sussex, ale kocham Nowy Jork. – Fala tęsknoty za poprzednim życiem zalała ją tak nieoczekiwanie, że jej dłoń zacisnęła się wokół widelca. Kiedyś zasiadała do stołu z własną rodziną. Śmiała się i sprzeczała, i nie doceniała tego, co miała.

Spojrzała na groszek. Będzie potrzebowała energii na zbliżający się wieczór. Ponownie uniosła widelec.

– Południową część pani kraju zamieszkują właściciele niewolników, czyż nie, panno Danforth?



Widelec Tansy zastygł w drodze do ust.

Na miłość boską, to brzmi jak pułapka.

Podejrzewała, że w przeciwieństwie do niej i do księcia, Olivia Eversea była wnikliwą czytelniczką.

– Sądzę, że można tak powiedzieć – odparła z dużą ostrożnością.

– Czy zna pani kogoś, kto...

Olivia nagle podskoczyła na krześle i pisnęła.

– ...mógłby sprezentować mi rajtuzy – mruknęła niezadowolona.

A przynajmniej to usłyszała Tansy i lekko zmarszczyła czoło.

– Olivia poświęca się dla dobra wielu spraw – oznajmiła jej matka; w jej głosie brzmiała zarówno duma, jak i groźba.

Dlatego pewnie jeszcze nie znalazła męża, pomyślała Tansy. Nie mogła sobie wyobrazić, jaki mężczyzna mógłby tolerować takie zachowanie. Nagle poczuła pewność, że zdoła zdobyć kwiecisty tron Olivii.

Uśmiechnęła się do dziewczyny, chcąc przeprosić ją za tę niegodną myśl.

Olivia odwzajemniła uśmiech, jakby usłyszała każde pomyślane przez Tansy słowo i była pewna swojej przewagi.

– Gdzie jest twój brat? – matka spytała niespodziewanie siedzącego obok niej przystojnego Eversea. Chyba Marcusa? Brat, zdziwiła się Tansy. Powiodła wzrokiem po wszystkich przystojnych twarzach. Było ich więcej?!

Który z nich był balkonowym bóstwem? – zastanawiała się.

Zalała ją fala optymizmu. Może mężczyźni pokroju Eversea występowali powszechnie w Anglii. Może

znalezienie pięknego męża z tytułem będzie tak proste jak strząśnięcie jabłka z drzewa.

– Ostatnio, kiedy go widziałem, naprawiał z Adamem ogrodenie albo dach – oświadczył brat imieniem Chase. – Remont plebanii trochę im zajmie.

– Pokuta za to, co zwykle – powiedział oschle książe.

Jego twarz wykrzywiła się w grymasie. Tansy poczowała silne ukłucie współczucia. Gdy człowiek osiąga wiek księcia, który miał co najmniej czterdziestkę, pewnie wiele rzeczy wywołuje grymas na twarzy. Podagra, migotanie przedsionka, problemy trawienne.

– Nasz kuzyn, pan Adam Sylvaine, jest pastorem w Pennyroyal Green. Zawsze pomaga biednym mieszkańcom Sussex. Jesteśmy z niego bardzo dumni – wyjaśniła Genevieve Tansy.

– Wspaniale mieć pastora w rodzinie. Macie jeszcze jednego brata?

– Czyż to nie szczęście, że tak wspaniała pogoda trafiła się o tej porze roku? – odezwał się książe, jakby w ogóle nie usłyszał pytania. Może zresztą nie usłyszał. Może w tym wieku potrzebował trąbki, aby słyszeć głosy z odległości kilku jardów.

– Szczęście? Czy zazwyczaj panują tu srogie wiosny?

Odniosła wrażenie, że wszystkie oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Nasze wiosny są przepiękne, panno Danforth. Spodobały się pani – łagodnie i powoli odparła Olivia, jakby chcąc pokazać obowiązującą w domu gościnność.

– Macie jeszcze jednego brata? – spróbowała delikatniej i nieco podejrzliwie.

– Jakie ma pani zainteresowania, panno Danforth? – spytał Colin, zmieniając temat; jego oczy obiecująco błyszczały.

– Och, obawiam się, że ostatnio stałam się szarą myszką i nie udzielam się towarzysko. Z radością dowiem się, co sprawia przyjemność mieszkańcom Sussex.

Widziała, że Colin dostrzegł okazję do flirtu. Uwodziciel z niego, a przynajmniej kiedyś nim był.

– Colin lubi krowy – z irytacją wtrącił Chase. – I to bardzo.

– Krowy... – zadumała się Tansy. – No cóż, potrafię wyobrazić sobie kilka ciekawszych zajęć niż dogłądanie młodych byczków.

Zaległa pełna zaskoczenia cisza.

Colin wyglądał na speszonego. Jakby nie wiedział, czy potraktować jej słowa jak brednię, ponieważ właśnie taką odpowiedź chciał usłyszeć.

– Panno Danforth, czy kiedykolwiek odwiedziła pani Indie Wschodnie? – wtrącił Chase. Chyba starał się ją wy badać.

Odwróciła się w jego kierunku.

– Nie miałam jeszcze przyjemności, ale domyślałam się, że praca w Kompani Wschodnioindyjskiej musi być fascynująca. Obaj musicie mieć niezwykle umiejętności. Mam nadzieję, że podczas swojego pobytu usłyszycie więcej o waszej pracy.

Uśmiechnęła się do nich promiennie.

Wszyscy dostrzegli, że Colin i Chase ulegli urokowi dużych oczu, trzepotaniu rzęs i uśmiechowi, aż się rozpromienili.

Zapadła niemal namacalna cisza, a po krótkiej chwili Chase i Colin zaczęli na przemian rozprawiać o krowach

i Kompani Wschodnioindyjskiej, dopóki nie podano puddingu.

## 5

Szara myszka! Dobrze sobie! – powiedziała Olivia do Genevieve po obiedzie. Przysiadła na skraju łóżka Genevieve, rozcierając kostkę. – Ileż kopania i szturchania odbyło się dziś pod stołem! Będziemy musieli ograniczać nasze rozmowy, kiedy ona tu będzie. Nie mogę sobie wyobrazić bardziej satysfakcjonujących zajęć niż dogłębne oglądanie młodych byczków? Nie wierzę! No i przecież kiedyś pozna Iana. Nie możemy wiecznie ukrywać jego istnienia. Nie wiadomo, czy wyda się jej pociągający. Ona jest jeszcze młoda, a Ian potrafi być dość bezpośredni.

Genevieve zawahała się. W jej głowie pobrzmiwało ironiczne pożegnanie opiekunki Tansy: życzę dużo szczęścia, Wasza Książęca Mość.

Postanowiła nie dzielić się tym z Olivią. A przynajmniej nie teraz.

– Nie będziemy jadać z nią wszystkich posiłków. Uważam, że jest urocza. Jest sama na świecie i w mojej opinii stara się nam przypodobać. Dla wszystkich jest miła, łącznie ze mną, więc dla ciebie też będzie, jeśli dasz jej szansę.

Genevieve miała w sobie całe pokłady życzliwości i miłości i była gotowa łagodnie oceniać osobę, która pochodziła z rodziny jej męża i przypominała o szczęśliwych chwilach.

– To się okaże – powiedziała Olivia do lustra. W miłości nie miała szczęścia i nie zamierzała nikomu tak łatwo zaufać.

Tansy wpadła na chwilę do swojego pokoju, żeby wyszczypać policzki, przygryźć usta i poprawić suknię po obiedzie, po czym udała się do sali balowej.

Zjawiła się na progu akurat, gdy znakomita orkiestra zaczęła grać reela, i nagle odniosła wrażenie, jakby jej serce zaczęło wirować.

Żywa muzyka niemal oddawała ideał szczęścia. Jej życie od dawna było pełne zwrotów, choć żaden z nich nie był przyjemny ani wyczekiwany. Dziś z przyjemnością odda się kolejnym tańcom, niczym motyl latający z kwiatka na kwiatek.

Zrobiła niepewny krok. Sala nie była jeszcze pełna.

Nie rozpoznawała twarzy, choć zapewne za kilka godzin będzie wszystkich znała.

Zrobiła kolejny krok. Jakby brodziła w chłodnej wodzie i powoli się do niej przyzwyczajała.

I jeszcze jeden krok, tym razem z uśmiechem.

A potem zastygła w bezruchu.

Stało się coś przerażającego.

Oddech uwiązał jej w gardle, jakby zrzuciono ją z dużej wysokości. Sala się rozplynęła. Odwróciła się i zerknęła przez ramię, jakby spodziewała się zobaczyć napastnika, który właśnie uderzył ją łopatą i pozbawił zmysłów.

Powoli, ostrożnie znów spojrzała w kierunku jednej ze ścian.

Już wiedziała, że to nie napastnik z łopatą, tylko znacznie gorzej.

To był ten mężczyzna.

Niepokojący żar rozpałił jej skórę. Cały świat wydał się niewytłumaczalnie intensywny. Nagle wszystko stało się głośniejsze i jaśniejsze. Była dziwnie świadoma swoich kończyn, jakby ktoś je na nowo zainstalował i musiała nauczyć się ich używać.

Na miłość boską, przecież nie pierwszy raz widzi przystojnego mężczyznę. Dawniej sterowała uczuciami takich jak on z umiejętnością godną lalkarza. To, co się dziś dzieje, to tylko efekt wyjścia z wprawy. Giancarlo, mimo że był przystojny, nie przyprowadził jej o przyspieszone bicie serca.

W czym, u diabła, tkwiła różnica? W tym, że wyglądał, jakby świat leżał u jego stóp? W lekko rozbawionym, zdystansowanym spojrzeniu, jakby traktował wszystkich i wszystko jak swoją zabawkę, i sprawiał, że im się to podoba? W doskonale skrojonym, prostym, lecz eleganckim ubraniu, które kazało jej się zastanawiać, jak mógł wyglądać bez niego? W aroganckim profilu? W niemal onieśmielającym wzroście?

We wszystkim i w niczym. Wiedziała jedynie, że to coś nowego i że ma pustkę w głowie.

Świadoma, że się na niego bezwstydnie gapi, zmusiła się, aby spojrzeć w inne miejsce; z niejasnych powodów jej wzrok powędrował w górę.

Jedyną interesującą rzeczą na suficie był żyrandol, więc udała, że go podziwia.

Kiedy ponownie spojrzała na salę, mężczyzna przypatrywał się jej z widocznym zdziwieniem.

Jej serce zabiło gwałtownie.

Uniósł lekko kąciki ust i skłonił głowę w delikatnym skinieniu, uprzejmym i nieco pobłażliwym.

Leniwie wodził wzrokiem po sali.

Zlustrował ją, jakby była meblem lub żyrandolem, lub – nie daj Boże! – prostą dziewczyną.

Po raz drugi w ciągu kilku minut miała wrażenie, jakby ktoś uderzył ją łopata.

Naszła ją okropna myśl: a co, jeśli dla Anglików nie była atrakcyjna? Jeśli jej rysy wydawały się nieciekawe? Jeśli złociste włosy były passé? Miała wrażenie, jakby pozbawiono ją oręza.

Omam nie wyskoczyła z pantofelków, kiedy ktoś chwycił ją za łokieć. Zapomniała o istnieniu innych ludzi.

Odwróciła głowę i zobaczyła Genevieve.

– O, tutaj jesteś! Wielkie nieba, wyglądasz pięknie! Chodź ze mną, Tansy. Lada chwila twój karnet balowy będzie zapełniony, wierz mi. – Genevieve wzięła ją pod rękę i zdecydowanie ruszyła z miejsca. – I wierz mi, nie masz powodu do nieśmiałości. Wszyscy będą tobą zachwyceni, naprawdę.

Tansy pozwoliła się odciągnąć od mężczyzny, przybierając promienny uśmiech, który posłała tłumowi. Młody mężczyzna na jej drodze zaczerwienił się, a po chwili na jego twarzy pojawił się zachwyt. Czowała, że odprowadza ją wzrokiem.

Gdy przemierzała salę balową z Genevieve, czowała, że obracają się za nią kolejne męskie głowy, niczym kwiaty na łące szukające słońca.

Zanim bal się skończy, tamten mężczyzna też ją zauważy.

Genevieve prowadziła ją przez tłum, przedstawiając młodym mężczyznom i kobietom. Wytrzeszczano oczy na jej widok, jękanono się podczas rozmów, błagano o tańce.

W skrócie wszystko przebiegało tak, jak powinno, i Tansy, rozluźniona, dobrze się bawiła. Strategicznie podarowała tylko jednego walca przypadkowo wybranemu kawalerowi, aby inni zastanawiali się, dlaczego padło właśnie na niego.

– Ach, przez te rozmowy odczuwam pragnienie. Czy sądzisz, że możemy udać się po poncz?

Zacząła iść we właściwym kierunku, zanim Genevieve zdołałaby odpowiedzieć, czy przedstawić ją kolejnej osobie.

Mężczyzna nadal stał samotnie pod ścianą, obserwując z dystansu salę. Miała wrażenie, że czas wolniej płynął, kiedy się do niego zbliżała.

Wydało jej się, że śni, kiedy mężczyzna się wyprostował i powiedział:

– Dobry wieczór, Genevieve. Gdzie się tak spieszysz? Zwracał się po imieniu do księżnej?

Serce Tansy biło tak intensywnie, że zaczęło jej szumieć w uszach.

– Panno Danforth – odezwała się Genevieve – chciałabym, aby poznała pani mojego brata, pana Iana Eversea. Kapitana Eversea, jako że go awansowano.

Jej brat! Brat, o którym nikt nie mówił!

Ian. Ian. Ian.

Nie brzmiało jak Lancelot, ale nie było złe.

Jego pełen gracji ukłon zdawał się fascynujący. Podejrzewała, że wszystko, co robił, było fascynujące – ziewanie, drapanie się, wyjmowanie spiochów z kącików oczu, kiedy budził się rankiem. Nie wyobrażała sobie, że mógłby zachowywać się zwyczajnie.

Z bliska jego twarz była surowa, groźna, ale też i znacznie piękniejsza. Kości policzkowe, szczeka i czo-



ło połączone w surowej, wielopłaszczyznowej symetrii godnej rzeźbiarza. Tak samo usta. Oczy nad kośćmi policzkowymi – nieprzystępne jak mury zamku – były niebieskie, rozbawione, nieco cyniczne. Był starszy, niż początkowo sądziła. Był też potężniejszy. I w przeciwieństwie do wielu młodych mężczyzn zdołał patrzeć na nią bez czerwienienia się.

To, co czuła w jego obecności, było zbyt intensywne, aby nad tym zapanować, zbyt nowe, aby to nazwać. I może właśnie na to czekała przez całe życie.

Czy to mógł być mężczyzna z balkonu?

– Miło mi panią poznać, panno Danforth.

Mówił donośnym barytonem. Wyobraziła sobie, że wydobywał się z jego płuc, niczym huk pioruna. Aristokrata. Uprzejmy, lecz nie nadto entuzjastyczny. To dobrze. Ci, którzy chcą się przypodobać, bywają męczący.

Dołożyłaby starań, żeby zwiększyć jego entuzjazm.

Zdała sobie sprawę, że jeszcze się nie odezwała. Postanowiła go olśnić.

– Proszę zwracać się do mnie Tansy.

Zabawne, jak zaskakująco słabo brzmiał jej głos.

Lekko się uśmiechnął.

– Ach tak?

Miała wrażenie, że jej imię bawi Anglików.

Ku swojemu przerażeniu poczuła, że kolejna fala gorąca zalewa jej policzki. Na pewno poczerwieniła od stóp do głów.

Wysiliła się na promienny uśmiech. Nie wypadł naturalnie, jakby nagle miała w ustach dwa razy więcej zębów niż zwykle.

Co się z nią dzieje?

– Moi przyjaciele tak się do mnie zwracają. A mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

– Przyjaciele mojej siostry są moimi przyjaciółmi. Powiedział to z pewną obojętnością.

I wyczuwalnym rozbawieniem.

Genevieve lekko odchrząknęła. Tansy zerknęła na nią z zaciekawieniem. Wyczuła sceptycyzm, może ostrzeżenie.

– Właśnie szukamy najznakomitszych tancerzy, którzy wypełnią karnet balowy Tansy, Ianie.

Zabrzmiało to, jakby Genevieve nie chciała, żeby Ian był jednym z nich.

– Obawiam się, że wyszłam z wprawy... – Tansy z fałszywą skromnością spuściła wzrok, dzięki czemu zauważyła jego dłonie. Duże, o długich, prostych palcach. Poczuała nagle ciepło... – Będę zaszczycona, jeśli zechce pan ze mną zatańczyć, panie Eversea.

Śmiałe zagranie z jej strony. Ryzykowne, lecz można je złożyć na karb amerykańskich manier. Poza tym wiedziała, że żaden angielski dżentelmen jej nie odmówi.

Podejrzewała, że nie taki plan miała Genevieve, choć nie wiedziała dlaczego.

Podniosła wzrok i dostrzegła, że Ian wymienia dyskretne spojrzenie z siostrą, bezgłośnie pytając: „Czy muszę?”

Bezczelny.

– To zaszczyt i przywilej, jeśli zatańczy pani ze mną walca – powiedział poważnie, lecz z błyskiem w niebieskich oczach, który zapewne miał ją olśnić.

I rzeczywiście jego spojrzenie było olśniewające. Tak olśniewające, żeomal nie zapomniała, że przed chwilą przekroczył wszelkie granice.

Niemal tak mocno jak ona.

– Z wielką przyjemnością, panie Eversea – powiedziała poważnie, gdy Genevieve ponownie ją odciągnęła.

## 6

Panna Danforth tańczyła kadryla z Simonem. Młody mężczyzna wyglądał na odurzonego szczęściem i często potykał się o własne stopy, choć Ian mógłby przysiąc, że Simon tańczył kadryla setki razy. Panna Danforth uśmiechała się promiennie za każdym razem, kiedy się plątał, jakby robił to, aby ją rozbawić.

Ian lekko zmarszczył czoło.

Siostra stanęła u jego boku.

– Dobry wieczór po raz kolejny, Genevieve. Czyżby taniec wyczerpał twojego męża?

Przewróciła oczami. Była tak pewna wigoru męża, że żarty z jego wieku spływały po niej jak po kaczce.

– Musiał udać się na nagłe spotkanie. Coś związanego z inwestycją, którą planuje – zamilkła. – Miło z twojej strony, że byłeś... uprzejmy... wobec panny Danforth, Ianie.

Uśmiechnął się dość ponuro.

– Miło ze strony twojego męża, że ostrzegł mnie, abym jej nie zbałamucił.

– Ach, czyżby? – Jednak chyba nie była zaskoczona. – Widzisz, w niektórych sprawach może być przeczułony.

Przekomarzała się z nim, choć nie do końca. Starła się patrzeć na nią ze świętym oburzeniem, ale nie było to łatwe w towarzystwie Genevieve. Zwłaszcza że była tak szczęśliwa z księciem, aż bił od niej blask godny średniowiecznego świętego.

I również dlatego, że nie zwykł przyprawiać rogów mężczyznom.

Westchnął.

– Nie bałamucę niewinnych dziewcząt, Genevieve. – Sugerował tym samym, że ówczesna narzeczona księcia nie była niewinna, a raczej współwinna całego zajścia.

Genevieve skwitowała to obojętnym prychnięciem.

I zamilkła na chwilę.

– Panna Danforth jest urodziwa – powiedziała ostrożnie.

Westchnął.

– Owszem. Jednak wiele jest kobiet urodziwych, za co jestem bezbrzeżnie wdzięczny Stwórcy.

Był pewien, że panna Danforth nawykła do komplementów. Zaryzykowałby nawet stwierdzenie, że chętnie trzepotała rzęsami i posyłała niewinne spojrzenia, aby uzyskać od mężczyzn to, czego chciała. Była jeszcze dzieckiem. Rumieńce... Olśniewający uśmiech... Niepewne rozmowy... Widział już to z milion razy i dziś nawet go to bawiło. Choć gdy nie był w nastroju, takie zachowanie uważał za irytujące. Nie stanowiło żadnego wyzwania. Nie znosił go.

– Wydajesz się obojętny.

– Racja – stwierdził krótko, nie mając ochoty na rozwodzenie się o tym. Rozejrzał się za braćmi lub kuzynem, lub kimkolwiek, z kim mógłby wymknąć się do biblioteki i opróżnić karafkę brandy, dzięki czemu tańce stałyby się ciekawsze. Nie widział jednak żadnego z nich. Wyglądało na to, że na razie będzie musiał zadowolnić się ratafią. – Pragnąłbym, abyś mi ufała, Genevieve.

– Również bym tego pragnęła – odpowiedziała pogodnie, lekko trącając go wachlarzem. Ian zyskał pewność, że mu nie ufa. Ani trochę.

Odrobinę go to zabolalo, ale chyba nie powinien być zaskoczony. Reputacja uwodziciela nie wzięła się znikąd.

– Falconbridge ma znaleźć dla niej kandydata na męża. Najlepiej z tytułem, a przynajmniej z olbrzymim majątkiem. Takie były warunki testamentu jej ojca.

– Książąt nie ma na pęczki, nieprawdaż? Chociaż... dziedzic księcia de Neuville jest pełnoletni i bez wątplenia przydałaby mu się żona. Jak wszystkim dziedzicom. Rozmawiałem z nim u White'a. Doskonałe maniery. Nie za wyniosły. Cudownie nijaki.

Genevieve się roześmiała.

– Podejrzewam, że są gorsze cechy niż „cudownie nijaki”.

Wzruszył ramionami.

– Moje gratulacje dla panny Danforth i nieszczęśnika, który ją poślubi. Skoro mowa o nieszczęśnikach, nadchodzi twój.

Genevieve już go nie słuchała. Wpatrywała się w męża, kierującego się do niej przez zatłoczoną salę niczym statek płynący do macierzystego portu.

Od razu porzucił Genevieve na rzecz wazy z ponczem i podskoczył zdziwiony na widok pary oczu, zerkających zza wysokiej rośliny. Schylił się ku niej.

– Dobry wieczór, panno Charing.

– Dobry wieczór, kapitanie Eversea. – Niebieskie oczy panny Josephine Charing zamrugały. Była urodziwą, gadatliwą młodą damą o dużym sercu i małym mózdzku. Ostatnio zaręczyła się z Simonem Covingtonem.

– Czy wszystko w porządku? Chyba nie chowa się pani po kątach?

– Pan to czasem robi, prawda, panie Eversea? Kiedy zbyt wiele dziewcząt chce z panem tańczyć.

– No cóż... może czasem mi się zdarzyło – powiedział ostrożnie, zaskoczony. – Niekiedy dobrze jest trochę odpocząć.

– Niełatwo być urodziwym, prawda? – powiedziała z nutą nostalgii.

– Zgodzę się z panią. – Był rozbawiony i przekonany, że panna Charing nieco zbyt ochoczo zaglądała do szklaneczki z ratafią. – Dlaczego stoi pani za tą rośliną? Czy coś panią niepokoi? – Natychmiasyt pożałował, że spytał. Od takich spraw był jego kuzyn Adam Sylvaine, pastor. KobiECE zwierzenia zawsze przerażały i krępowały Iana. Czym te kobiety się przejmowały! Ale niestety Adama nie było na balu. – Czy coś panią niepokoi? – powtórzył niemal z nadzieją. Z łatwością poradzi sobie z każdym uwodzicielem, który posunąłby się za daleko czynem lub słowem. Liczył, że taki właśnie był problem. Zaczął się niecierpliwić i nie miałby nic przeciwko, żeby wyładować się na kimś, kto zasługiwał na karę.

– Po prostu... no cóż, boję się – wyznała szeptem.  
– Kogo się pani obawia? – Natychmiast wzmogła się w nim czujność. Powiódł uważnym wzrokiem po sali balowej, szukając mężczyzny, który mógłby stwarzać zagrożenie. I który zapewne był pijany.

– Widział pan pannę Danforth?

Zamrugął ze zdziwienia.

– Tak. Czy boi się pani panny Danforth? Nie wyglądała na uzbrojoną, kiedy ją widziałem.

Zawahała się.

– Mój Simon tańczy z panną Danforth.

Ian zerknął w kierunku, w którym patrzyła. Miała rację, Simon tańczył. Poważny Simon Covington o podłużnej, przyjemnej twarzy, zadurzony po uszy w pannie Charing, faktycznie tańczył z panną Danforth.

– Czyż nie jest urodziwa? – powiedziała płacząco Josephine. Chciała zabrzmieć życzliwie, lecz nie zdołała zapanować nad paniką w głosie.

– Tak. Podobnie jak pani.

– Uprzejmy pan – powiedziała z roztargnieniem. Drugi raz dziś go o to oskarżono, choć w żadnym z przypadków nie był całkiem szczery. O jej sile miłości do młodego Simona świadczył fakt, że nawet nie zerknęła na Iana, kiedy to mówiła. Kiedyś tym komplementem podbiłby jej serce.

– Zawsze, kiedy z kimś tańczy, szuka mnie wzrokiem. Oczywiście robi to subtelnie, inaczej mógłby wpaść na swoją partnerkę. A odkąd zaczął się walc, ani razu nie spojrzął na mnie. Ani razu – powtórzyła żałośnie.

– No cóż, chowa się pani za donicą – zauważył.

– To ze strachu. Z każdym kolejnym obrotem zdaje się zapominać o moim istnieniu.

Ian odwrócił się, aby przyjrzeć radośnie tańczącej parze. Panna Danforth uśmiechała się do Simona tak promiennie, jakby nigdy w życiu nie widziała ani nie słyszała nikogo równie fascynującego. Była tak przekonująca, że Ian zaczął się zastanawiać, czy Simon przypadkiem nie posiada ukrytej głębi, której dotychczas nie dostrzegł.

Zmarszczył czoło w zamyśleniu.

– Panno Charing, proszę się nie martwić. Dano mi do zrozumienia, że panna Danforth jest nieco nieśmiała. A Simon szaleje za panią. Jeśli panna Danforth zacznie z nim flirtować, wyzwe ją na pojedynek.

Panna Charing się roześmiała.

– Ja wcale nie jestem nieśmiała – powiedziała z wyczuwalną ulgą. – Simon zapewnia mnie, że z przyjemnością pozwala mi mówić za nas dwoje. Cieszy go to.

– Są państwo dla siebie stworzeni.

– Dziękuję, kapitanie Eversea.

– Do usług, pani Charing. Czy teraz wyjdzie pani z tej rośliny, żeby Simon mógł panią zobaczyć? Może poczęstuje się pani kanapką? – Sięgnął za siebie i ukradkiem odsunął wazę z ponczem sprzed jej oczu, żeby nie kusiła, i skinął w kierunku kanapek.

– Uwielbiam kanapki!

Kiedy podeszła, aby wybrać przekąskę, Ian ponownie spojrzął na pannę Danforth i Simona.

Nie mógł nie zauważyć, że to Simon prowadzi konwersację.



Simon Covington odprowadził pannę Danforth do czekającej grupy przyjaciół i niczym żelazo przyciągane przez magnes natychmiast stanął u boku panny Charing. Ian zauważył, że mężczyzna ma zamyślony i nieco oszołomiony wyraz twarzy, jakby doświadczył religijnego przeżycia i usilnie próbował je zrozumieć.

Co się stało podczas walca?, zastanawiał się.

Zrobił krok w ich kierunku, chcąc zbadać sprawę, kiedy kątem oka zauważył błysk czerwieni. Instynktownie się odwrócił.

Ciemnowłosa piękność uważnie przyglądała się kanapkom.

Ian doskonale wiedział, czego tak naprawdę poszukuje.

Lekko się uśmiechnął. Kiedy przemówił, celowo powiódł wzrokiem po sali balowej.

– Dobry wieczór, lady Carstairs. Czy szuka pani czegoś, co zaspokoi pani apetyt?

Lekko się odwrócił i na jej twarzy zobaczył przelotny, enigmatyczny uśmiech. Zerknęła na niego z ukosa. A kiedy się pochyliła, jedynie odrobinę, żeby wybrać kanapkę, mógł dostrzec kształt jej pośladków skrytych pod ciemnoczerwonym jedwabiem. Oczywiście zrobiła to celowo. Była wdową i przyjaciółką rodziny zmarłej lady Fennimore, a swój czas dzieliła między Sussex a Londynem.

– Zakładając, że mój apetyt można zaspokoić – odparła beztrzesko. – Widzi pan, jestem smakoszem.

– Wystarczy powiedzieć, czego się pragnie, aby to dostać – powiedział poważnie. – Z przyjemnością porozmawiam podczas pani pobytu w Sussex o pani wyjątkowych upodobaniach.

Kiedy wróciła do swoich przyjaciół, nie patrząc mu w oczy, Ian zdał sobie sprawę, że rozmowa z tą kobietą była niczym rozgrywka karciana.

Jeśli o księciu Falconbridge mówiono, że nigdy nie przegrywa w karty, to o Ianie Eversea można było powiedzieć, że nigdy nie przegrywa w damsko-męskich grach.

– Pan Covington opowiadał mi o swoich planach budowy domu w pobliżu... och, jak pan to nazwał? Akademii... Szkoły... – zamilkła speszona, wpatrując się w jego twarz, jakby mogła z niej wyczytać odpowiedzi na wszystkie pytania świata.

– Akademia dla Młodych Dam panny Marietty Endicott – dokończył Simon, jakby powiedziała coś wyjątkowo błyskotliwego.

Po zakończonym walcu Simon odprowadził pannę Danforth tam, gdzie wcześniej stał Ian z panną Charing; oboje wciąż wspominali swój taniec.

Panna Danforth uśmiechnęła się promiennie do Simona i powiodła wzrokiem po pobliskich uczestnikach balu, aby włączyć ich do rozmowy.

– Czy on zawsze jest taki, panno Charing? Czy zawsze kończy zdania za panią?

– Nie! – powiedziała panna Charing niemal z przerażeniem.

– Jest taki mądry! Jak mu pani dotrzymuje tempa? Simon poczerwieniał z radości.

– Czasami sama się zastanawiam – odparła pani Charing, przyglądając się Simonowi, jakby był nieznanym, który udaje jej narzeczonego.

– Tak bardzo cenię zdanie panny Charing, że z przyjemnością pozwalam jej na prowadzenie rozmów – za-

pewnił z przekonaniem Simon. Te słowa udobruchały pannę Charing.

Na chwilę.

– Muszę przyznać, że pani talent do konwersacji musi być zaraźliwy, panno Charing, jako że pan Covington jawi się jako błyskotliwy rozmówca. Wahałam się, czy cokolwiek wtrącić, gdyż nie chciałam uronić ani jednego jego słowa.

Simon uśmiechnął się promiennie i wychrypiął z satysfakcją: „Jestem błyskotliwy!”, głosem pijanej papugi.

– Wiedzą państwo, ostatnio czuję się jak szara myszka. Bardzo mi pomaga, gdy ktoś prowadzi rozmowę. Obawiam się, że wyszłam z wprawy. – Tansy spuściła wzrok.

– Dobrze sobie pani radziła! – bronił jej Simon. – Ba, wręcz doskonale! Czyż nie idzie jej dobrze? – Powiódł wzrokiem po rozmówcach, szukając potwierdzenia swoich słów.

– Bardzo dobrze – powiedział oschle Ian.

Panna Charing posłała Ianowi spanikowane spojrzenie.

Panna Danforth zerknęła na niego i dostrzegła grymas na jego twarzy. Znów poczuła, jak czerwień oblewa jej policzki, i szybko spojrzała na salę balową, jak najdalej od niego. Ach te ciągle rumieńce. Jakże on ją onieśmielał! Była taka dziecinna! Gdzie trzymano ją przed podróżą do Anglii? Przecież nie wychowywała się w zakonie?

Właśnie wtedy Tansy zauważyła, że siostra Iana, Olivia, zbliża się do nich w olśniewającej seledynowej sukni. Utykając, wspierała się o ramię lorda Landsdowne’a,

którego twarz była uosobieniem troski, jakby Olivia była niezmiernie kruchą istotą.

– Co się stało, Liv? Czyżbyś kopnęła kogoś zbyt mocno?

– Bardzo śmieszne, Ianie. Obawiam się, że zbyt entuzjastycznie chciałam obrócić się w tańcu. Moja kostka poszła w jedną stronę, a ja w drugą. Niedługo znów będę tańczyła. Po prostu muszę chwilę odpocząć, przez co niestety lord Landsdowne pozostaje bez partnerki podczas kolejnego tańca.

– Z przyjemnością usiądę u pani boku i nakłonię pani kostkę do zagojenia się. Potrafię być bardzo przekonujący – zapewnił natychmiast Landsdowne.

Olivia uśmiechnęła się do niego.

A wtedy lord odwrócił się lekko, jakby przypomniawszy sobie o nienagannych manierach, i zobaczył Tansy.

Zaległa chwila milczenia, kiedy Landsdowne, lekko speszony, spoglądał na nią. Ian niemal mógł usłyszeć jego myśli: to niemożliwie, aby była aż tak piękna.

– Nie miałem jeszcze przyjemności – powiedział powoli. Landsdowne był dojrzałym i onieśmielającym mężczyzną. Taki mężczyzna nie wybałusza oczu ani się nie jąka. O nie. Taki mężczyzna rozmyśla i planuje.

– Gdzie podziały się moje maniery? – natychmiast odpowiedziała Olivia. – Wicehrabio Landsdowne, to nasz gość z Ameryki, panna Titania Danforth.

Panna Titania Danforth spuściła oczy i dygnęła, powoli i z gracją, niczym listek spadający z drzewa.

Ian zauważył, jak Landsdowne mierzy ją wzrokiem.

– Jakież to fascynujące mieć Amerykankę w swoim gronie, panno Danforth – powiedział bez zająknięcia.

– Och, to ja jestem zafascynowana, mogąc być w tak szacownym gronie. Jest pan pierwszym wicehrabią, jakiego poznałam. – Znow spuściła wzrok.

Landsdowne uśmiechnął się, wyraźnie urzeczony.

– A ja jestem pierwszym baronem, jakiego pani poznała! – wtrącił dotychczas milczący Simon.

Spojrzała na niego wesoło.

– Och, naprawdę jest pan baronem, Simonie? Jakie to wspaniałe!

– No, jeszcze nie jest – wyjaśniła Josephine nieco zbyt obcesowo, co kazało Ianowi spojrzeć na jej szklaneczkę z ratafią. – Jego ojciec musi wprawdzie umrzeć.

– Czy w Ameryce często gościła pani na balach i przyjęciach, panno Danforth? – spytał uprzejmie Landsdowne.

– Ostatnio raczej rzadko. Obawiam się, że nieco wyszłam z wprawy. – I znow spuściła gęste rzęsy.

Trzeba przyznać, że Landsdowne wyglądał nieco sceptycznie.

– No cóż, musimy temu zaradzić, nieprawdaż? Domyślałam się, że zaplanowano wiele atrakcji, aby wprowadzić panią do towarzystwa Sussex. To przyjęcie to tylko początek, panno Danforth.

– Książę Falconbridge wziął pannę Danforth pod swoje skrzydła – wyjaśniła Olivia, na co Landsdowne uniósł brew.

– Dzisiejszego wieczoru nie tańczyłam jeszcze ree-la. Zastanawiam się, czy go jeszcze pamiętam! Jestem skrupowana występem przed tak licznymi gośćmi po długiej przerwie.

– Jestem cierpliwym nauczycielem – powiedział Landsdowne. – Pozwoli pani?

– Och... – Znów spuściła wzrok. – Nie wiem, czy powinnam narażać pana na mój nieumiejętny taniec.

Na chwilę zapadła krępująca cisza, jakby wszyscy uważali, że zgoda Olivii jest nieodzowna.

– Proszę z nim zatańczyć, panno Danforth – uprzejmie zachęciła ją Olivia – Doskonale tańczy i nie powinniśmy pozbawiać gości przyjemności podziwiania go.

Ian zauważył, że Olivia była wyjątkowo zadowolona.

Landsdowne się skrzywił.

– W takim razie zatańczę dla waszej przyjemności – powiedział z udawaną powagą i wyjątkowo nisko się skłonił, wysuwając jedną nogę w kierunku Olivii, która skinęła po królewsku, przyjmując hołd.

Simon i panna Charing przeszli do ogrodu, gdzie Simon mógł skraść jej pocałunek... albo panna Charing mogła zwymiotować. Jedno i drugie jest prawdopodobne, pomyślał Ian.

– Powinieneś zatańczyć – zauważyła Olivia.

– Lubię siedzieć z tobą. – Co było prawdą. Do reelów żywił mniejsze upodobanie niż do walców, i choć wiedział, że jako kawaler powinien uczestniczyć w tańcach, stwierdził, że Olivia potrzebuje towarzystwa.

Olivia prychnęła.

Obserwowali, jak panna Danforth i Landsdowne tańczą reela. Jak na rzekomą nowicjuszkę szybko uczyła się kroków. Tańczyła z lekkością i widoczną radością.

– Wygląda na... wesołego – powiedziała, jakby było to obce słowo, którego wymowy nie jest pewna.

Ian się roześmiał.

– A zazwyczaj jest ponury? Sprawia takie wrażenie. Ale dobry z niego człowiek – dodał pośpiesznie. – Lubię go.

– Zwykle bywa dowcipny. Chociaż jest to raczej cięty dowcip. Jest dobrym człowiekiem – powiedziała w zamyśleniu. – Lubię go.

Zamilkła.

– Lubisz? Cóż za namiętne wyznanie.

Posłała mu zniesmaczone spojrzenie, ale nic nie dodała.

Jego siostra niemal do wszystkiego podchodziła z pasją. Do zniesienia niewolnictwa. Pomocy ubogim. Ochrony miejsc historycznych. Koloru ubrań. Miała określone i zdecydowane poglądy w prawie każdej kwestii i umiała je mądrze, a często dowcipnie uzasadnić, co stanowiło część jej uroku. Bywała wyzwaniem, bywała męcząca, ale nigdy nudna.

W stosunku do Landsdowne'a była bardzo powściągliwa. I nigdy nie słyszał, aby wymówiła imię Lyona Redmonda od czasu, gdy ten kilka lat temu zniknął.

Ian często myślał, że Olivia znalazła tego jedyne go mężczyznę, a ten jedyny mężczyzna zniknął ponad trzy lata temu.

Landsdowne odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się z czegoś, co panna Danforth, szara myszka, powiedziała.

– Co myślisz o panie Danforth? – spytała Olivia.

– Niezwykle urodziwa, ale mdła i nieinteresująca. Niewinna dziełatka. Doskonale sobie poradzi jako

rozpieszczona żona bogatego arystokraty. I nie mam wątpliwości, że wkrótce będzie miała ku temu okazję.

Olivia rozważyła jego odpowiedź.

– Mogłabym się zgodzić z twoimi słowami poza jednym. Nie jestem przekonana, że jest nieinteresująca. Zastanawiam się, czy to nie strategia. Spuszczanie wzroku, uśmiechy...

– Cóż, gdy człowiek ma przed sobą zaszyfrowaną wiadomość, może ją odczytać na różne sposoby. Tak samo jak próbujemy dojrzeć różne kształty w chmurach.

– Może masz rację.

Zaległa kolejna chwila milczenia. Panna Danforth uśmiechała się. W świetle żyrandola jej cera nabierała kremowego, lekko perłowego, szlachetnego odcienia. Poruszała się z lekkością. Obserwowanie jej w skocznym tańcu stanowiło prawdziwą przyjemność. Tańczyła, jakby muzyka była częścią niej, i Ian poczuł, że coś się w nim rozluźnia, gdy na nią patrzy. Jakby radość była jej wrodzonym stanem.

Landsdowne znów się roześmiał, kiedy wpadł na kogoś i musiał wylewnie przeproszać.

– Nie wiem, czy ze mną się tak dużo śmieje – powiedziała Olivia.

Ian zastanawiał się, czy jego siostra, przyzwyczajona do roli bogini Sussex i Londynu, jest tym zmartwiona.

– Zapewne jest zbyt zafascynowany tobą, Olivio, żeby się śmiać.

– Zapewne. – Olivia się uśmiechnęła.



Po zakończeniu reela Landsdowne i panna Danforth byli zgrzami, ale zadowoleni. Landsdowne usiadł posłusznie obok Olivii. Jak wierny pies, który nigdy nie opuści swojej pani, pomyślał Ian.

Co jego skazywało na pannę Danforth, która nie uśmiechała się ani nie trzepotała rzęsami; była osobliwie cicha.

Kiedy zaczęto grać walca, Ian skłonił się i podał rękę dziewczynie, której suknia była tak biała i zwiewna, że równie dobrze mogłaby sobie wypisać na czole „jestem dziewicą”. Po drugiej stronie sali dojrzał wdowę w czerwieni i pozwolił myślom popłynąć w jej kierunku, żałując okazji, jakiej pozbawiła go Tansy. Powstrzymał westchnienie.

Panna Danforth podała mu dłoń z wątpliwym wdziękiem, jakby wyciągała miecz z kamienia. Szczęściarz ze mnie dostać taki podarek, pomyślał ponuro.

Wziął jej dłoń i z ironiczną powagą objął ją w pasie. Czuł, że jej oddech uwiązał w delikatnej piersi.

Nagle zaczął się zastanawiać, ile czasu minęło, odkąd jego dotyk był dla kobiety czymś nowym, zaskakującym i ekscytującym.

Z zaskoczeniem poczuł napływ instynktu opiekuńczego, który zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Spojrzał w srebrzysto-niebieskie oczy, tak kryształowe, że mógł się w nich przejrzeć. Były to oczy kobiety, która nie splamiła swojej reputacji nocnymi schadzkami ani innymi występkami.

Naprawdę nie mieli ze sobą wiele wspólnego.

Prowadził w wirującym walcu z równą łatwością, z jaką kierował koniem na tłocznej Bond Street.

Nie powiedziała jeszcze ani słowa. Wpatrywała się w niego, jakby była mieszkanką dalekich wysp, które według relacji Milesa Redmonda nigdy nie widziały prawdziwego Anglika.

Kusiło go, żeby zacząć rozmowę od „uuu!” albo innego okrzyku mogącego ją wystraszyć.

– Jak się pani podoba Anglia, panno Danforth? – powiedział zamiast tego.

– To, co dotychczas widziałam, bardzo przypadło mi do gustu.

Powiedziała to z takim zapalem, że zmrużył oczy. Gdyby jej nie znał albo gdyby te słowa wyszły z ust innej kobiety, uznałby, że mają podtekst seksualny. Pamiętał też jej słowa: „Będę zaszczycona, jeśli zechce pan ze mną zatańczyć, panie Eversea” i „Proszę zwracać się do mnie Tansy”. Ale może wszyscy Amerykanie są po prostu nieco zbyt bezpośredni.

A teraz wpatrywała się w niego zamglonym wzrokiem. Był znawcą kobiecych ust i musiał przyznać, że jej były dziełem sztuki. Dolna warga – perłoworóżowa, kusząco wygięta, górna – mniejsza, z dwoma delikatnymi łukami. Przypominały serce. Figlarne i zmysłowe, aż kusiło go, aby przesunąć po nich palcem.

Jej twarz również była w kształcie serca, a ciepło zatłoczonej sali balowej i energia, z jaką tańczyła, zaróżowiły jej policzki. Taki właśnie kolor pojawiał się na twarzy kobiet podczas uprawiania miłości.

Rozwahał, czy nie powiedzieć jej tego, po to, żeby ją zaszokować.

– Coś pana bawi, panie Eversea? – spytała z powściąganą wesołością.

– Och, zawsze coś mnie bawi. Podejrzewam, że to mogłaby być moja dewiza. Jaka jest pani, panno Danforth?

– Nigdy się nie poddawaj – odparła bez zastanowienia.

Nieco go tym zaskoczyła.

– Ach, to szkoda – mruknął, bez przekonania wysyłając sygnał do flirtu, niczym przemytnik, który wysłał sygnał z wybrzeża i nie spodziewa się odpowiedzi.

Coś się pojawiło na jej gładkim czole. Irytacja? Dezorientacja? Zmieszanie?

– Słucham? – spytała uprzejmie.

Nie rozwinął swojej wypowiedzi.

– Lepsze takie motto niż to z Leicestershire: „Zawsze to samo” – dodał.

Rozśmieszyło ją to; on z kolei z trudem stłumił grymas.

Jej uśmiech szybko przygasł i zamilkła. Po chwili odchrząknęła.

– Jednak w jednostajności można odnaleźć pewien spokój – wyjaśniła mężczyźnie, który lubował się w ryzyku i nowościach, a zwłaszcza w nowych kobietach. – Dlaczego wspomniał pan o Leicestershire? Czy jest tam coś wyjątkowego?

Zdawała się wyczekiwać z zapartym tchem. Jakby wszystko zależało od tego, co powie Ian.

– Pochowano tam Ryszarda III. A przynajmniej tak mówią. – Tylko tyle wiedział o Leicester. No i jeszcze znał motto.

– Ryszard III? Ten od królestwa za konia? Ten nikczemnik? Czyżby interesował się pan historią? – Wydawała się mocno przejęta.

– Niespecjalnie. A pani interesuje się historią, panno Danforth?

To było ważne pytanie. Odpowiedź twierdząca upewni go, że musi unikać rozmów z nią. Nawet możliwość zrobienia na złość księciu Falconbridge nie skusi go do dysput o wydarzeniach sprzed setek lat.

Dla Iana terażniejszość była znacznie bezpieczniejsza niż przeszłość, a o przyszłości myślał z ekscytacją. To będzie jego schronienie, wszystkie porty na mapie świata. Będzie płynął niczym rzeka, nigdzie się nie zatrzymując. Podejrzewał, że ciągły ruch leżał w jego naturze.

Spojrzał ponad głowę Tansy i rozejrzał się po sali. Zobaczył, że Olivia wiruje się ramionach dumnego lorda Landsdowne. Albo rozchodziła bolącą kostkę, albo postanowiła, że lepiej trzymać się Landsdowne'a po jego tańcu z panną Danforth. Olivia wyglądała na... z nią nigdy nic nie było pewne. Do perfekcji opanowała sztukę udawania, że wszystko jest w porządku. Ale ostatnio coś się w niej zmieniło, pojawił się pewien rodzaj buntu. Jakby uznała, że Lyon Redmond przypatrzuje się jej spacerom i tańcom z Landsdowne'em i cierpi z tego powodu.

– Interesuję się niektórymi okresami w historii. Może pewnego dnia pojedę do Leicester. – Panna Danforth była chyba odrobinę zdesperowana.

Spojrzał na nią.

– To miło – odrzekł uprzejmie. A ponieważ miał wrażenie, że cała rozmowa traci kierunek i nie można

go winić za to, że nie zdołał utrzymać jej kursu, ponownie spojrzął ponad głową Tansy... i była tam. Lady Carstairs tańczyła z jakimś szczęściarzem.

Wiedział, że jej zmysłowy uśmiech i lekkie skinienie głową było przeznaczone dla niego. Zastanawiał się, do której sali powinien spróbować ją zaprosić na rozmowę pełną podtekstów.

Tak się flirtuje, panno Danforth, miał ochotę powiedzieć.

– Czym się pan zajmuje, panie Eversea? – spróbowała Tansy odrobinę szorstko.

– Przeważnie gorszeniem przyzwoitych ludzi.

Zaraz pożałował tego, co powiedział. To nie było miłe. Był bardziej arogancki i impulsywny niż zwykle. Po prostu nagle życie wydało się zbyt krótkie na walce takie jak ten.

Kolor zagościł na jej policzkach po raz kolejny. Dziewczyna rumieniła się z zaskakującą łatwością. Wiedział, że zapędził ją w kozi róg: gdyby poprosiła go o wyjaśnienie, byłoby to równoznaczne z chęcią posłuchania o skandalach, co oczywiście oznaczałoby, że kusi ją nieprzyzwoitość.

Tansy nie miała pojęcia, co odrzec.

Ukarał dziewczynę za to, że w jego opinii była nieinteresująca, niewinna i niedoświadczona.

– Dlaczego mówią na panią Tansy? – spytał, jakby zapomniiał, że przed chwilą był wyjątkowo nieuprzejmy.

– No cóż – powiedziała w zamyśleniu. – Przewiska są zazwyczaj jakąś formą imienia, prawdaż? Przykładowo, jeśli zdrobnienie Johnny powstaje od pierwszej sylaby imienia John, jak zdrobniłby pan imię Titalia?

– No cóż, chyba Tit... sy\*.

Ogarnęła go zgroza. Był w połowie imienia, kiedy zrozumiał, co mówi, ale z rozpędu dokończył.

Wpatrywał się w nią ze zdumieniem.

Czy... czyżby to ta delikatna, dobrze wychowana „szara myszka” naprawdę go tak podpuściła?

Z pewnością nie miała takiego zamiaru.

Jednak teraz nie mógł myśleć o niczym innym niż o jej piersiach.

Choćby nie wiem co, nie spojrzysz w dół.

Tansy wpatrywała się w niego spokojnie. Chyba dostrzegł błysk triumfu lub wyzwania, ale równie dobrze mogło to być światło żyrandola odbijające się w jej jasnych, niewinnych oczach.

– Rozumie pan, że trudno, aby ktokolwiek się tak do mnie zwracał, panie Eversea – powiedziała poważnie.

– Ma pani rację – powiedział krótko.

Ostatnie takty walca upłynęły im w całkowitym milczeniu.

A kiedy skłonił się na zakończenie, spojrział.

Rzeczywiście jej piersi były wspaniałe.

Tansy wróciła do pokoju bardzo – a nawet zbyt – późno upojona ratafią, szampanem i komplementami, zarówno tymi otrzymanymi, jak i prawionymi przez siebie.

Przez chwilę stała nieruchomo pośrodku dywanu, wspominając wydarzenia z balu. Radowała się każdym małym triumfem, każdym zdobytym spojrzeniem i wy-

---

\* tits – ang. cycki (przyp. tłum.).

wołanym śmiechem. Dopóki nie pomyślała o mężczyźnie, na którym jej zależało.

Wtedy jej uśmiech lekko zbladł.

Jęknęła i zakryła twarz rękami, kołyszając się w przód i w tył.

W towarzystwie innych była uosobieniem gracji. Przy nim chichotała bez sensu i emocjonowała się wszystkim jak zwierzę wypuszczone z pułapki. Okropne, bez krzty wdzięku. Widziała, co się działo, jakby wyszła ze swojego ciała i unosiła się nad nim, ale nie mogła nic, absolutnie nic, na to poradzić. Co się z nią działo? Jeśli to miłość, to jest okropna.

Nigdy wcześniej nie musiała się starać o męską uwagę. A przynajmniej nie za bardzo. Nigdy dotąd nie pragnęła uwagi mężczyzny tak mocno, jak pragnęła teraz.

– Titsy! – jęknęła. – Sprawiałam, że powiedział Titsy! Zasłużył sobie na to.

Zsunęła satynowy pantofelek i rzuciła nim przez pokój. Bezgłośnie odbił się od grubego dywanu.

– Prostack z niego – powiedziała na głos do ścian pokoju i pięknych bukietów, nieco już oklapłych.

Rzadko nadarzała się okazja, aby można było użyć tego słowa.

Zdjęła drugi pantofelek, rozglądając się za czymś, w co mogłaby nim cisnąć.

Rzuciła o ścianę.

Wydawało jej się, że usłyszała jęk po drugiej stronie.

Doskonale.

Wypuściła powietrze z płuc i podeszła do biurka. Zamoczyła pióro w atramencie, rozłożyła kartkę ze swoją listą i ostrożnie dopisała kolejną pozycję:

*Sprawia, że w jego towarzystwie czuję się, jakbym była jedyną kobietą na świecie.*

Jak mógł patrzeć ponad jej ramieniem na brunetkę, z pewnością piękną, lecz już niemłodą? Jednak jako wdowa mogła robić z Ianem Eversea wszystko, na co miała ochotę, w tym także rzeczy, które Giancarlo sugerował po włosku. Z Ianem, który nie był księciem i nigdy nie będzie księciem, który nie miał żadnego tytułu, nawet jeśli miał cudowne niebieskie oczy, które zapierały jej dech w piersiach...

Tansy rzuciła się na łóżko. Tylko na chwilę. Tylko na jedną cudowną chwilę. Zamknie oczy tylko na moment. Bolały ją stopy i byłoby cudownie... byłoby cudownie...

## 8

Gdy tylko otworzyła oczy, chwyciła się za skronie. Miała wrażenie, że w jej głowie strzelają z armat. Wczorajszy szampan i ratafia zmieniły się w pociski.

Bum. Bum. Bum. Bum.

Leżała nieruchomo, żeby nie wzbudzać niepotrzebnych efektów. Rzeźby w Opactwie Westminsterskim mogłyby jej pozazdrościć bezruchu. Była zafascynowana dokuczliwym bólem, ale też trochę z niego dumna. Czowała się niezwykle światowo. I miała nudności.

Zerknęła w dół. Wciąż była kompletnie ubrana. Poza pantoflami. Gdzie podziały się jej pantofle?

Właśnie zaczęło świtać...



Ciekawość była silniejsza od mdłości.

Zsunęła się z łóżka i bardzo, bardzo ostrożnie, jakby jej głowa była granatem niebezpiecznie balansującym na szyi, ruszyła w kierunku okna, idąc wzdłuż promienia światła jakby po linie. Ostrożnie rozsunęła miękkie zasłony.

Ojej!

Koszmarne światło!

A słońce dopiero zaczęło wychylać się znad horyzontu, jak połówka brzoskwini wynurzająca się z wody.

Wzdrygnęła się i ścisnęła za głowę.

Ale instynkt kazał jej się nie poddawać, więc lekko uniosła powieki.

Jej ból został nagrodzony. Na balkonie stał mężczyzna.

Słońce właśnie go dosięgło, częściowo zalewając złotą poświatą. Pogański posąg.

Na chwilę ból litościwie ustał.

Wszystkie jej zmysły były gotowe, aby się skupić na nim niczym widzowie tłoczący się przy ogrodzeniu podczas wyścigów konnych. Wzięła wdech i znów go poczuła. Jakby jej ciało chciało doświadczyć jego urody.

I mimo upojenia dostrzegła, że coś w nim... coś w jego wzroście... coś w sposobie, w jaki na niego reagowała...

Czy mógł to być bezczelny, zakochany w sobie Eversea?

Znów wygiął plecy, wyciągając opalone, pięknie umięśnione ramiona wysoko w powietrze niczym lądujący akrobata. Po chwili zawołał coś, choć tym razem ryk podejrzenie przypominał skacowany jęk.

A potem puścił gazy, podrapał się po piersi i zniknął w swoim pokoju.

Zachichotała.

I natychmiast została ukarana bolesnym przemarszem wojska w swojej głowie.

Zachwiała się i chwyciła dzwonek na służbę jak linę ratunkową.

W tej chwili oddałaby wszystko za kawę.

– Czy ma pan jakieś książki na temat Ryszarda III? Tego nikkzemnika od „królestwo za konia”?

To, że jakoś funkcjonowała, zakrawało na cud; co prawda po drugiej, obficie posłodzonej filiżance kawy i dwóch puszystych bułeczkach. Tansy i podobnie porzeczona Genevieve udały się do miasta na spacer, uznając, że świeże powietrze i ruch dobrze im zrobią. Tansy chciała także przyjrzeć się bliżej Pennyroyal Green.

Świeże powietrze rzeczywiście dobrze im zrobiło. Pachniało morzem i zielenią i spodobało się Tansy. Niewiele pamiętała, choć spędziła tu dzieciństwo. Na razie mogła powiedzieć, że krajobraz Sussex jest subtelny. Wzgórza unosiły się łagodnie, a drzewa nie rosły zbyt wysoko, nie to co arogancie, urwiste góry i dzikie lasy Ameryki. Owce pasły się na pastwiskach, a równie puszyste chmurki – niczym lustrzane odbicie zwierząt – zdobiły błękitne niebo.

Kościół i pub stały naprzeciw siebie, co musiało korzystnie wpływać na działalność obu. Z zainteresowaniem wyciągnęła szyję, gdy mijały interesujący sklep pana Postlethwaite’a, kuszący czepkami i rękawiczkami na wystawie.

Ciemne wnętrze księgarni było wytchnieniem; Tansy wciąż cierpiała od intensywnego światła. Lubiła mroczne powieści, przeczytała także powieść panny Jane Austen, która jej się spodobała, ale ostatnio była zafascynowana książkami przygodowymi. A zwłaszcza opowieściami o przetrwaniu. Robinson Crusoe stracił wszystko, ale zdołał przeżyć. Takie właśnie historie ją interesowały. Nabyła również księgę pana Milesa Redmonda o jego przygodach na morzach południowych. Omal nie został zjedzony przez kanibali, ale udało mu się wyjść cało i opowiedział swoją historię. Z pewnością mogła uniknąć klęski w swoim życiu, skoro inni pokonali przeciwności losu i dzikusów, którzy zjadali innych ludzi.

Sprzedawca, żyłasty starszy dżentelmen, pan Tingle, uśmiechnął się z aprobatą i zaczął nerwowo poprawiać okulary, co, jak podejrzewała, robił, kiedy flirtował – odpowiednik trzepotania rzęsami.

Więc nagrodziła go trzepotaniem rzęs.

– Zapewniam pana, panie Tingle, to najwspanialsza księgarnia, jaką kiedykolwiek odwiedziłam! Jeszcze nigdy nie widziałam tak doskonałej oferty. Musi pan mieć doskonały gust.

Twarz pana Tingle'a się rozpromieniła; zaczął energiczniej bawić się okularami.

– Mamy kolekcję dzieł pana Williama Szekspira, w skład której wchodzi sztuka o Ryszardzie III. Byłaby pani zainteresowana? A może woli pani przeczytać jedynie historię o królu?

– To drugie, jeśli można.

– Ach, prawdziwa pasjonatka! – przyklasnęła z taką radością, że nie chciała zaprzeczać.

– Interesujesz się historią, Tansy? – Genevieve z zapalem studiowała biografię Leonarda da Vinci. Powoli przewracała kolejne strony, jedną po drugiej.

Zawahała się.

– Ogarnęła mnie nagle fascynacja – zdecydowała się odpowiedzieć.

To przynajmniej było prawdą.

– Tak, nowe miejsca mogą wzbudzić nowe zainteresowania – odparła Genevieve.

– Nie ujęłabym tego lepiej – zapewniła żarliwie.

– Jestem zaszczycony, mogąc pomagać tak światłemu umysłowi – oświadczył pan Tingle. – Nawet chciałbym podarować pani, panno Danforth, tę książkę, jeśli dokona pani innego zakupu.

– Jest pan za dobry dla mnie, panie Tingle! Hojny z pana człowiek, to pewne.

– Ależ skąd. – Poczzerwieniał na twarzy. – To przyjemność prowadzić interesy z tak zapaloną czytelniczką. – „Zapalona” była nieco na wyrost, ale podejrzewała, że byłby wielce rozczarowany, gdyby wyprowadziła go z błędu. – Może mógłbym zainteresować panią innym okresem z historii Anglii? Może coś o Wilhelmie Zdobywcy?

– Hm, niech się zastanowię... ma pan książki autorstwa pana Milesa Redmonda?

Dłonie pana Tingle’a znieruchomiały przy okularach. Zerknął na Genevieve.

Tansy bardziej czuła, niż widziała, że Genevieve także znieruchomiała.

Zapadła krępująca cisza.

W końcu pan Tingle odchrząknął.

– Mamy książki pana Redmonda – powiedział cicho i ostrożnie, jakby przyznawał się do posiadania wydawnictw pornograficznych.

– Spodobała mi się jedna z jego książek o przygodach na Lacao. Z przyjemnością przeczytałabym więcej o tej podróży.

Pan Tingle zniżył głos do dyskretnego szeptu:

– Już przynoszę pani kolejny tom.

Każda z nich kupiła nową książkę, a każda z książek wiele mówiła o ich osobistych fascynacjach i o tym, kim były, chociaż żadna tego nie wiedziała. Spacerowały z tomikami przyciśniętymi do piersi. Genevieve przypominała Tansy krajobraz Sussex: była miła i subtelna. Nie miała skłonności do trajkotania lub niestosownych zwierzeń. Była też inteligenta i wyważona. Cicha, lecz dowcipna, kiedy już coś mówiła. Tansy czuła się nieco skrępowana. Sama była pełna życia, bardziej impulsywna.

– Mogę ci zadać pytanie, Genevieve?

– Oczywiście.

– Jak długo jesteś po ślubie?

– Prawie rok.

W milczeniu szły ramię w ramię, dochodząc do wiekowego cmentarza, otaczającego niski kościółek. Tansy zatrzymała się urzeczona nagrobkami. Nowsze dumnie się prostowały, starsze nieco podupały, jak wszystko z czasem. Potężna wierzba osłaniała większość z nich, niczym kura roztaczająca skrzydła nad kurczętami.

Anglicy sprawiają wrażenie bardzo powściągliwych, więc pewnie nie powinna zadawać kolejnego pytania.

– Skąd wiedziałaś? O tym, że książkę... Czy...

Bardzo chciała się tego dowiedzieć, ale pytanie zda-  
wało się zbyt bezczelne. Sądząc po spojrzeniach, jakie  
Genevieve wymieniała z księciem, było też zbędne.  
Książkę już jej powiedział, że jest szczęśliwy. Wiedziała,  
że był. Ale skąd się wie takie rzeczy?

Genevieve się uśmiechnęła.

– Będiesz wiedziała, kiedy to poczujesz... jeśli  
właśnie tym się martwisz. Naprawdę nie można tego  
z niczym pomylić.

Miała w sobie lekką wyniosłość mężatek, która nie-  
zmiernie irytowała Tansy.

– Czy kiedykolwiek straciłaś zdolność mowy, gdy  
byłaś w jego towarzystwie? – spytała żartem.

Genevieve spojrzała na nią z rozbawieniem i za-  
skoczeniem.

– Śmiem twierdzić, że raczej odzyskałam zdolność  
mowy, kiedy go spotkałam.

Niestety! Tansy podejrzewała, że jej dolegliwość  
może być wyjątkowa.

Tak wyjątkowa jak Ian Eversea.

Był niegrzeczny i niemiły, i piękny, i przerażający.  
Zastanawiała się, czy książka, którą trzyma w rękach,  
kryje klucz do jego serca. Czy zainteresowanie Ryszar-  
dem III coś o nim powie? O ile powie cokolwiek. To  
wszystko, czym dysponowała, więc trzymała się książki  
niczym mapy.

– Czy miałabyś ochotę przejść się? – wskazała na  
nagrobki.

– Oczywiście.

W milczeniu spacerowały po cmentarzu, który był  
nie tyle smutny, co spokojny i nostalgiczny. Tansy

podobało się, że cmentarz otacza kościół. Zmarli byli martwi; nic się na to nie poradzi. Doskonale to wiedziała. Może ten cmentarz służył jako przypomnienie tym, którym znudziło się chodzenie do kościoła, że z prochu powstałi i w proch się obrócą i że powinni wejrzeć do swojej duszy, jeśli chcą po śmierci przejść przez bramy raj.

Podczas spaceru w milczeniu czytała imiona i nazwiska na nagrobkach.

Interesujące...

– Całkiem sporo Redmondów. I Eversea. Czy pan Miles Redmond pochodzi z Redmondów z Pennyroyal Green?

– Tak, istotnie – uprzejmie odpowiedziała Genevieve.

Co ciekawe, nie rozwinęła odpowiedzi.

Tansy nie naciskała. Eversea nie byli tak powściągliwi, jak im się wydawało. Wiedziała, że z czasem pozna tę tajemnicę.

Po chwili zatrzymała się i przyklęła przy jednym z nagrobków. Niejaka lady Elizabeth Stanton odeszła trzydzieści lat temu, mając dwadzieścia jeden wiosen. Czy lady Elizabeth zdobyła swój tytuł poprzez małżeństwo, a może się z nim urodziła? Dlaczego zmarła tak młodo? Czy wydarzyło się to przy porodzie, wskutek gorączki, a może spadła z konia? Czy kiedykolwiek straciła zdolność mowy, kiedy bezczelny mężczyzna wpatrywał się w nią tak, jakby mógł przeczytać każdą jej myśl i uznał je za śmiertelnie nudne?

Ten nagrobek był pusty, choć na pobliskich grobach leżały świeże kwiaty, co dla Tansy było jawną niesprawiedliwością.

– Tu nie ma żadnych kwiatów – zauważyła.

Genevieve ze współczuciem przyglądała się nagrobkowi lady Elizabeth Stanton.

– Sądzę, że z biegiem lat rodziny się wyprowadzają albo wymierają, a czasem zapominają o grobach.

– No cóż, kwiaty powinny być, nie sądzisz? – Nagle poczuła, jakby to ona była naga, a nie grób. – Ktoś powinien pamiętać. Nie można kłaść kwiatów tylko na niektóre.

Nawet dla niej nie brzmiało to ani trochę racjonalnie, ale Genevieve nie wyglądała, jakby zamierzała dyskutować.

Tansy powiodła wzrokiem po cmentarzu. Eureka! Nad ogrodzeniem wyrastał mały, niebieski kwiat.

– Przepraszam! – szepnęła do niego. – I dziękuję. – Lekko szarpnęła łodyżkę.

Zniosła go na grób i delikatnie położyła.

Teraz było lepiej.

– Niebieski to pani kolor – szepnęła do zmarłej lady Elizabeth.

Gdy się odwróciła, żeby sprawdzić, czy Genevieve patrzy na nią, okazało się, że patrzy w górę i do kogoś macha.

Na dachu plebani z dłońmi na biodrach stał Ian Eversea i się im przyglądał.

Z tej odległości wydawał się mały, ale wiedziała, że to on. Jej ciało wyczuwało go. Zastanawiała się, czy mogłaby stąd poczuć spojrzenie jego niebieskich oczu.

Na razie czuła, że jej naturalny urok i polot wyparowuje jak woda na słońcu. Co takiego miał w sobie ten mężczyzna, że przez niego czuła się... głupio?



Uniósł rękę, w której trzymał młotek, jakby salutował.

– Mój brat doskonale się wspina – powiedziała Genevieve z lekką ironią. Ale Tansy ledwie ją zarejestrowała. Niczego poza nim nie widziała. A jej serce zaczęło stukać jak pałeczki o cymbały.

Wstała, wytarła ręce o spódnicę i bez słowa poszła za Genevieve.

Gdy skręciły za róg, wpadły na pogrążonych w rozmowie mężczyzn, którzy gestykulowali w uniwersalnym języku, używanym, gdy coś trzeba zbudować lub naprawić. Każdy z nich trzymał jakieś narzędzie – szpadel, młotek czy piłę.

Tansy wiedziała, jak bardzo mężczyźni uwielbiają narzędzia.

Odwrócili się, gdy panie wyszły zza rogu.

Przestali rozmawiać i gestykulować.

Oczy wszystkich wędrowały od Genevieve do Tansy i z powrotem.

Ostatecznie wbili wzrok w Tansy, zastygając w bezruchu jak psy wystawiające zwierzynę podczas polowania.

Tansy skromnie się do nich uśmiechnęła i zatrzepotała rzęsami.

Mężczyźni skłonili się, a kiedy się wyprostowali, zaczęło się gapienie, szuranie nogami o ziemię i bawienie się włosami.

Co nie przeszkadzało, bo sama też zaniemówiła. Obserwowała, jak Ian Eversea schodzi z dachu i idzie w ich kierunku. Miała wrażenie, jakby zabierał jej powietrze, którego w tej chwili bardzo potrzebowała. Jej płuca przestały pracować. Lekko odchyliła głowę,

jakby tam powietrze było świeższe, i wzięła głęboki wdech.

Ian był coraz bliżej, a Genevieve zaczęła ją przedstawiać towarzystwu.

– Panowie, to mój gość, panna Titania Danforth. Panno Titanio, to mój kuzyn, wilebny Adam Sylvaine. Simona poznała pani na wczorajszym balu, a lord Henry Dillemoth wrócił z zagranicy i wspaniałomyślnie pomaga przy remoncie plebanii.

Lord Henry Dillemoth, młodzieniec o krótko przystryżonych włosach, był tak młody, że miał jeszcze trądzik na policzkach.

Mężczyzna opierający się o szpadel pierwszy odzywał głos i nie czekał, aż zostanie przedstawiony.

– Seamus Duggan, do usług, panno Danforth. – Miał czarne, kręcone włosy i zielone oczy. Mówił z cudownie melodyjnym irlandzkim akcentem.

Sklonił się nisko, trzymając elegancko jedną ręką uchwyt szpadla, jakby był niepotrzebną kochanką.

– Mówię szczerze. Jeśli będzie pani czegokolwiek potrzebowała, dosłownie czegokolwiek...

– Staramy się zapewnić Seamusowi różne zajęcia, aby trzymać go z dala od kłopotów – uprzejmie wtrącił pastor.

– Ha, ha – roześmiał się sztucznie Seamus, ale posłał lekko niezadowolone spojrzenie w kierunku wysokiego pastora.

Pastor był jednym z olśniewających kuzynów Eversea. Emanowały z niego spokój i siła. Tansy podejrzewała, że to trudne doświadczenia go takim ukształtowały, bo sama coś o nich wiedziała.

Ale nie była zainteresowana spokojem. Interesowało ją raczej zapierające dech w piersiach wrażenie ziemi osuwającej się spod stóp, jakie pojawiało się w towarzystwie mężczyzny, który... właśnie do nich podszedł.

Ian miał niezawodny instynkt do pięknych kobiet, który jak wewnętrzny kompas bezbłędnie go do nich kierował. Wbijał akurat gwóźdź w dach, kiedy coś kazało mu przerwać, wstać i spojrzeć. Wstrzymał oddech. Na karku poczuł muśnięcie pożądania, które przeniknęło do niższych części ciała. Wszystkie zmysły zebrały się jak na rozkaz.

Dwie kobiety weszły na cmentarz, a sposób poruszania się jednej z nich sprawił, że jego ciało zareagoowało. W linii jej pleców, w jej subtelnym kołysaniu bioder było coś nieuchwytnego. Jego serce przyspieszyło w oczekiwaniu na odkrycie tożsamości tej damy.

Zmrużył oczy.

Jedną z nich była Genevieve – rozpoznał kolor wstążki, którą ozdabiała swój ulubiony czepek.

Drugą musiała być...

...czy to panna Danforth?

Obawiał się, że to ona. „Titsy” Danforth.

Roześmiał się gorzko sam do siebie.

Mimo to osłonił oczy od słońca i przyglądał się jej. Podobało mu się, jak się poruszała. Lekko zmarszczył czoło, kiedy zerwała kwiat z ogrodzenia, uklękła i położyła go na grobie. Genevieve spojrzała na niego i dyskretnie wzruszyła ramionami. A potem pomachała energicznie.

Jako dobrze wychowany człowiek zszedł z dachu.

Nie zaskoczyło go, że usłyszał pannę Danforth, zanim dołączył do grupy mężczyzn.

– Na pewno będę o panu pamiętała, panie Duggan – mówiła Tansy, gdy się zbliżył. Trochę jak aktorka, która chce, żeby usłyszał ją ostatni rząd. Może miała problemy ze słuchem? Wczoraj, gdy tańczyli, śmiała się raczej za głośno jak na damę. – Dziękuję bardzo za uprzejmą propozycję.

Jaką propozycję złożył jej Duggan?

– Och, proszę nie zapominać, panno Danforth – powiedział z powagą Seamus.

Tansy uśmiechnęła się z wyraźną satysfakcją.

Ian także, choć wbrew sobie, poczuł na sobie wpływ jej uśmiechu. Kusiło go, żeby odwrócić wzrok, ale miał wrażenie, jakby rzuciła na nich zaklęcie. Podobnie zachwycony i uległy wyraz twarzy widywał u mężczyzn patrzących na wahadło hipnotyzera.

– Dzień dobry paniom – uprzejmie zagadnął Ian. – Zakładam, że wszyscy się znają?

– Oczywiście – zapewnił Seamus z zapałem. – Dopóki oddycham, nie zapomnę tego dnia.

Panna Danforth nagrodziła jego tani komplement kolejnym olśniewającym uśmiechem. Nie było widać po niej żadnego skrępowania.

Choć nadal nawet nie spojrzała na niego.

Ian znów zmarszczył czoło, ale się zreflektował i przybrał łagodniejszy wyraz twarzy.

– Czy wybiera się pani na zawody strzeleckie, panno Danforth? – dopytywał się Simon. – I pani także – dodał pośpiesznie, uwzględniając Genevieve. Znał ją całe życie, więc zwrócenie się do niej per pani było dla wszystkich nowością.

Genevieve posłała Ianowi cierpkie spojrzenie.

– Zawody strzeleckie! Jakież to ekscytujące! Czy możemy pójść? – Panna Danforth złączyła dłonie w błagalnym geście i spojrzała na Genevieve. Po chwili znów zwróciła się do mężczyzn. – Czy wszyscy panowie będą strzelać? Wyglądacie wszyscy na wyborowych strzelców. Jestem przekonana, że każdy z panów umiejętnie włada swoimi orężem.

Ian wytrzeszczył oczy i zauważył spojrzenie Seamusa Duggana (niepoprawnego uwodziciela i łobuza), który z pewnością zrozumiał to dokładnie tak samo jak Ian.

– Oczywiście. Ian w tym roku jest jednym z sędziów – powiedziała Genevieve – Prawda, Ianie?

Ian chrząknął, potwierdzając jej słowa, i odgarnął mokre włosy ze spoconego czoła.

– Zawodnicy konkurują w łucznictwie i strzelectwie. Adam rok temu zdobył trofeum – wyjaśniła niepytana Genevieve.

Adam, pastor, skromnie wzruszył ramionami.

– Wielkie nieba! Strzelający pastor! – Panna Danforth zdawała się pod wielkim wrażeniem. – Jakież to imponujące. Potrzeba wyjątkowej umiejętności i samokontroli, aby poprawnie trzymać strzelbę, czyż nie? – Jej ciemne rzęsy uniosły się, a błękitne oczy wbiły się w Adama.

– Podejrzewam, że tak. – Ian usłyszał, jak jego niezwykle pragmatyczny, bezpretensjonalny kuzyn odpowiada po chwili milczenia, które mogło być zinterpretowane wyłącznie jako osłupiały zachwyty.

Ian wbił w niego wzrok, a Adam lekko pokręcił głową.

– Proszę mi wybaczyć, muszę skończyć pisać kazanie. Miło było panią poznać, panno Danforth. Dobrego dnia, Genevieve.

Towarzystwo jakby nie zauważyło odejścia pastora.

– A ja zająłem czwarte miejsce w strzelaniu z łuku. – Lord Henry nie zwlekał z przechwałkami. – I obiecuję, że w tym roku zabiorę nagrodę do domu.

Tansy odwróciła się do lorda Henry'ego.

– Och, jeśli podziwiam kogoś bardziej niż mężczyznę, który własnoręcznie zajmuje się naprawami, to tego, który wprawnie posługuje się łukiem i strzałami. To takie eleganckie! Takie pierwotne! Przywołuje na myśl greckich bogów, nie sądzisz, Genevieve?

Genevieve była zaskoczona, że została wywołana. Wyglądała na speszoną całą rozmową.

– Nie była to moja pierwsza myśl – odpowiedziała dyplomatycznie. – Ale sądzę, że można tak na to spojrzeć.

– Nie ma nic bardziej imponującego niż mężczyzna reperujący dach plebanii – odezwał się Ian sam do siebie.

Nikt go nie usłyszał.

Wszyscy mruczełi potakująco i energicznie kiwali głowami, zgadzając się z panną Danforth, chociaż w innych okolicznościach żaden z nich z pewnością nie nazwałby się greckim bogiem.

– Uwielbiam strzelać – energicznie zapewnił Simon. – Z pistoletów, łuków, ze wszystkiego!

Panna Danforth skupiła całą uwagę na Simonie.

– Często odnoszę wrażenie, że nie ma nic bardziej męskiego niż precyzyjne celowanie. Jakże przydatna umiejętność! – Z zachwyty aż zadrżała. – Podejrzewam, że musi pan być w tym dobry.

Jeśli można było powiedzieć o mężczyźnie, że dumnie stroszy pióra, Simon – cichy, zrównoważony Simon – właśnie to robił.

A reszta natychmiast spochmurniała.

A potem, jeden przez drugiego, zaczęli się przechwalać swoimi umiejętnościami. Tansy popatrzyła na wszystkich, obdarowując każdego z nich promiennych uśmiechem.

Gdyby Ian jej nie znał, pomyślałby, że panna Titania Danforth właśnie rozgrywa ich z umiejętnością godną dyrygenta orkiestry.

A kiedy wreszcie ich spojrzenia się spotkały, jej oczy były jak zawsze czyste i niewinne. Nie licząc... no cóż, ten błysk to pewnie tylko światło słoneczne.

– A jak u pana z celowaniem, panie Eversea? – spytała, najwidoczniej ośmielona.

Spojrzał na nią.

I nic nie powiedział.

Po chwili rumieńce zaczęły oblewać jej jasne policzki.

Spuściła oczy i zaraz odwróciła wzrok.

Westchnął.

– No dobrze, panowie, wracamy do pracy – polecił nieznoszącym sprzeciwu głosem. – Dach i ogrodzenie nie naprawią się same, a wiem, że niektórzy z was potrzebują kilku dobrych uczynków, żeby dostać się do nieba... prawda, Seamus? Życzę paniom wiele dobrego, zobaczymy się wieczorem w domu.

Wracając do domu, Tansy zajęła się tym, co zwał rozpamiętywaniem. Genevieve raz czy dwa próbowała ją zagadnąć, ale potem również zamilkła.

Gdy dotarły do domu, zamarły ze zdumienia.

– Proszę, powiedz, że nikt nie umarł! – zagadnęła zaniepokojona Genevieve lokaja.

Kwiaty były wszędzie. A przynajmniej tak się wydawało. Pełne wazon-y zajmowały cały hol.

– Z przyjemnością zapewniam, że wszyscy żyją, Wasza Książęca Mość. Z tego, co wiem, te bukiety są dla panny Olivii, a tamte trzy – lokal uśmiechnął się przejmie – dla panny Danforth. Kominki w całym domu z trudem pomieszczą wyrazy uwielbienia dla dwóch tak popularnych młodych dam. Nie znaleźliśmy jeszcze miejsca na wszystkie bukiety, więc pomyślałem, że panna Danforth chciałaby najpierw obejrzeć swoje i zdecydować, gdzie powinny stać.

Tansy obesła wazon-y w podziwie.

Trzech adoratorów! I to po jednym balu! Bicie jej serca powoli zaczęło wracać do stałego rytmu. Czy mogła mieć nadzieję, że jeden z nich był od...?

Nic z tego.

Przyjrzała się liścikom. Od dwóch młodych lordów i mężczyzny, którego, ku lekkiemu zażenowaniu, ledwie pamiętała. Chłopcy. Wszystko to tylko chłopcy.

Egzemplarz *Ryszarda III* parzył jej dłoń niczym węgielek.

– Nakryto do stołu, jeśli panie zechcą przejść do jadalni – oznajmił lokaj.

Kiedy się tam udały, Tansy dostrzegła przy swoim talerzu mały, owinięty w papier i zawiązany sznurkiem pakunek. Podniosła go z ciekawością, ważąc w ręku.

– Co to może być?

Na oczach wszystkich odpakowała podarek.

Roześmiała się wesoło i pokazała prezent.

*Mistrz tańca* Johna Playforda.



Przeczytała na głos liścik dołączony do książki:

– *Proszę nie odbierać mojego gestu jako krytyki Pani umiejętności tanecznych, ale mam bogatą bibliotekę i z chęcią podaruję Pani tę książkę.*

– To od Landsdowne’a. Jak miło z jego strony! Wczoraj uprzejmie tolerował moją niezdarność.

– Na ogół jest bardzo uprzejmym człowiekiem – powiedziała grzecznie i ostrożnie Olivia. Ścisnęła widelec. W opinii Genevieve trochę za mocno.

## 9

Ian zszedł do kuchni po kawałek chleba i sera. Było zbyt późno, żeby zjeść ze wszystkimi, zresztą był brudny po pracy na dachu plebanii. Postanowił, że wyczyści stary karabin, swój pierwszy nabytek. Była to czynność, która nastrajała go do refleksji. Zastanawiał się, jaką broń powinien zabrać w podróż, jakie kobiety i jakich przyjaciół pozna i jakie okazje do zarobku się nadarzą. Był zajęty oliwieniem broni, gdy w kuchni zjawiła się Genevieve.

– Dobry wieczór, siostró. Czego pragniesz?

– Skąd wiedziałeś, że... Nieważne. Ianie... co sądzisz o pannie Danforth?

Zastygł ze szmatką w ręku.

– Pytasz mnie z powodu tej jakże interesującej rozmowy przed plebanią? A może sprawdzasz, czy wyciekuję na odpowiednią chwilę, aby ją zbałamucić?

– Rozmowę? Słowo „rozmowa” wskazywałoby, że brałam w niej udział. A jeśli chcesz ją zbałamucić, musiałbyś się przeciskać przez rzesze innych mężczyzn.

Ian się roześmiał.

– Ach, Genevieve! Jesteśmy zazdrośni?

– Ciszej. Oczywiście, że nie. Po prostu... czy ona nie wydaje ci się... no wiesz, nieco zbyt... wylewna? – Ian widział, jak ostrożnie dobierała słowa, co go rozbawiło.

– Martwisz się, ponieważ żaden z nich nie spojrział na ciebie, Genevieve, choć zazwyczaj robią maślane oczy na twój widok? Przecież upolowałaś już swojego księcia.

Żartobliwie go pacnęła.

– Sadzę, że jest dość nieporadna, Genevieve. Jest młoda. I jest Amerykanką. Amerykanie są najwyraźniej głośni i krzykliwi. Ale tak, jest urodziwa. Bez wątplenia nawykła do bycia w centrum uwagi i wie, jak się w nim znaleźć. – Wzruszył ramionami. – My, mężczyźni, jesteśmy prostymi istotami, a niektóre kobiety odkrywają to wcześniej niż inne.

Genevieve wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

– Nieporadna? Oszalałeś? Czy rozmawiamy o tej samej dziewczynie? Tak oczarowała Tingle’a w księgarni, a wiesz, jakim dusigroszem potrafi być, że zaferował jej dwie książki w cenie jednej. Założę się, że lada dzień zaczną układać o niej wiersze wychwalające jej delikatny urok i duże oczy, i tak dalej. Ona jest... zastanawiam się, czy... wiesz, dziś rozmawiała z kwiatem, kiedy go zrywała. Przeprosiła go i potem mu podziękowała.

– Przeprosiła kwiat?

– A nawet mu podziękowała.

– Brzmi iście pogańsko. Może jest czarownicą i rzuca uroki na mężczyzn? – Poruszył dziesięcioma palcami przed twarzą Genevieve niczym magik. – Nigdy nie wiadomo, co Amerykanie zamierzają. Może chciała odwiedzić cmentarz, żeby nazbierać ziemi z grobów. Słyszałem, że jest przydatna w zaklęciach.

Genevieve lekko prychnęła.

– Nie sądzę, żeby magia miała coś z tym wspólnego. Chyba że potrafi dezorientować mężczyzn trzepotaniem rzesami i zmieniać ich w głupców o maślanym spojrzeniu.

Ian się zamyślił.

– Zastanawiam się nad czymś... może ona niedosłyszy? Dostyc regularnie, bez widocznej potrzeby, traci kontrolę nad głośnością swoich wypowiedzi. A czy nie ma tiku? Od czasu do czasu przechyla głowę.

– Zauważyłam zmianę głosu, ale nie przechylanie głowy. Biedactwo, dotknięte takim nieszczęściem!

– O tak, współczujemy biedactwu, któremu mężczyźni jedzą z ręki – przekomarzał się z Genevieve. – Dzięki temu będzie wam, kobietom, łatwiej ją tolerować.

Znów go pacnęła.

– Znałem jednego dżentelmena w Cambridge, który miał skurcze i krzyczał. Pograżony z kimś w poważnej rozmowie, powiedzmy na temat gospodarki bądź wojny peloponeskiej, a on nagle gwałtownie przekrzywił głowę i wykrzykiwał: „Dranie”. Albo coś bardziej bluźnierczego, czego nawet ja nie powtórzę w twojej obecności. W każdym razie wspaniały człowiek. Trzeba było tylko do niego przywyknąć. Mówił, że jego przypadłość wzięła się stąd, iż w dzieciństwie upuszczono go na kubeł węgla. Choć wątpię,

żeby panna Danforth była szalona lub wylądowała na wiadrze węgla.

- Rozmowy z tobą są zawsze pouczające, Ianie.
- Cała przyjemność po mojej stronie – odparł wesoło.

- Olivia jej nie lubi.
- Olivia prawie nikogo nie lubi – powiedział szorstko Ian.

– Landsdowne wysłał dziś pannie Danforth książkę o tańcach.

Ian zamilkł i na chwilę zacisnął dłonie na karabinie.

- Czyżby? – powiedział obojętnie.

Przypomniał sobie swoją siostrę obserwującą taniec panny Danforth z Landsdowne'em. Jego dumną siostrę, który nigdy nie przymilałaby się ani nie wpraszała do walca, tak jak zrobiła to Tansy Danforth. Siostrę, która wycierpiała wystarczająco dużo. Coś zimnego i twardego, co nie wróżyło dobrze pannie Danforth, ścisnęło jego serce.

Ian był znacznie bardziej sceptycznie nastawiony do panny Danforth, niż chciał to przyznać przed Genevieve czy przed kimkolwiek. Postanowił przyglądać się jej i poczekać na właściwy moment.

– Wiem, że nie chcesz jej zbałamucić, Ianie, ponieważ nigdy więcej bym się do ciebie nie odezwała, a wiem, jak bardzo brakowałoby ci naszych rozmów.

– Nonsens. Nie jesteś aż tak interesująca – powiedział lekko.

Ale spiął mięśnie i wzmocnił uścisk na kolbie. Tylko siebie mógł winić; w tej kwestii nie miał prawa czuć się urażony. Jednak nie spodobała się mu ta uwaga.

- Jak idzie kupno domu w Sussex?

– Falconbridge jest najbardziej zainteresowany Lilymont. Wiedziałaś, że panna Danforth mieszkała tam jako dziecko? To urocza posiadłość. Choć raczej niewielka jak dla księcia. – Uśmiechnęła się.

Ian zastygł w bezruchu.

Lilymont. Znał ten dom. Rzeczywiście był mały. Roztaczał się z niego widok na falujące wzgórza i srebrzysty pas morza. Miał proste linie, duże okna i lekko podniszczone kamienne ściany, które lśniły w promieniach słońca. Duży, lecz nie przesadnie, ogród z owocowymi drzewami otaczał wysoki kamienny mur, po którym pięła się dzika winorośl. Trzeba by go nieco uporządkować, ale tylko odrobinę. Lubił dzikie miejsca, w lekkim nieładzie. Cenił sobie naturalność.

Nigdy nie widział tak idealnego domu.

To interesujące, że kiedyś tam mieszkała. O dziwo, mógł sobie wyobrazić lnianowłosą dziewczynkę grającą dla gości na fortepianie lub bawiącą się w ogrodzie. Zastanawiał się, czy tęskniła za domem. Czy go w ogóle pamiętała.

– To wspaniały dom. Zasluguje na właściciela, który go pokocha – powiedział.

– Jak podoba się pani u nas, panno Danforth?

Podczas gdy Genevieve i Ian rozmawiali o Tansy, książę zaprosił ją do swojego gabinetu na kolejną rozmowę, tym razem przy herbacie.

– Spędzam miło czas, a wszyscy są ogromnie uprzejmi i wspaniałomyślni.

– Widziałem kwiaty, które pani przysłało. Sądzę, że pani ojciec byłby dumny. I zaniepokojony.

Uśmiechnęła się.

– Och, jestem pewna, że to z czystej uprzejmości. Mieszkańcy Sussex są po prostu gościnni.

Księżę uniósł sceptycznie brwi.

– Mężczyźni z Sussex, raczej.

Tansy roześmiała się na te słowa.

– A rodzina Eversea jest urocza. Wszyscy są tak mili i uprzejmi. I szlachetni.

Skrzyżowała palce na kolanach, wypowiadając to małe kłamstewko.

– Szlachetni? – To słowo go rozbawiło.

– Udałyśmy się do miasta, gdzie poznałam pastora Adama Sylvaine’a, a pan Ian Eversea właśnie przybijał gwoździe na dachu. To dosyć szlachetne zajęcie jak na bogatego dzentelmena. – Powiedziała to z największą niewinnością, na jaką było ją stać.

– Czyżby? – Księżę stał się chłodny i powściągliwy, jakby ktoś go wyrzucił z ciepłego domu na mróz. – Nie jestem zaskoczony, że był na dachu. Ian Eversea celuje we wspinaczce.

Nie była pewna, co na to odpowiedzieć, ale zdecydowanie wyczuła ironię.

Czy Genevieve nie powiedziała czegoś podobnego na cmentarzu?

– Byłam zaskoczona, gdy zobaczyłam, że pracuje z innymi... nie zważając na różnice społeczne.

– Domyślam się, że mogło to być zaskakujące.

Wyczuła, że rozmowa zaraz się skończy, jeśli będzie dalej wypytywać o Iana Eversea. Hm, to interesujące.

– Mój brat był żołnierzem – powiedziała.

Księżę złagodniał.

– Jak wiele mężczyzn z rodziny Eversea. Musi pani tęsknić za bratem.

– Był irytujący, apodyktyczny, opiekuńczy i zabawny.

– Czyli idealny.

Wbiła paznokcie w dłoń i się uśmiechnęła.

Nie będzie płakała. Czuła ucisk w gardle, ale musi być twarda. Jedynie skinęła głową.

Księżę zdawał się ją rozumieć. Lubiała go, mimo że wciąż trochę ją przerażał.

– Po śmierci mojej pierwszej żony byłem trochę... – szukał właściwego określenia – ...zagubiony.

Ostrożnie wypowiedział to słowo. Jakby przekazywał jej coś delikatnego i niebezpiecznego.

Wiedziała, że jego wyznanie było darem. Czuła się zaszczycona.

Doskonale rozumiała, o czym mówił. Lecz patrząc teraz na niego, z trudem mogła sobie wyobrazić, że kiedyś czuł się tak, jak ona teraz: niczym szczątki unoszące się na wodzie. Biła z niego siła; wydawał się niezwykle pewny siebie, twardo stąpający po ziemi.

– Rozumiem, co księżę ma na myśli. – Jej głos stał się lekko ochryply.

– Ale dzięki swojej pierwszej żonie wiedziałem, że będę dobrym mężem i dobrym ojcem, i tego właśnie pragnąłem. Nie chciałem, aby moje życie było pomnikiem na cześć cierpienia. W pewnym sensie sędzę, że cierpienie może nam pomóc dowiedzieć się, jak być szczęśliwym. I jak uszczęśliwiać innych.

Cudownie to ujął. Nigdy by się tego po nim nie spodziewała. Nie była to miła myśl, ale nic nie mogła na nią poradzić.

– Tak księżę sądzi?

Uśmiechnął się lekko.

– Tak sądzę. Sądzę także, że cierpienie może pomóc zrozumieć, kto zasługuje na naszą uwagę. Życie jest za krótkie, żeby dawać to, co w nas najlepsze, osobom, które tego nie docenią ani nie odwzajemnią. Ludziom, który na ciebie nie zasługują.

Książę spojrział na nią łagodnie.

Tansy wpatrywała się w niego niewinnie, choć miała ochotę zmrużyć oczy i przyjrzeć mu się uważnie.

Ale była na to za mądra. Miała pewność, że jego przemowa o tym, kto na kogo zasługuje, była zawoalowanym nawiązaniem do Iana Eversea i sugerowała jego intrygującą... bezwartościowość. Ale dlaczego? Z powodu wymiany spojrzeń z rozwiążą wdową?

Odkąd zobaczyła Iana Eversea, wszystko zdawało się ukrycie nawiązywać do niego. Był niczym powieść, do której znała jedynie przypisy. Niekoniecznie jej się to podobało. Ale musi doczytać do końca.

– Będę o tym pamiętała – powiedziała z powagą. – Dziękuję.

Skinął krótko i wyjrzał przez okno. Wiedziała, że spotkanie dobiegło końca.

Dopiero wieczorem zobaczyła ponownie Iana, kiedy większość rodziny zebrała się po obiedzie w salonie.

Miał na sobie koszulę z podwiniętymi rękawami, wąskie spodnie i wojskowe buty. Udawała, że czyta książkę o Ryszardzie III, choć raz po raz zerknęła na niego i wyobrażała sobie, jak wygląda bez koszuli.

Spuściła wzrok, gdy poczuła gorąco rozlewające się po plecach.

– Jak długo planujesz zostać w Sussex, Ianie? – spytała Olivia, przebijając igłę przez materiał zaskakujący



mnożością wyhaftowanych kwiatów. Jakby w domu było ich za mało.

Genevieve usiadła obok niej z książką w ręku. Książkę najwyraźniej wyjechał w interesach.

– Już się mną znudziłaś? – odpowiedział w roztargnieniu, wpatrując się w szachownicę.

– Trudno nudzić się w twoim towarzystwie, nawet gdyby człowiek chciał.

Uniósł kącik ust. Przesunął pionek, a Colin, który wpadł jedynie, żeby pożyczyć coś od ojca, ale nie umiał odmówić gry w szachy, zaklął pod nosem.

– Drogie panie, co robiłyście dziś w mieście? – spytała Olivia.

Tansy wiedziała, kiedy nadarza się okazja.

Jej serce zaczęło mocno bić niczym w zapowiedzi przełomowej chwili.

– Kupiłam nową książkę. Może pana zainteresuje, panie Eversea.

Wszyscy obecni panowie Eversea spojrzeli na nią, dopóki nie stało się jasne, że patrzy na Iana. Za późno przypomniała sobie, że jest kapitanem.

– Czyżby? – Spojrzał nieufnie na przedmiot w jej dłoniach, jakby chciał się upewnić, że faktycznie jest to książka.

– Interesująca historia Ryszarda III.

Uśmiechnął się lekko i uprzejmie.

– Ach tak?

Nie zachęcało to do rozmowy.

– Wspomniał pan o nim wczoraj – powiedziała. – Kiedy tańczyliśmy.

– Naprawdę? – Wyglądał na zaskoczonego.

– Jest pochowany w Leicestershire, prawda? – kontynuowała nieco zdesperowana.

– Ach, tak, przypominam sobie. – Zmarszczył czoło z lekkim niepokojem, jakby szukał u niej oznak szaleństwa.

Wszyscy przerwali swoje zajęcia, aby przysłuchiwać się rozmowie.

Tansy poczuła, że oblewa ją gorąco.

– Książka jest fascynująca.

Nie była. Tansy przebrnęła przez rozdział czy dwa, ale autorowi udało się zmienić naprawdę fascynującą, a przynajmniej brutalną i krwawą historię, w coś nieopisanie nudnego.

– Opowie nam pani o niej? – zapytał Ian uprzejmie, ale ukradkiem spojrzął na stojący na kominku zegar. A potem na Tansy. Jakby szukał pretekstu do wyjścia.

– Co takiego ma w sobie Ryszard III? Ian nie zajrzał do biblioteki od czasu, gdy oberwało mu się za podglądanie książek ojca o anatomii. Woli wspinaczkę po drzewach – powiedział Colin. – I jazdę konną.

Ian rzucił Colinowi ostrzegawcze, choć rozbawione spojrzenie, i po chwili wrócił wzrokiem do Tansy.

Kolejne nawiązanie do wspinaczki.

Tansy czuła, że płonie ze wstydu. Mógłby mieć choć na tyle przyzwoitości, żeby odwrócić wzrok, kiedy jej twarz powoli oblewała się rumieńcem.

Zamiast tego wpatrywał się w nią beznamiętnie, jakby obserwował wschód lub zachód słońca.

Prostak, przypomniała sobie, ale powiedziała:

– Mogę ją panu pożyczyć, jeśli pan chce.

– Książkę? – zdumiał się.

Skinęła bez słowa i powoli podała mu tomik.

Sięgnął po niego ostrożnie.

– Dziękuję, panno Danforth – powiedział z powagą.

– Ależ bardzo proszę.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, a kiedy stało się jasne, że nie powie nic więcej, wrócił do szachów.

Alpy. Jazda na łyżwach. Zaspy.

Usiłowała myśleć o zimnych rzeczach w nadziei, że dzięki nim rozpalone rumieńce znikną z jej policzków.

Serce Iana Eversea...

Cóż za zaskoczenie! Podziałało.

Późnym wieczorem wszyscy zaczęli kierować się na spoczynek. Tansy zwlekała, ponieważ nie lubiła być sama. Wreszcie wróciła do sypialni, gdzie jej uwagę przyciągnął wazon z kwiatami.

Ha! I co na to powiesz, Ianie Eversea? Oto dowód, że ktoś ją doceniał. A nawet pożądał! I to nie jeden mężczyzna, lecz czterech! A więc z pewnością wdzięk i urok może urzekać. Wpatrywała się w kwiaty, czekając, aż nadejdzie uczucie triumfu.

Jęknęła, schowała twarz w dłoniach i zaczęła kołysać się w przód i w tył. Nie znalazła ukojenia. Znów powróciło do niej to okropne wspomnienie, gdy podawała mu książkę, a on ze zdumieniem na twarzy ją przyjmował. Spełnił jej zachciankę, jakby była małą, naiwną dziewczynką.

Wypuściła z płuc powietrze i zdjęła pantofelki. Jeden po drugim.

A potem rzuciła nimi o ścianę.

Bum.

Bum.

– Mogę ją panu pożyczyć, jeśli pan chce – prze-  
drzeźniała sama siebie. – Wielkie nieba, ależ jestem  
głupia!

Ale rzucanie pantofelkami tylko odrobinę popra-  
wiło jej nastrój.

Podeszła do biurka i zasiadła przy nim.

Rozłożyła kartkę i przeczytała swoją listę, jakby była  
zaklęciem, z którego można coś wyczarować.

Czy ktokolwiek zdoła ją poznać? Zauważyć? Po-  
kochać?

Zanurzyła pióro w atramencie i napisała:

*Wie, co oznacza kogoś stracić.*

Zaczęła podejrzewać, że to ważne.

## 10

Głuchy odgłos wyrwał Iana ze snu – dotąd dławił się  
niczym topiący się człowiek, rzucał w pościeli, jakby  
odkopywał się z lawiny.

Teraz znów leżał nieruchomo.

Jego płuca łapczywie nabierały powietrza, gdy usi-  
łował wypłynąć na powierzchnię świadomości.

Jasna cholera.

Jak zawsze czekał, aż jego oddech się uspokoi, a ser-  
ce przestanie walić z energią więźnia chcącego wyrwać  
kraty w swojej celi.

Odsunął mokrą od potu pościel, pozwalając chłod-  
nemu powietrzu owiewać nagą skórę torsu. Palcami  
dotknął blizny na brzuchu. Przypominała drogę, jaka

wiła się z posiadłości Eversea do pubu Pod Prosiakiem i Ostem; biegła w dół i unosiła się na końcu, niczym wzgórze, na którym niedawno zastrzelono markiza Drydena. Chase zauważył podobieństwo do tej drogi, kiedy porównywali swoje blizny. Ian doszedł do wniosku, że zawsze będzie mógł używać jej jako mapy do domu, jeśli wypije za dużo w pubie.

Jeżeli nie rozciągał się regularnie, mięśnie wokół blizny spinały się boleśnie; mogły to uleczyć jedynie mocny trunek, delikatna kobieta i gorąca kąpiel.

Został dźgnięty bagnetem w dniu, który okazał się jego największym triumfem i największą porażką.

Miał też inne blizny, ale tylko ta dawała o sobie znać, jakby była osobnym organem. Jego serce pompowało krew, płuca nabierały i wypuszczały powietrze, a zadaniem blizny było nigdy nie dać o sobie zapomnieć.

Pokój wciąż wydawał mu się duszny – był mniejszy niż jego sypialnia, a zasłony były cięższe – więc podniósł się z łóżka i kilkoma krokami podszedł do okna. Otworzył je.

Wyrzwał przez okno.

A na balkonie obok...

...a niech to, jeśli to nie panna Danforth.

Jak to się stało, że nikt nie zauważył, że Ian śpi w pokoju obok niej? Z pewnością księżę dopilnowałby, aby jedno z nich od razu przeniesiono na przeciwległe skrzydło rezydencji.

Postanowił jednak, że nie poprosi, aby przygotowano tam dla niego jego pokój. Zostanie tam, gdzie był.

Światło lampy sączyło się przez otwarte okno. Na balkonie również stała lampa.

Tansy oparła podbródek o pięść i wpatrywała się we włości rodu Eversea, które z miejsca, gdzie stała, roztaczały się aż po horyzont. Wyglądała na niższą niż dotąd, lekko zgarbiona, jakby pokonana. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że radość życia, jaka z niej emanowała, była wynikiem mozolnego wysiłku, a nie ponadnaturalnego uroku, który uzyskała dzięki zaprzeczeniu duszy diabłu.

Odchyliła głowę niczym ptak połykający wodę. Wyglądała, jakby szukała na niebie znaku. Całkiem prawdopodobne, że miała nerwowy tik. To samo robiła w sali balowej. A może cierpiała na krwotoki z nosa?

Po chwili znów spuściła głowę, skuliła ramiona, a jej ręce zniknęły z widoku, gdy najwyraźniej czegoś szukała.

Wyjęła mały woreczek i postawiła go na balustradzie.

A po chwili z woreczka wyjęła skrawek papieru.

Co, do diabła...?

Nie może być...

A jednak.

Bibułka do tytoniu!

Z fascynacją i przerażeniem obserwował, jak wprawnie przebiegła po niej językiem. Potem rozłożyła bibułkę na balustradzie, uklepała tytoń w cienki rulon i ku jego zaskoczeniu... skręciła papierosa ze zręcznością żołnierza.

Przysunęła go do nosa i z zamkniętymi oczami, unosząc i opuszczając ramiona, głęboko wdychała zapach tytoniu.

Matko przenajświętsza...

Drgnął, gdy ktoś zapukał do drzwi jego pokoju. Zaklął pod nosem i odsunął się od zasłony.

Szarpnięciem otworzył drzwi. Na korytarzu stał lokaj, trzymając tacę z zamówioną przez Iana brandy i liścikiem.

– Wiadomość dla pana, panie Eversea.

Otworzył ją z takim pośpiechem, że omal nie rozciął sobie palców.

*Podczas pobytu w Sussex zapewne zatrzymam się Pod Prosiakiem i Ostem, przeczytał.*

Wiadomość była podpisana L.C.

Lady Carstairs.

Prawie zapomniał o lady Carstairs.

Piękna brunetka. Smakoszka.

– Tak, dziękuję bardzo. Do widzenia.

Zamknął drzwi przed twarzą zaskoczonego lokaja, z listem w ręku ruszył do okna i wyrżał.

To musiał być sen. Nie było jej, a wiatr rozwiął kilka zagubionych płatków tytoniu.

Nie zasnę, stwierdziła Tansy. Tuż po północy, głęboko wzdychając, odsunęła koce, wstała z łóżka i założyła pantofle. Następnie przykłękała, żeby przejrzeć zawartość jednego ze swoich kufrów i wyjąć parę malowanych, cynowych żołnierzyków, którzy należeli kiedyś do jej brata. Chwyciła je i lekko się uśmiechnęła. Choć z czułością wspomniała zabawę w żołnierzyki z bratem, była pewna, że on wolałby, aby raczej pełniły aktywną służbę niż były smutną pamiątką. Dokuczałby jej z powodu takiego sentymentalizmu.

Z żołnierzykami w dłoni chwyciła świecę, którą oświetliła drogę do kuchni.

Nastał czas, jeśli to w ogóle możliwe, żeby uzyskać kilka odpowiedzi, bo inaczej nigdy nie prześpi spokojnie nocy.

Pani deWitt siedziała przy stole z okularami zsuniętymi na nos. Ślęczała nad czymś, co wyglądało na księgę rachunkową, mrużąc do siebie: „Wołowina na czwartek...”

Podniosła wzrok. Popchnęła talerz z babeczkami w kierunku Tansy, jakby oczekiwała jej wizyty, i wstała, żeby nastawić czajnik.

Tansy usiadła.

– Przegląda pani rachunki?

– Tak jest. Trzeba uważać, żeby nie przekroczyć limitu wydatków, choć jest wystarczająco wysoki. Co panienka ma w rękach?

– Pomyślałam, że mogłyby się spodobać Jordy’emu. Należały do mojego brata.

Podsunęła żołnierzyki kucharcze.

Oczy pani deWitt rozszerzyły się z zaskoczenia, ale po chwili uśmiechnęła się promiennie.

– Chłopak powinien mieć jakieś zabawki. Ma panienka serce anioła, że myśli panienka o małym służącym.

Tansy machnęła ręką na komplement, ale zarumieniła się z zadowolenia.

– Zajmowałam się rachunkami, kiedy moi rodzice odeszli.

– Naprawdę panienka to robiła? – kucharka spojrzała ze współczuciem.

– Okazało się, że mi się nawet spodobało.

– To jak układanka, prawda? Decydowanie, co można kupić i ile potrzeba, i tak dalej.

– Istotnie. – Musiała zwolnić kilkoro służących i zdecydować, kogo zatrzymać do zajmowania się domem. Musiała przeprowadzać jedną trudną rozmowę



za drugą. Spodziewała się, że będzie tym przytłoczona, lecz odnalazła wytchnienie. Ciche chwile w kuchni, omawianie codziennych spraw domu z okrojona służbą. W ich towarzystwie znalazła pociechę.

– Jak się pani u nas pani podoba, panno Danforth?

– Wszyscy są cudowni – powiedziała z nabożeństwem, jakby mówiła „amen”. Wiedziała, że właśnie to powinna powiedzieć.

Na te słowa pani deWitt się rozpromieniła.

Tansy nadgryzła babeczkę.

– Niebo w ustach, pani deWitt! Mogłabym je jeść przez całe życie.

– Dziękuję, moja droga. Miód na serce staruszki. A teraz niech mi panienka powie, jak się podoba panience nasza rodzina?

– Wszyscy są bardzo mili. Jest ich tak wielu, że wciąż staram się spamiętać ich imiona. Niech pomyślę... Colin jest mężem Madeleine, tak? Tej uroczej brunetki?

– Zgadza się, kochana z niej dziewczyna. Taka mądra, uprzejma i cicha.

– A Marcus jest mężem Louisy? Jest bardzo urodziwa, prawda?

– O tak, bez dwóch zdań! Na świecie nie znajdzie się dwojga bardziej pasujących do siebie ludzi!

– I jest jeszcze Genevieve, która poślubiła księcia...

Pani deWitt westchnęła z radością.

– Co za miłość! I co za wspaniały mężczyzna!

– I jest jeszcze Ian i...

Pani deWitt zaczęła błędzić wokół wzrokiem.

– Och, jak późno. Powinnyśmy już leżeć w łóżkach.

Wstała i zaczęła się krzątać, przestawiając, raczej bezcelowo, przybory kuchenne i naczynia.

– Tak, jest jeszcze Ian i... – z uporem powtórzyła Tansy.

Pani deWitt zastygła.

Po chwili westchnęła głośno i powoli, z rezygnacją się odwróciła.

– Dziecko, powiem ci jedno: nie chciałybyś, żeby zawrócił ci w głowie.

– Ależ skąd! – Tansy roześmiała się bez przekonania. – Zawrócił mi w głowie! Dziękuję, ale z moją głową jest wszystko w porządku. Po prostu byłam ciekawa.

Nastąpiła długa chwila wahania, podczas której kucharka przenikliwie wpatrywała się w Tansy, a Tansy spoglądała niewinnie. Kiedy była dzieckiem, opanowała do perfekcji to spojrzenie.

– Niech Bóg ma go w opiece – westchnęła wreszcie kucharka. – Ten chłopak to chodzące kłopoty.

Serce Tansy zamarło. To ciekawe. Albo okropne.

– Nie jest chłopakiem – powiedziała w zamyśleniu, zanim zdołała pomyśleć.

Pani deWitt spojrzała na nią ostro.

– Zgadza się, nie jest. To mężczyzna. Był na wojnie, wrócił; pojechał do Londynu i wrócił; różne rzeczy kształtują mężczyzn, prawda? Na dobry i na zły sposób. Widziałam to nieraz. Wystarczy spojrzeć na chłopaka... nawet moje stare serce bije szybciej, kiedy on się uśmiecha, taka jest prawda. Pan Ian dostaje to, czego chce. Ma dobre serce, ale lubi zmiany, a każda kobieta, która wiąże z nim nadzieje, prosi się o złamane serce albo nie nazywam się Margaret deWitt.

Tansy podejrzewała, że kucharka jednak nazywa się Margaret deWitt.

Znów przypomniała sobie spojrzenie, jakie wymienił z atrakcyjną brunetką na balu. Milczące, przelotne,

sugestywne i z podtekstem... jakby Tansy tam w ogóle nie było. Trudne do nazwania, ale wysoce nieprzyjemne uczucie ścisnęło żołądek Tansy. Zazdrość... albo wstyd. Te dwie emocje bez wątpienia były sobie bliskie.

Nie podobała jej się myśl, że jest jedną z wielu.

Nie podobała jej się myśl, że Ian Eversea uwodzi zastępy kobiet i łamie im serca.

Nie spodobałoby się jej, nawet gdyby chodziło tylko o jedną kobietę.

Nie chciała myśleć o sobie, że jest kolejną naiwną, która się w nim zadurzyła.

Nigdy wcześniej nie pomyślała, że jest naiwna.

Jednak zaryzykowała kolejne pytanie, choć nie chciała usłyszeć odpowiedzi.

– Czy jakakolwiek kobieta wiązała nadzieje...?

– Och, cała chmara. Zaczynając od biednej Theodosii Brackman, kiedy chłopak miał zaledwie piętnaście lat. Potem była...

– Lista nie będzie konieczna – pośpieszanie zapewniła Tansy. Jej wyobraźnia zaczęła już działać. Podejrzewała, że każde imię na liście zaczynało się od słowa „biedna”. Biedna Theodosia Brackman, biedna Jenny Smith, biedna Tansy Danforth...

Nigdy nie była tą „biedną”.

– ...i mówi się... – pani deWitt zniżyła głos do szeptu – ...o pewnym rodzaju kobiet w Londynie.

Tansy nie była aż tak trzymana pod kloszem. Doskonale wiedziała, co oznacza „pewien rodzaj kobiet”.

Jest coraz gorzej.

Pani deWitt pewnie nie powinna mówić jej takich rzeczy, ale może pomyślała, że Tansy potrzebuje mocnego ostrzeżenia.

Nie było miło tego słuchać, ale uważała, że musiała się dowiedzieć, tak samo jak czasem musiała wypić tran. Dobrze jej to zrobi. Może wyleczy ją z tej prawdopodobnie przelotnej choroby, która, pozbawiając ją uroku i nadając rumieńców, nie miała absolutnie żadnych plusów. A ponieważ Ian był obojętny na jej urok, traciła swój czas. I talent.

Poza tym, czyż nie jest jej przeznaczony książę?

Bardzo pragnęła męża, rodziny i domu. Nadeszła chwila, by przestać marnować czas na myślenie o Ianie Eversea.

Wróciła do swojego pokoju z brzuchem pełnym babeczek i głową pełną postanowień. Mimo to nogi i serce miała ciężkie, jakby wraca do chodzenia po ziemi po przechadzce w chmurach.

Otworzyła oczy tuż przed świtem, zastanawiając się, zanim jej pamięć zaczęła działać, dlaczego jest w tak złym nastroju.

Potem przypomniała sobie swoją symboliczną porcję tranu z wczorajszej nocy.

I westchnęła.

Wąski promień różowego światła był tam gdzie zawsze i zachęcał ją do spaceru.

Zastanawiała się, czy zarzucić swój poranny zwyczaj. Byłoby to dojrzałe i mądre, ale delikatny promień kuszaco przecinał dywan. Poczuli, że wstaje z łóżka i idzie wzdłuż światła, niczym zwierzę, które nie ma wyboru, bo musi pójść za intrygującym je zapachem. Lekko rozsunęła zasłony.

Stał na balkonie. Po chwili dotarło do niej, że był nienaturalnie spokojny. Wpatrywał się w kolorowy

krajobraz Sussex tak, jak ona wcześniej, z tą różnicą, że on widział go setki razy. Kiedy odwrócił się, żeby się rozejrzeć, sądziła, choć nie była pewna, że dostrzegła worki pod jego oczami. Pewnie liczył wieczorem kobiety, które uwiódł, tak jak inni liczą barany przed snem. Przechylił głowę. Miała wrażenie, że jest nieco spięty i blady. Może siedział do późna w pubie Pod Prosiakiem i Ostem, a może baraszkował z wdową i teraz boli go głowa.

Wreszcie przeciągnął się jak zawsze, wygiął się do tyłu i wyrzucił ramiona w powietrze. Gdy napiął ciało, miała wrażenie, że w niej też coś się napięło. Jakby była cięciwą, którą ktoś naciągał.

Miał zamiar krzyknąć, witając poranek, ale zamilkł. Skrzywił się. A potem położył dłonie na balustradzie i zaczął oddychać. Jego szerokie barki wyginały się lekko. Jakby odczuwał ból, a oddech pozwalał mu się z nim uporać.

Wiedziała, że kac może boleć. Nie była pozbawiona współczucia. Może łamanie kobiecych serc nie dawało spokoju jego duszy.

Tran, przypomniała sobie i wyniośle prychnęła.  
Odeszła od okna.

## 11

**N**a pewno nie chcesz iść? – Genevieve stała w drzwiach, zakładając rękawiczki. – Mogłabyś towarzyszyć Olivii podczas spotkania Stowarzyszenia Pomocy

Ubogim z Sussex. Jestem pewna, że z przyjemnością by cię powitali w swoim gronie.

Tansy wątpiła, żeby Olivia z przyjemnością ją tam powitała. Poza tym miała inne plany, a nie obejmowały one spędzania dnia z porażająco piękną Olivią Eversea, którą zaczęła postrzegać jako swoją rywalkę, a dokładniej wysoko postawioną poprzeczkę, ponad którą zamierzała się wznieść. Ponieważ każda kobieta potrzebuje celu. Cztery bukiety i wciąż napływają nowe, Olivio, pomyślała. I książka.

W drzwiach pojawił się lokaj, jakby wezwany jej myślami, z wazonem pełnym różowych i białych kwiatów.

– Dla pani, panno Danforth. Gdzie mam je postawić? Kolejne kwiaty! Klasnęła w dłonie.

– Bardzo dziękuję! Jak cudownie!

Spojrzała na dołączony bilecik.

*Ponieważ ich blask i niewinność przypominają mi Panią.*

*Henry Thorpe, lord Lester*

Niewinność... czyżby, lordzie Lester? Na podstawie czego, u diabła, odniósł pan takie wrażenie? Jednak był to komplement, więc poczuła się zadowolona.

– Pięć bukietów dla ciebie, cztery dla Olivii – powiedziała Genevieve z humorem. – Wielkie nieba, nigdy nie przypuszczałabym, że ktokolwiek będzie rywalizował z Olivią na bukiety.

– Och, a ja nigdy bym nie pomyślała, żeby je liczyć! – powiedziała Tansy, wpatrując się w bilecik. – Jak hojni są młodzi mężczyźni w Sussex!

– Też tak sądzę.

Spojrzała na lokaja.

– Może moglibyśmy zrobić coś pożytecznego z tymi kwiatami? Czy mógłby pan zanieść bukiet pani deWitt

i może przesłać jeden na plebanię, aby złożyć kwiaty na pustych nagrobkach?

Lokaj był wyraźnie zachwycony. Uśmiechnął się do niej promiennie.

– Jak pani sobie życzy, panno Danforth.

Genevieve odprowadziła lokaja wzrokiem, uśmiechając się cierpko.

– Poradzisz sobie sama, Tansy? Prawdopodobnie wrócimy wieczorem. Będziemy mieć szczęście, jeśli uda nam się zdążyć przed kolacją.

Genevieve była chyba szczerze zaniepokojona. Tansy instynktownie chwyciła ją za ręce.

– To miłe z twojej strony, że mnie zaprosiłaś, ale czekają na mnie listy z domu. Muszę dopilnować kilku spraw, mam nadzieję, że rozumiesz, a dziś nadarza się doskonała okazja, aby się nimi zająć. Za to jutrzejsze zawody strzeleckie będą cudownym wydarzeniem towarzyskim. A może mogłabym namówić stajennego, aby mi dziś towarzyszył podczas krótkiej przejażdżki? Uwielbiam jeździć konno!

– Cóż za wspaniały pomysł! Oczywiście! Powiem, aby osiodłano dla ciebie klacz! Jest cudowna. A stajenny z przyjemnością będzie ci towarzyszył.

Tansy nie miała najmniejszego zamiaru zabierać ze sobą stajennego i była pewna, że zdoła jakoś przekonać go do pozostania na miejscu. Dlaczego miałaby kogokolwiek ze sobą ciągnąć? Jeździła konno, jakby urodziła się w siodle, co było niemal prawdą; była przyzwyczajona do długich wycieczek, sama albo z papą u boku. Choć tak daleko się nie wybierała. W zasadzie mogła zobaczyć cel swojej podróży, jeśli wyteżyła wzrok z okna swojej sypialni. Przecież złoczyńcy nie będą na nią

czyhać. Ten łagodny krajobraz nie mógł kryć zbójów, chyba że byli ubrani na zielono i wyskakiwali z krzewów. Zresztą każdy szubrawiec zapewne znudziłby się, czekając, aż ktoś się zjawi, i z pewnością zasnął, zanim by to nastąpiło.

Po prostu nie chciała, aby ktoś jej dziś towarzyszył podczas tego, co chciała zrobić. Nawet stajenny, który z pewnością nie puściłby pary z ust, zważywszy, że służbie płaci się za dyskrecję.

Powiedziała mu więc, że jedzie spotkać się z przyjaciółką, i puściła się kłusem, zanim zdołał cokolwiek odpowiedzieć.

Wpatrywała się w grupę rozłożystych drzew rosnących za potokiem, niedaleko drogi, którą razem z Genevieve szły do miasta.

Powietrze było cudowne; zarówno ona, jak i klacz łąpczywie nabierały go w płuca. Z przyjemnością rozwiązałyby czepek i pozwoliła, aby wiatr rozwiązał jej włosy.

Zatrzymała klacz.

Przy potoku siedziała dziewczyna z podciągniętymi do piersi kolanami. Długi fartuch zakrywał brązową suknię spacerową, ozdobioną jedynie wąską koronką na rękawach.

– O, dzień dobry – ostrożnie powiedziała Tansy.

– Dzień dobry – powiedziała równie ostrożnie, choć bardzo uprzejmie dziewczyna.

Wydawało się, że to koniec rozmowy. Wpatrywały się w siebie, dopóki dziewczyna nie spytała:

– Czy pani jest panną Danforth?

– Zgadza się, to ja. – W małym mieście bez wątplenia nic nie pozostało długo tajemnicą, a dziewczyna prawdopodobnie znała każdego, kogo należało znać.



– Miło panią poznać, panno Danforth. Nazywam się Polly Hawthorne. Mój ojciec jest właścicielem pubu Pod Prosiakiem i Ostem.

– Ach, oczywiście! Widziałam ten pub. Sprawia wrażenie uroczego miejsca. Mam nadzieję, że odwiedzę was podczas pobytu w Sussex.

Właśnie to trzeba było powiedzieć. Polly się uśmiechnęła. Była ładna, zwiewna jak elf, niska i szczupła. Miała duże oczy, szpiczasty podbródek i czarne włosy zebrane w warkocz.

Przez chwilę wpatrywały się w siebie w milczeniu. Tansy wyczuwała, że nikt nie wie, że Polly jest tutaj. Jednocześnie dziewczyna doskonale zdawała sobie sprawę, że młode, dobrze urodzone damy nie jeżdżą samotnie, chyba że coś planują.

– Lubię tutaj przychodzić i rozmyślać, kiedy wyrwę się na chwilę z pubu – powiedziała Polly, tłumacząc się. – O życiu, pubie, rodzinie Eversea i takich tam.

Tansy wzruszyła ramionami, jakby to rozumiało się samo przez się.

– Pozwolę sobie stwierdzić, że trudno nie myśleć o Eversea. Tylu ich tu jest, gdziekolwiek spojrzeć. I przyznam, że są mili dla oka.

Polly uśmiechnęła się na to.

– Ożywiają pub. I pomyśleć, że kilku z nich omal nie zginęło.

To ją zaskoczyło.

– Jak to?

– Właśnie o tym myślałam rankiem, bo wie pani, słyszałam, że kapitan Ian znów opuszcza dom i na dodatek wyrusza w niebezpieczną podróż. Pan Colin omal nie stracił życia na szubienicy, ale zdarzył się wybuch

i zniknął. A pan Chase, drugi kapitan Eversea... był ranny w nogę. I to ciężko. I jeszcze pan Ian. Teraz też jest kapitanem. Powiadają, że niemal stracił życie na wojnie. W pubie jest weselej, kiedy tam są, no i zostawiają hojne napiwki. Są bardzo uprzejmi, czasami wydaje mi się, że pan Ian jest najuprzejmiejszy z nich wszystkich.

Co za fascynująca opowieść. Colin uciekł spod szubienicy? Ian niemal stracił życie? Serce Tansy ścisnęło się na samą myśl. Pomyśleć, że mogła go nigdy nie zobaczyć w zatłoczonej sali balowej i stracić możliwość myślenia, mówienia i roztaczania uroku.

A teraz wyjeżdżał.

Kiedy to nastąpi?

Ścisnęło ją w żołądku na samą myśl.

Pokręciła głową. Nie, nic to dla niej nie znaczyło.

Niech zresztą tak będzie. I tak się go wyrzekła, a znacznie przyjemniej jest być adorowaną niż ignorowaną.

– Przyjemne miejsce na rozmyślania. Właśnie szukam jakiegoś dla siebie – powiedziała ostrożnie do Polly.

– Nie będę pani zatrzymywała.

Tansy prawie się roześmiała. Polubiła tę osobliwie poważną, młodą dziewczynę bez szczególnego powodu, poza tym, że wydała się jej pewna siebie. I była przekonana, że Polly nie piśnie słowa o ich spotkaniu.

– Może w takim razie zobaczymy się Pod Prosiakiem i Ostem.

Polly skinęła uprzejmie, a Tansy skierowała konia w kierunku drzew. Przypuszczalnie dziewczyna wróci do rozmyślań nad mężczyznami Eversea. Polly, która prawdopodobnie spędzi całe życie i umrze w Pennyroyal Green i być może nigdy nie zobaczy Londynu. A Eversea nadawali koloryt jej życiu.

W lesie panowała cudowna cisza; niektóre drzewa wyglądały na stare jak świat. Między brzozaami i głógami, za małym wzniesieniem, Tansy znalazła polanę.

Była nieduża, porośnięta mchem, otoczona potężnymi dębami i krzewami, ale wpadało na nią wystarczająco dużo światła i pewnego dnia, może przyszłej wiosny – jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem – ktoś, kto tu zajdzie, pomyśli, że znalazł się w bajkowej altance.

Musiała się śpieszyć, ponieważ słońce już było wysoko na niebie, a nie chciała przepocić sukni.

Zeszła z konia i przywiązała lejce do głogu, a potem wyjęła to, co ze sobą przywiozła.

Po godzinie ciężkiej, satysfakcjonującej pracy prawie skończyła. Cofnęła się, zdjęła robocze rękawice i oceniła efekt. Potem skropiła ziemię wodą z dwóch butelek, które wzięła ze sobą.

Zaprowadziła konia do przewróconego drzewa i ponownie wskoczyła na siodło.

Po Polly nie było już śladu. Bez wątpienia wróciła do pubu.

W drodze powrotnej Tansy poluzowała czepek, który zwisał z głowy, tak że wiatr mógł muskać jej włosy. Nie bała się, że się opali od kilkuminutowej jazdy z lasu. Beztrósko wracała do stajni, pewna, że nikt jej nie widzi.

Cóż, nie mogła zauważyć Iana Eversea, który stał przy oknie. Marszcząc czoło, obserwował, jak jej złocista głowa podskakuje, gdy Tansy, nieco rozczochrana – co ją niemal obciążało – wraca na kłaczy Genevieve.

Głuchy łomot wyrwał Iana ze spokojnej drzemki. Tak było już drugą noc z rzędu. Czy gryzonie walczyły

o terytorium w ścianach? Może powinni sprawić sobie kilka kotów.

Zerwał się z łóżka. Ciało natychmiast przypomniało mu, że nie ma już dwudziestu lat i nie może bez konsekwencji go nadwyręzać. Miał obolałe mięśnie od schylania się i wbijania gwoździ na dachu plebanii. Będzie musiał się dobrze porozciągać, zanim ponownie zdoła poruszać się z dawnym wdziękiem.

Usiadł przy biurku i pochylił się nad mapą, na której gwiazdkami zaznaczył porty, jakie go interesowały. Chiny. Indie. Afryka. Ameryka Południowa. Ameryka Północna. Mógłby podróżować latami, gdyby chciał. Patrzenie na mapę miało w sobie coś uspokajającego. Zawsze kiedy czuł się jak rzeka ograniczona tamą, uwięziony między Sussex a Londynem, zawsze kiedy Chase lub Colin wypowiadali słowo „żona” w taki sposób, że miał ochotę ich pobić, w mapie odnajdywał ukojenie. Nadchodził dzień, kiedy postawi stopę na statku i wyruszy w morze, by cały czas się przemieszczać. Brzmiało idealnie. Zdawał sobie sprawę, za kim i za czym będzie tęsknił. Ale uznał, że nieustanna podróż będzie dla niego wytchnieniem i gdzieś na morzach południowych zapomni o tym, co go nęka.

Spojrzał na książkę. Wziął ją, leniwie przekartkował i wygiął usta w cierpkim uśmiechu. Dlaczego, na Boga, panna Danforth dała mu tę cholerną książkę? I zacerwieniła się przy tym? Prawdopodobnie z tych samych powodów, z których Landsdowne jej tę książkę ofiarował. Była niczym kot wchodzący na kolana osób, które ledwie ją tolerowały. Panna Danforth z pewnością należała do kobiet, które nie ustaną w wysiłkach, do-

póki wszyscy nie będą ich uwielbiać. Było to męczące i irytujące, choć całkiem zabawne.

Sama myśl o niej go męczyła. Dziewczyna nie była taka, za jaką chciała uchodzić, co go niepokoiło.

Jednak książka była prezentem. A gdy przypomniał sobie jej zarumienioną twarz, odłożył ją na bok z czułością, której nie mógł wytłumaczyć.

Podniósł wzrok.

Zmierzchało, a mocny wiatr wpadł przez uchylone na kilka cali okno.

Podszedł do niego, żeby zasunąć zasłony, i jeszcze raz zerknął na zewnątrz.

Cofnął się, a po chwili wyjrzał jeszcze raz.

Panna Danforth była na balkonie. Jej blond włosy spływały na ramiona – dobry Boże, jakie długie! – niemal przyćmiewając blask księżyca. Co za kojący widok. Nieświadomie ścisnęła dłonie, wyobrażając sobie, jak przesuwa palcami po jej włosach.

Z zachwytem obserwował, jak lekko pochyła się naprzód i przybiera pozę, która przypominała wygiętą literę. Jej koszula nocna nabrała wiatru niczym żagiel, ukazując na chwilę ładną, kształtną łydkę. Przechyliła głowę pod nieprawdopodobnym kątem i jedwabiste włosy spłynęły po plechach. Kojący widok, niczym płynąca rzeka

Ale co ona, u diabła, robiła? Może to jakiś rodzaj tańca? Czy bije pokłony w stronę Ameryki, tak jak mużłmanie w kierunku Mekki?

Skrzywił się, kiedy nagle wyprostowała się, wymachując ramionami, żeby zachować równowagę. Baletnicą z pewnością nie była.

Znów się pochyliła. Oparła łokcie na balustradzie, a podbródek o pięści. Wróciła do wpatrywania się w okryte ciemnością wzgórze Sussex, jakby oczekiwała, że coś z nich wychynie albo coś zniknie. Może czekała na kawalera, który zacznie się wspinać na balkon jak Romeo Montecchi.

Zabawne, ale też nieraz to robił: wpatrywał się w ciemność jak w kryształową kulę, jakby mogła wyjawić mu tyle samo, ile skrywała.

Po chwili Tansy opuściła ręce i zaczęła czegoś szukać. Wstrzymał oddech, kiedy czekał, aż jego oczom ukaze się woreczek z tytoniem.

Tymczasem wyjęła butelkę.

Czegoś, co wyglądało na... Matko przenajświętsza! Alkohol?

Nie może być.

Z pewnością śni.

Z cichym brzękiem postawiła na balkonie małą szklaneczkę.

Szarpnęła za korek i nalała odrobinę.

Przezroczyściego alkoholu, co oznaczało, że był to albo dżin, albo księżycówka.

Albo woda. Może nie tolerowała angielskiej wody? Może przywiozła ją ze sobą z Ameryki?

Ale wtedy uniosła szklaneczkę w toaście i wypila do dna. Znał ten grymas. I tylko Bóg wie, ile razy sam krzywił się w ten sposób.

A Tansy, niczym diwa opuszczająca scenę po drugim akcie, wróciła do swojego pokoju.

## 12

Trofeum zawodów strzeleckich Sussex lśniło na małym podium niczym święty Graal.

Czym zresztą było dla wszystkich zgromadzonych tam mężczyzn.

Zawody rozpoczną się łucznictwem, następnie uczestnicy będą konkurować w strzelectwie, a na koniec dwóch zwycięzców otrzyma na cały rok wysoki, srebrny puchar.

Ustawione w rzędzie tarcze czekały na strzały, które je przedziurawią.

Eversea i Redmondowie na przemian byli gospodarzami zawodów. W tym roku zaszczyt przypadł rodzinie Eversea. Ian był mistrzem ceremonii. Uprzejmie wycofał się z zawodów, jako że w poprzednich latach dwa razy zabrał puchar do domu.

Przybyli niemal wszyscy mieszkańcy Pennyroyal Green i Greater Sussex, łącznie z kilkorgiem Cyganów i zastępem żołnierzy w olśniewających, czerwonych płaszczach. Pub Pod Prosiakiem i Ostem zamknięto na czas zawodów, więc także Ned i Polly byli obecni.

Zazwyczaj mężczyźni, którzy brali udział w zawodach, stawali przed srebrnymi pucharami i osłaniając oczy od ich blasku, podziwiali je. Fantazjowali o zwycięstwie, udzielając sobie rad i żartując z innych.

W tym roku część mężczyzn wpatrywała się w innego Graala.

Panna Danforth – w błękitnej spacerowej sukni wykończony lamówką w ciemniejszym odcieniu – zdołała

znaleźć słoneczne miejsce przy bocznej linii, gdzie jej suknia lśniła niczym latarnia morska. Była otoczona przez adoratorów, którzy przybliżali się i odsuwali w zależności od tego, kogo obdarzała swoją uwagą. Był wśród nich lord Henry i Simon, i Seamus Duggan. Landsdowne też tam stał, choć nieco na uboczu i obok Olivii.

Ian widział swoje siostry, Genevieve i Olivię, oraz Evie Sylvaine, żonę kuzyna pastora, pannę Josephine Charing, Amy Pitney i kilka innych poważanych kobiet ze Stowarzyszenia Pomocy Ubogim z Sussex; stały w grupce i spoglądały na Tansy krytycznie. Chmara kruków, stado lwów czy grupka kobiet, myślał Ian. Choć chyba stado rozjuszonych lwic lepiej by pasowało, sądząc po minach niektórych dam.

Zawody były rozgrywane w etapach; uczestnicy mieli oddać po trzy strzały z różnych odległości.

– Pierwsza próba! – zawołał Ian. – Proszę zająć swoje miejsca.

Mężczyźni stawili się na wyznaczonym terenie. Wśród nich był Simon; uśmiechnął się i zasalutował w kierunku panny Danforth.

– Powodzenia! – krzyknęła radośnie.

Seamus Duggan, który był ubogi i przez większość życia dorabiał jako najemny robotnik, nie był łucznikiem, więc jedynie oglądał zawody... stojąc bardzo blisko panny Danforth. Pomachał Simonowi z radosną ironią.

– Gotowi! – krzyknął Ian.

Łucznicy unieśli łuki i wybrali strzały.

– Cel!



Z synchronizacją godną przedstawienia baletowego niemal równocześnie napięto łuki i wbito spojrzenia w tarcze.

I właśnie wtedy Seamus Duggan stanął przed panną Danforth, która instynktownie chwyciła go za łokieć.

Kiedy odwrócił się do niej z uśmiechem, Simon instynktownie odwrócił się do nich, jakby nie mógł postąpić inaczej i musiał natychmiast przerwać te bezeceństwa.

I właśnie wtedy odruchowo wypuścił strzałę w tłum.

Wydawało się, że czas zwolnił, kiedy strzała ze świstem zmierzała w kierunku stłoczonych widzów.

– Uciekać! – krzyczano.

Tłum rozbiegł się we wszystkich kierunkach jak spłoszone ptaki, gubiąc chusteczki, czepki i buty w pośpiesznej ucieczce.

A kiedy wszyscy znaleźli się w bezpiecznej odległości i sprawdzili, czy strzały ich nie dosięgły, rozległ się jęk ulgi i radości.

Który nagle ucichł, kiedy stało się jasne, że jeden mężczyzna został w tyle.

Mocno w tyle.

Niemal jakby... został unieruchomiony.

Zaległa złowieszcza cisza, kiedy wszystkie oczy zwróciły się na lorda Henry'ego.

Stał prosto jak słup.

Biały jak flaga używana do kapitulacji.

– Chyba... mnie postrzelono – powiedział speszony.

Nikt nie zaprzeczył.

Cisza zaczęła gęstnieć jak przed burzą.

– Naprawdę mnie postrzelono – powiedział głośniejsze.  
A gdy minął szok i ból dał o sobie dać znać, krzyknął: –

Pomocy! Postrzelono mnie! Pomocy! Pomocy! Morderca! Morderca! – Wskazywał palcem na Simona, który wyglądał, jakby chciał zapaść się pod ziemię.

W tłumie rozległ się pomruk.

– Henry, myślę, że doczekasz jutra, chyba że serce masz w tyłku! – krzyknął ktoś.

Henry, usiłując zerknąć za siebie, zaczął się kręcić jak pies goniący za ogonem. Strzała tkwiła w jego lewym pośladku. Wszyscy to widzieli poza nim.

– Celowo we mnie strzelił! Drań! – Rzucił się na Simona, ale w ten samej chwili Ian chwycił go za ramię i odciągnął.

– Uspokój się, chłopcze. Nie powinienes się za dużo ruszać.

Strzała prężyła się dumnie, przesywając materiał jego spodni.

– Gdybym w niego celował, zastrzeliłbym go. Jestem doskonałym łucznikiem – zapewnił Simon, rzucając zaniepokojone spojrzenie w kierunku panny Danforth.

– Odpocznij, milordzie. Przez jakiś czas nie będziesz siadał – zawołał ktoś ku ogólnej uciechu.

– Nie śmiejcie się! – odezwał się ktoś inny. – Toż to tragedia! Potrzebuje tyłka do jazdy konnej i przesiadywania w pubie!

– Z tą wystającą strzałą wygląda jak kurek na wieży!

– Milordzie, jaki masz piękny ogon! Całkiem jak mój najlepszy kogut!

– Simon, upolowałeś całkiem sporą kuropatwę! Podasz ją dziś na kolację?

Simon był przerażony i blady. Ręce mu się trzęsły.

– Przestańcie!

– Jakie to uczucie, milordzie? – zaczął się ktoś zastanawiać.

– Boli! – wyznał lord Henry, zaskoczony i wymęczony. I nieco zaintrygowany. – Dostyc mocno. – Starał się ze wszystkich sił nie płakać, choć wyglądało na to, że z chęcią by to zrobił. A Ian znał wygląd człowieka, który lada moment straci przytomność.

– Dość tego – warknął Ian. – Zachowujcie się, panowie. I panie – dodał ironicznie, przelotnie spoglądając w kierunku Tansy Danforth. Odwróciła wzrok. Ian był kiedyś postrzelony, choć nie strzałą, więc rozumiał lorda. – Panno Pitney, czy pani ojciec jest w domu? – spytał.

Ojciec panny Amy Pitney był miejskim lekarzem.

– Pojechał do sąsiedniego miasta, by odebrać poród – powiedziała ze smutkiem.

Ian westchnął zrezygnowany.

– No dobrze. W takim razie potrzebuję dziesięciu wysokich i najchętniej postawnych ochotników...

I tak, dzięki panie Danforth, Ian znalazł się na klęczkach i ostrożnie wyjmował strzałę z dużego, bladego pośladka jęczącego mężczyzny.

Położono go głową w dół na kocu, jak kuropatwę na bankiecie. Ochotnicy Iana otoczyli biednego lorda Henry'ego, stojąc plecami do niego i odgradzając go od tłumu. Ian przeciął spodnie nożem. Podał delikwentowi butelkę i kazał się napić. Potem lord dostał kawałek szmatki, która miała stłumić jego krzyki. A po wyjęciu strzały Ian umiejętnie zabandażował ranę; robił to nieraz na wojnie.

Lord Henry nie zemdłał, ale był tego bliski.

– Dziś wieczorem powinien to zobaczyć lekarz – zalecił Ian pechowo okaleczonemu Henry’emu.

Simon był błydy, nerwowo wykręcał sobie ręce i chodził tam i z powrotem.

– Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam. Naprawdę przepraszam. Nie chciałem, Henry, przepraszam.

– Nie żywię urazy – odpowiedział Henry zwięźle, choć wspaniałomyślnie mimo swojego cierpienia. – Zamierzasz teraz strzelić do Duggana?

Ian chwycił Simona za łokieć i odciągnął go na bok.

– Jak, u diabła, do tego doszło? Jesteś dobrym strzelcem, Simonie. Nie tak dobrym jak ja, ale...

Ian doskonale wiedział, jak do tego doszło. A raczej dlatego do tego doszło. Ale chciał usłyszeć wyjaśnienie z ust winowajcy.

Simon wziął głęboki wdech i żałośnie wypuścił powietrze, wsuwając dłonie w kieszenie.

– Po prostu... Ianie, ja... bo... no, spójrz na nią... – powiedział z tłumionym bólem. – Naprawdę nie chcę myśleć tego, co myślę, ale... spójrz tylko.

Panna Danforth nerwowo wykręcała dłonie, a młodzi mężczyźni rozpychali się, żeby dostąpić zaszczytu pocieszenia jej. Ian widział, jak promienie słońca odbijały się od łez lśniących w kącikach jej dużych oczu. Jej wydatna dolna warga drżała. Wyglądała na szczerze zrozpaczoną, a nie na kogoś, kto potrafi spowodować chaos.

Natychmiast tuzin chusteczek znalazł się pod jej nosem. Spojrzała z niewinną wdzięcznością.

– Przyznaję, jest urodziwa – powiedział ponuro Ian.

Za nimi stała grupka kobiet z zaciśniętymi ustami i skrzyżowanymi na piersi ramionami. Ianowi przypomniały rój os gotowych do ataku.

– Urodziwa? Ona jest aniołem! – poprawił go z oburzeniem Simon. – Taka delikatna i ujmująca!

– Nie jestem pewien, czy „pochlebstwa” i „uprzejmość” to synonimy, Simonie.

– Od razu widać, że ma złote serce. Spójrz na jej włosy... – powiedział z rozmarzeniem

Ian pstryknął mu palcami przed twarzą. Simom wyglądał na zaskoczonego.

– Strzeliłeś do lorda Henry’ego, bo ona jest aniołem? Chyba pomyliły ci się skrzydlate istoty. To Kupidyn ma strzelać w ludzi.

– To był przypadek! Zdekoncentrowałem się. Zrobiła... coś... co rozproszyło moją uwagę, wystarczy? Mówiła, że łucznictwo to jej ulubiony sport. Że z łukiem i strzałą wygląda się jak grecki bóg. I...

– I postanowiłeś... być greckim bogiem?

– Oczywiście! A ty nie chciałyś?

– Ale to Kupidyn jest bóstwem ze strzałami. Poza tym jest grubym dzieckiem.

Simon westchnął zrezygnowany.

– Sądzę, że mnie nie rozumiesz, kapitanie Eversea. Czego nie zrobiłbyś dla takiej kobiety? Całym sercem dbam o moją Josephine, a mimo to...

Ian znów spojrział w jej kierunku. Patrzyła wprost na niego. Nawet z tej odległości jej oczy były jasne i srebrzyste. Patrzyła, jakby chciała poznać jego opinię na temat swojego wyczynu.

Podniósł rękę w subtelnym, ironicznym salucie.

Skinęła głową i z wdziękiem pomachała chusteczką, którą wetknęto jej w dłoń. Uniosła głowę i posłała grupce mężczyzn nieśmiały uśmiech.

Z boku tej grupy stały Josephine Charing i Amy Pitney, które wyglądały, jakby miały ochotę wymierzyć strzałę w Tansy. Był pewny, że nie celowałyby precyzyjnie. Był także pewny, że pannie Danforth nic by się nie stało, bo zdecydowanie była osobą, której udawało się wychodzić cało z opresji.

Musiał przyznać, że pytanie, które zadał mu Simon, było ciekawe. Bywało, że Ian robił wiele, żeby zdobyć kobietę. Ale lekkomyślnych czynów, aby za imponować kobiecie, aby zdobyć jej względy... nigdy by się nie dopuścił. Nigdy nie zrobiłby z siebie głupca przed kobietą. Większość członków jego rodziny nie zauważała, jak bardzo był pragmatyczny. Nigdy nikogo nie wyzwiał na pojedynek ani sam nigdy nie został wyzwany, choć z księciem było już blisko. Nigdy nie stracił głowy dla kobiety, choć raz niemal stracił życie i z pewnością nieraz tracił godność. Jednak nigdy nie posunąłby się do tego, aby strzelać do kogokolwiek z łuku, tego był pewien.

– Sądzę, że powinieneś się napić, Simonie. Wszystkim nam się przyda mały drink. I upewnij się, że Henry naprawdę ci wybaczy. Bo wiesz, następną konkurencją jest strzelectwo, a na wojnie zdecydowanie za często widywałem jatki.

Może to wina trunków, jakie wypili po incydencie ze strzałą, aby uspokoić nerwy, a może to przez to, że tych drinków było za mało. Tak czy inaczej wprawni strzelcy strzelali karygodnie daleko od celu.

A celem było jabłko, które lśniło niczym latarnia morska w odległości stu kroków.

Zajmowali stanowisko jeden po drugim.

Strzelali jeden po drugim.

I nie trafiali, jeden po drugim, raz po raz.

Jabłko wciąż było całe i szyderczo lśniło w słońcu.

– Nie rozumiem, w czym problem – mruknął Ian. – Gdybyśmy musieli polować, aby zdobyć pożywienie, umarlibyśmy z głodu.

Z przyjemnością zestrzeliłby jabłko. Stanowiło łatwy cel, a on był wprawnym strzelcem. Czuł się więźniem nudnego i żenującego przedstawienia. Na miłość boską, trzeba załatwić to jabłko.

Kolejny nieszczęsny zawodnik i kolejna porażka.

– Och, na Boga – mruknęła Tansy Danforth.

Spojrzał na nią z zaskoczeniem. Niewinnie rozszerzyła oczy. Przygryzła wydatną dolną wargę, co natychmiast kazało mu się zastanowić, jakie to uczucie zatopić delikatnie zęby w jej ustach. Myśl ta zaskoczyła go i spojrzał bardziej ponuro, niż zamierzał.

Przynajmniej mrugnęła na widok jego miny.

– Czy mogę... spróbować? – spytała z wahaniem i bardzo nieśmiało. Spuściła rzęsy.

Omam nie westchnął.

Jej pytanie postawiło go przed dylematem, ponieważ w ostatnich dniach mężczyźni z Sussex spełniali wszystkie zachcianki panny Danforth.

Zawodnik trzymający strzelbę zwrócił się do niej.

– To bardzo ciężka broń – powiedział przepaszając, jakby sam ją wykuł, przewidując, że będzie miała ochotę z niej strzelić.

– Jestem silniejsza, niż wyglądam.

To wywołało lekkie śmiechy i czyjś zdławiony komentarz.

Ian przewrócił oczami.

– To trochę nietypowe – powiedział zawodnik ze strzelbą – ale ponieważ jest pani naszym gościem, może moglibyśmy zrobić wyjątek dla panny Danforth... kapitanie Eversea? Co pan na to? Możemy zrobić odstępstwo?

Wszyscy mężczyźni zachęcająco kiwali głowami.

Ian był rozdarty. Z jednej strony szczerze się niepokoił, że Tansy kichnie albo przewróci się pod ciężarem broni i postrzeli kogoś, a mniej lub bardziej lubił wszystkich, którzy przyszli podziwiać zawody, a przynajmniej był do nich przyzwyczajony. Z drugiej strony miał ochotę zobaczyć, co się stanie, kiedy Tansy wystrzeli.

Ponieważ miał przeczucie co do panny Danforth.

– Nikt się nie rusza, nikt się nie odzywa, kiedy pociągnie za spust, rozumiemy się? Ma być spokój. Wszyscy mają stać nieruchomo. Udawajcie, że to powtórka z Pompei i zastygliście na wieczność. Jasne?

Głowy skinęły.

I posłusznie znieruchomiały.

W końcu to ta, która zaburza spokój, będzie trzymała karabin.

– Pozwoli pan. – Ian wziął broń z rąk poprzedniego strzelca, który posłusznie zastygł w bezruchu. – A teraz, panno Danforth, pozwoli pani, że pokażę, jak się to trzyma.

Odchrząknęła.

– Och, to dobry pomysł.



Nieoczekiwanie znów zaczęła się czerwienić. Delikatnie i ostrożnie rozwiązała wstążkę przy swoim czepku. W jej ruchach było coś, co kojarzyło się mu z uroczystym rozbieraniem i ponownie miał wrażenie, jakby pożądanie musnęło jego ciało miękkimi palcami.

Co, u diabła, miała w sobie? W tej dziewczynie było coś naturalnie zmysłowego. Przypomnił sobie, jak obserwował ją, gdy wyłoniła się z lasu z czepkiem unoszącym się na plecach i zastanawiał się, czy ta pozorna niewinność nie była wynikiem zmysłowości poznanej dzięki tajemniczemu kochankowi. Ale wszystko inne było w niej dziewiczo niewinne.

Zdał sobie sprawę, że wpatruje się w nią, a ona w niego. Czepek, który trzymała w palcach, delikatnie położyła u swoich stóp.

Wziął się w garść.

– No dobrze, panno Danforth. Unosi pani strzelbę do ramion, tak żeby...

Stanął za nią i uniósł broń. Podniosła ręce i wprawnie położyła je na kolbie.

Stał wystarczająco blisko, żeby czuć żar jej ciała. Promieniowała ciepłem niczym małe słońce. Z tej odległości widział delikatną szyję pokrytą złocistymi włosami. Kusiło go, żeby musnąć po nich palcami lub złożyć powolny, namiętny pocałunek na tym małym skrawku skóry. Z doświadczenia wiedział, że był to doskonały sposób, aby kobiece sutki stwardniały.

Zdał sobie sprawę, że nie poruszył się od dłuższej chwili, oczarowany i zdumiony. Równie dobrze mogły upłynąć sekundy, jak i godziny. Podniósł wzrok. Publiczność nadal stała nieruchomo, ale niektórzy wpatrywali się w niego z niedowierzaniem.

Odchrząknął.

– Trzyma go pani o tak... – powiedział, a potem dotarło do niego, że się powtarza.

Spiął się, gdy poczuł, że tłum się gotuje.

– Pewnikiem pachnie jak tęcza – szepnął ktoś blisko niego. Ktoś, kto, sądząc po wymowie, od rana nie wylewał za kołnierz.

Nie pachniała jak tęcza. Pachniała czymś delikatnie kwiatowym, może lawendą, ale nie był ekspertem od kwiatów. Słodycz i zapach mydła unosiły się z jej skóry, jakby ktoś nagle otworzył drzwi na leśną łąkę. Czuł, że ogarnia go dziwne odrętwienie, jakby mógł stopić się z tą kobietą. A chęć, by ją objąć i przyciągnąć do siebie, była z pewnością jedynie instynktem. W końcu właśnie to się robi, kiedy kobieta stoi tak blisko.

Kiedy piękna kobieta stoi tak blisko.

Piękna kobieta, która pachnie jak łąka.

Upewnił się, że Tansy poprawnie trzyma broń i szybko odsunął się od niej, żeby tłum nie rzucił się na niego z widłami i pochodniami. Uniósł ramiona w powietrze, jakby trzymano go na muszce lub jakby Tansy była żarzącym się węglem.

Co ciekawe, karabin na jej ramieniu wyglądał całkiem naturalnie.

Ian miał przeczucie, że ma przed sobą oszustkę.

Skrzyżował ręce na piersi.

– Broń ma lekki odrzut, panno Danforth.

– Dziękuję, zauważyłam – powiedziała cicho. – Sądzę, że jestem na to przygotowana.

Cisza była tak napięta, że Ian doszedł do wniosku, iż gwinea mogłaby się od niej odbić.

I kiedy zdawało się, że nikt nie wstrzyma dłużej oddechu, nacisnęła na spust.

Odrzuciło ją. Wpadła na łana w chwili, gdy jabłko eksplodowało.

Pomógł jej się wyprostować. Jego palce zostały dłużej na jej łopatkach, tak delikatnych, że po raz kolejny jej kruchość go zaskoczyła. Ponownie zalała go fala opiekuńczości. I odpłynęła.

Rozległy się tak radosne okrzyki, jakby właśnie ogłoszono zawieszenie broni po długiej i krwawej wojnie.

Tansy wciąż trzymała wycelowany sztucer. Na jej twarzy pojawiła się satysfakcja, ale, co ciekawe, nie była zaskoczona.

Uśmiechnęła się skromnie.

– Czysty przypadek – powtarzała skromnie raz po raz, gdy mężczyźni podchodzili z gratulacjami. – Szczęście początkującego, z całą pewnością. My, Amerykanie, chyba rodzimy się z umiejętnością strzelania. Musimy się bronić przed niedźwiedziami, wilkami i Indianami.

– Będę pani bronił, panno Danforth! – zapewnił ktoś.

– Nigdy nie będę się niczego obawiała, jeśli będzie mnie chroniła armia złożona z mężczyzn z Pennyroyal Green i Greater Sussex. Nie znam bardziej męжных i szlachetnych obrońców.

Na miłość boską, pomyślał Ian, może choć Seamus Duggan, Irlandczyk, pozna się na tych bredniach.

Jednak kiedy mówiła takie rzeczy, panowie zachowywali się jak psy gończe nadstawiające pyski pod kolejne pieścizoty.

Nie była początkująca, mógł się o to założyć. Ani w strzelaniu, ani w opowiadaniu historyjek, ani w owianiu mężczyzn dookoła palca.

Szara myszka, dobre sobie.

Powinien był się na niej poznać. Sam także uwodził z finezją doskonałego dyrygenta.

– Gratuluję, panno Danforth – powiedział dość cynicznie.

Popatrzyła na niego. Czuł, że siła jej spojrzenia go zaskoczyła. Zamrugał. Czasami zapominał – albo chciał zapomnieć – jaka była piękna. Był przyzwyczajony do pięknych kobiet. Ale jej uroda była inna; jego ciało reagowało na nią, zanim umysł dochodził do głosu.

Przez krótką chwilę miał wrażenie, że zaraz się zarumieni.

Wzbudziło to w nim dziwną wściekłość. Czuł się oszukany. Nie chciał, aby kobieta, której nie ufał, była tak pociągająca.

Ku jego zaskoczeniu czerwień znów zalała jej policzki.

– Dziękuję, kapitanie Eversea. Pana komplement dużo dla mnie znaczy.

– Czyżby? – powiedział to tak szorstko, tak ironicznie, że zamrugła z zaskoczenia. – Dlaczego?

Nigdy nie było wiadomo, czy myślała to, co mówiła.

Najwyraźniej nie znalazła odpowiedzi; wpatrywała się w niego rozszerzonymi oczami, jakby postradała rozum albo jakby przyłapał ją podczas haniebnego czynu. Rumieniec rozlał się po jej twarzy i zszedł na szyję.

Przez chwilę patrzył na nią, jakby dano mu okazję obserwować rzadko spotykane stworzenie.

Przerwało im dwóch uradowanych mężczyzn, nio-  
sących puchar.

– Zdecydowaliśmy, że w tym roku pani zasłużyła  
na nagrodę, panno Danforth.

– Och, drogi Boże! Z pewnością nie zasłużyłam na  
to zestrzeleniem jednego małego jabłka!

– Proszę nam zrobić tę przyjemność. Co pan na to,  
kapitanie Eversea?

Panna Danforth wpatrywała się w niego, przygry-  
zając białymi ząbkami dolną wargę.

Mógłby przysiąc, że wstrzymała oddech.

– Panna Danforth powinna dostać trofeum.

Puchar sięgał jej prawie do kolan.

I nie zabrakło ochotników, którzy chcieli pomóc jej  
zanieść go do domu.

## 13

*T*łum z zawodów strzeleckich przeniósł się do rezy-  
dencji Eversea, gdzie wyprawiono przyjęcie. Radośni  
wieśniacy i zawodnicy kłębili się na trawniku – choć nie-  
którzy mocno się zataczali – i przewijali się przez salon.  
Na zewnątrz wystawiono długi stół, nakryto go obrusem  
i zastawiono ciasteczkami i owocami. Natomiast Neda  
Hawthorne’a namówiono, aby odsprzedał kilka beczek  
jasnego i ciemnego piwa za cenę bezlitośnie wytargowaną  
przez panią deWitt. Naprędce zorganizowano także pro-  
wizoryczną orkiestrę: dwóch skrzypków i akordeonistę.  
Na trawniku rozpoczęły się tańce.

Ian udał się do salonu i przystanął w drzwiach, obserwując scenę rozgrywającą się na jego oczach.

Uśmiechnął się. Światło kochało Tansy. Mógłby przyśiąc, że celowo jej szukało, jak reszta zakochanych w niej głupców, i kąpało się w jej blasku. Oczywiście mogło być na odwrót. Z całą pewnością dziewczyna z wprawą godną diwy znajdowała najkorzystniejsze światło w każdym pomieszczeniu. Łatwo było wyobrazić sobie ją jako lampę w pokoju, a wszystkich mężczyzn jako ćmy latające dookoła niej, przybliżające się na własne ryzyko. Każdy z nich był żołnierzem tworzącym własne strategie miłosnej gry.

Nie mieli żadnych szans. Titania Danforth była Napoleonem.

Prawdopodobnie mogłaby nawet przyćmić Napoleona.

Brylowała na kanapie, przyjmując ciasteczka i szklanczkę z ratafią od jednego z adoratorów, uśmiechając się do innego. Była niczym słońce; promienie jej uwagi zdawały się bez trudu padać na wszystkich. Każdy z nich był jednocześnie przekonany, chociaż i pełen wątpliwości, czy jest jej ulubieńcem. I czy w ogóle ona ma ulubieńca.

Mogłoby być jeszcze zabawniej. Mógłby podziwiać jej mistrzowską umiejętność przyciągania uwagi, gdyby jednym z krążących wokół mężczyzn nie był lord Landsdowne. Naturalnie Landsdowne nie narzucał się tak jak młodszy. Ian przypatrywał mu się tak samo uważnie jak podczas balu. Znał to spojrzenie. Lord nie był urzeczony, ale zamyślony. Był cierpliwym mężczyzną. Starszym. Bogatym. Z tytułem. Pewnym siebie i poważanym. Cierpliwie, wytrwale i pomysłowo uwo-

dził Olivię, co ją intrygowało. Udało mu się nawiązać z jego kapryśną siostrą coś bliskiego porozumieniu. Byłoby to przeciętnym wynikiem, gdyby nie fakt, że od trzech lat nikt nie osiągnął niczego podobnego.

A problem tkwił w tym, że Ian pamiętał, jak Landsdowne kiedyś patrzył na Olivię.

Olivia, jego dumna, trudna, mądra, urocza, piękna siostra... na myśl, że jej serce znów zostanie zranione, poczuł ból, jakby to jego serce zostało złamane.

Grupka kobiet zebrała się naprzeciw. Jedną z nich była Olivia, która udawała, że nic nie zauważa. A jednak był pewien, że cierpi.

Niespodziewanie podszedł do niego Colin z apetycznym ciastkiem w jednej ręce i ze szklaneczką czegoś, co wyglądało na ciemne piwo z pubu Pod Prosiakiem i Ostem, w drugiej.

Podążył wzrokiem za spojrzeniem Iana.

– I co myślisz o naszej pannie Danforth?

– Jest okropna – szepnął w zamyśleniu Ian.

Colin spojrzał na niego.

– Co do... Czyś ty upadł na głowę? Jak, u diabła, doszedłeś do takiego wniosku?

– Pamiętam, że nawet nie mrugnęła, gdy powiedziałem słowo „cycki”. Sam przed chwilą zamrugałeś, a jesteś starym lubieżnikiem. A przynajmniej byłeś, zanim wziąłeś ślub.

– Pomijając mruganie i twoje zniewagi... nie mogę wyobrazić sobie okoliczności, w jakich ktokolwiek powiedziałaby słowo „cycki” przy pannie Danforth.

– Zwiodła mnie. – Ian powiedział tonem pełnym podziwu. – To... to... dziewczę naprawdę mnie do tego

zachęciło, namawiając, żebym zdrobnił jej imię, ale wyszło na to samo.

Colin przyglądał mu się w zamyśleniu i z niepokojem, jakby szukał objawów gorączki.

– Zakładając, że to prawda... choć to odrobinę niepotykane, biorąc pod uwagę jej bogactwo, pochodzenie, wiek i tak dalej... nie musiałeś ulec jej zachęcie, prawda?

Ian z niedowierzaniem uniósł brew.

– To nie wszystko. Kradnie kolejne serca z taką bez troską, jakby zbierała owoce, Colinie. Nie myśli o konsekwencjach.

– Hm, kogo mi to przypomina?

– Pali i pije! Wysokoprocentowe trunki! – rzucił zapalczywie Ian.

Colin prychnął.

– Zaczynam myśleć, że to ty piłeś wysokoprocentowy trunek.

Ian zawahał się i szeptem zaprezentował swój ostatni argument:

– Podejrzewam, że może mieć kochanka.

Wiedział, że to poważne oskarżenie.

Na te słowa Colin się wyprostował. Wbił w Iana surowe, badawcze spojrzenie. Przez krótką chwilę Ian zastanawiał się, czy Colin nie wyzwie go na pojedynek.

Ale w końcu jego twarz pojaśniała, jakby doszedł do oczywistego wniosku.

– Kiedy ostatnio miałeś kobietę? Tydzień temu? Nic dziwnego, że tracisz rozum.

Doskonały pomysł.



– Mówię ci, Colinie, to Belzebub w czepku. Szatan w jedwabkach.

– Diabeł w adamaszku?

– Dokładnie – zgodził się ochoczo Ian, celowo nie zważając na ironię Colina.

– Ian... – Colin spróbował go uspokoić. – Zastanawiam się, czy to nie pobożne życzenia z twojej strony. Przecież wiesz, że księżę wcześniej czy później cię zabije, a Genevieve nigdy by ci nie wybaczyła, gdybyś... jakby to powiedzieć... zbliżył się do dziewczyny. A dokładnie do jej okna.

– Na miłość boską, Colinie, nie oszalałem. Znasz mnie. Nigdy w życiu nie straciłem głowy dla kobiety. Doskonale potrafię je przejrzeć. Przedstawiam ci tylko swoje wnioski wyciągnięte na podstawie obserwacji. Po prostu przypatrz się jej.

Colin, jako dobry brat, posłuchał Iana i skierował wzrok na Tansy.

– Na miłość boską, Ian... spójrz tylko na nią – jego głos lekko zadrżał przy ostatnich słowach.

Ian odwrócił się bardzo powoli i pochmurnie spojrział na Colina.

– I co? – spytał spięty.

– Ian... jej oczy są jak... mogę coś powiedzieć?

– Mów – odparł Ian cierpko.

– Wiesz, że kocham Madeleine całym sercem. Jest dla mnie całym światem. Umarłbym dla niej i tak dalej. Nigdy nie byłem szczęśliwszy.

– Kontynuuj.

– Kiedy pójdę do nieba...

– „Kiedy” to dość optymistyczne założenie.

– Sądzę, że niebo będzie miało dokładnie ten sam odcień co oczy panny Danforth.

Ian wpatrywał się w niego.

– *Et tu?* – powiedział wreszcie ze smutkiem. – *Et tu, Colinie?*

Odwrócił się do ściany i uderzył o nią głową, powoli i rytmicznie. Niczym w takt bębena grającego przed powieszeniem człowieka na szubienicy.

– Napij się, Ianie, albo znajdź sobie kobietę. Z pewnością masz niejedną na oku. Po prostu od tej konkretnej trzymaj się z daleka, jeśli tak cię niepokoi. Jak poważne to może być?

Udzieliwszy mądrej rady, Colin poklepał brata po plecach i zerknął na ogród.

– Krokiet! – powiedział z radością. – Co za doskonały pomysł. Chodź do ogrodu ze mną i Madeleine. Jestem przekonany, że po pierwszym uderzeniu młotkiem poczujesz się lepiej.

Ian posłał mu zmęczone, cierpkie spojrzenie.

– Za chwilę.

– Jak chcesz.

Obserwował, jak Colin idzie w kierunku zatopionej w rozmowie Madeleine, niczym człowiek na pustyni szukający oazy. Ale Colin zawsze tak reagował na Madeleine.

– Tu niedaleko wisi piękny obraz, który, jak mi się wydaje, spodoba się pani. Od dawna pragnęłam mu się przyjrzeć. Czy zgodzi się pani mi towarzyszyć? Z przyjemnością wysłucham pani opinii.

Sierżant Sutton był szykowny, choć Tansy była pewna, że to w głównej mierze zasługa munduru. Coś

w tym mundurze, a może w słowie „sierżant” przed jego nazwiskiem lub w jego szarych oczach przypominało jej brata. Odrobinę. Ale spodobał jej się. Oczywiście nie był tak urodziwy jak Ian Eversea – szczerze mówiąc, kto był? – ale wystarczająco przystojny i z pewnością znacznie bardziej przyjazny. Dobrze im się rozmawiało na wiele tematów. Taka rozmowa była dla niej ukojeniem, po tym jak Ian Eversea patrzył na nią krytycznie i przenikliwie. Coś jeszcze dostrzegła w jego oczach. Coś mroczniejszego, dezorientującego i znaczącego. Coś zarówno fascynującego, jak i przerażającego.

To zaproszenie brzmiało jak wyzwanie, a ona wręcz lubiła je podejmować.

Zatem poszła z sierżantem korytarzem – całkiem daleko od salonu – aż przystanęli przed obrazem.

Obraz przedstawiał konia. Zaryzykowałyby stwierdzenie, choć nie studiowała sztuki, że był przeciętny, ale prawdopodobnie niezły. Lubiła konie, a rumak był ładny. Chociaż nie mogła znaleźć ani jednego powodu, dla którego Eversea miałby powiesić na ścianie płótno ze zwyczajnym koniem.

– Doskonały obraz – postanowiła pochwalić. – Koń wygląda jak żywy.

Nic nie odrzekł. Nagle zrobiło się bardzo cicho. Tak cicho, że słyszała, jak sierżant Sutton nienaturalnie głośno oddycha.

– Panno Danforth... jak bez wątpienia pani zauważyła, łączy nas duchowa więź.

To była zaskakująca informacja.

– Ach, tak? – powiedziała ostrożnie.

– Naprawdę. Proszę mi uwierzyć. Potrafię to wy-  
czuć. Zdałem sobie z tego sprawę, kiedy podziwialiśmy  
obraz. A wie pani, w co się przeradza więź duchowa?

Nie mając dotąd doświadczenia z duchową więzią,  
Tansy odpowiedziała szczerze:

– Nie.

– Musi, ujmijmy to, wyrazić się fizycznie.

– Musi? – A niech to. Ukradkiem zerknęła przez  
ramię, żeby zobaczyć, czy ktoś znajduje się w pobliżu.  
Ani żywej duszy. Nie dochodziły do nich nawet odgło-  
sy zabawy. O Boże!

Zrobiła krok w tył. Stukot obcasów na marmurze  
rozniosł się złowieszczym echem, jakby podkreślał, że  
byli sami.

– O tak. To prawo natury. A pani nie lekceważy  
tego prawa, prawda? – przekomarzał się.

– Sadzę, że jeszcze mi się to nie zdarzyło – powie-  
działa ostrożnie. – A jeśli to prawo natury, jak pan mó-  
wi, czuję, że ogarnia mnie lekki bunt.

– Och, możemy walczyć z naszymi żądzami, ale  
natura zawsze zwycięża. Natura wie, co jest najlepsze,  
więc dlaczego jej trochę nie pomóc? Uważam, że po-  
winniśmy.

– Nasze żądze, sierżancie Sutton? – On zrobił krok  
do przodu, Tansy krok do tyłu. – Uważam, że powinien  
był pan użyć innego zaimka.

Roześmiał się.

Zrobiła kolejny krok do tyłu. Jeszcze jeden lub  
dwa i będzie mogła podjąć całkiem poprawną ucieczkę  
bez konieczności unoszenia spódnicy i puszczania się  
pędem.

Ale właśnie wtedy sierżant chwycił ją za nadgarstek, przysunął do ust jej rękę i złożył na niej gorący pocałunek.

- Czuje to pani w palcach stóp, panno Danforth?
- Szczerze mówiąc, czuję to w żołądku.
- To radosne podniecenie – zapewnił ją.
- To obrzydzenie – poprawiła go i wyrwała rękę.

Mocno ją trzymał.

– Niekiedy potrzeba chwili, aby to poczuć. Czasami więcej niż jednego pocałunku.

Użył jej ramienia jako dźwigni, żeby przyciągnąć ją bliżej, i mimo że zaparła się obcasami, jej pantofelki ślizgały się po marmurowej podłodze, jakby miała na sobie łyżwy. Czas zaczął wolniej płynąć, kiedy ciemna jama ust otworzyła się, przygotowując się do schwytania jej warg. Smród tytoniu z jego płaszcza otumaniał jej zmysły i już miała go opluć, kiedy...

- Puść ją.

Głos był leniwy. Spokojny. Cichy.

Ale miał w sobie coś, co sprawiło, że włosy na karaku stanęły jej dęba.

Nigdy w życiu nie słyszała groźniejszego tonu.

Sierżant Sutton puścił jej rękę, jakby trzymał węża, i odwrócił się.

- Kapitan Eversea!

Rzeczywiście stał tam Ian Eversea, górując nad nimi z niewymuszonym wdziękiem. Jego twarz była nieruchoma, poza lekkim, bardzo nieprzyjemnym uśmiechem.

Tansy chwyciła się za nadgarstek i zaczęła go rozcierać.

Zastanawiała się, czy udałoby jej się kopnąć Suttona, skoro nie patrzył teraz na nią. Wpatrywała się w tył jego spodni.

Ian Eversea zmierzył ją wzrokiem, upewniając się, że jedynie jej godność doznała uszczerbku, i lekko pokręcił głową, żeby przestrzec przed użyciem przemocy.

Ale nie odezwał się do niej słowem.

– Fizyczna więź? Duchowa więź? – mówił prawie szeptem, jakby nie chciał zwracać sobie głowy podnoszeniem głosu na taką gadzinę jak Sutton. Ale każde jego pogardliwe słowo było jak uderzenie bata. – Nigdy wcześniej nie słyszałem podobnego steku bzdur. Wynos się stąd, Sutton, dopóki jesteś w stanie chodzić. A jeśli kiedykolwiek będziesz zaczepiał pannę Danforth, dopilnuję, żeby była ostatnią kobietą, jakiej się narzucasz.

Sutton zacisnął zęby. Powoli przełknął ślinę.

Powietrze zgęstniało jak przed burzą.

Po raz pierwszy od długiego czasu Tansy zalało prawdziwe przerażenie.

– Cóż, zna się pan trochę na zabijaniu, prawda? – Sutton wreszcie odpowiedział, co zabrzmiało jak obelga.

Ian uśmiechnął się lekko. Przypomniało to dobywanie miecza z pochwy. Mówił aksamitnym głosem. Kobra mogłaby używać takiego głosu, pomyślała Tansy, do hipnotyzowania swojej ofiary.

– Wystarczająco, żeby kolejna ofiara nie robiła mi różnicy, sierzancie.

Zobaczyła, jak sierżant Sutton pobladł. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby ktoś dosłownie zbiałał.

Sutton wpatrywał się w Iana przez chwilę, potem mruknął pod nosem jakieś przekleństwo i obrócił się na pięcie.

Obserwowali go, dopóki nie doszedł do końca korytarza i zniknął w tłumie.

Tansy odchrząknęła.

– Dziękuję – wykrztusiła z godnością, choć głos jej odrobinę drżał.

Nic nie odpowiedział. Wpatrywał się w nią, jakby nie mógł zdecydować, czy też zasługiwała na śmierć.

– Zabijanie? – spytała. – Zna się pan na tym? – Och, żeby przestał się w nią wpatrywać.

Nie przestał.

Wciąż milczał. Po prostu obserwował ją tymi niebieskimi oczami. Miała wrażenie, jakby jego wzrok palił jej skórę.

– Mogę zadać pani pytanie, panno Danforth? – Jego głos wciąż był cichy, niemal leniwy.

Skinęła głową.

– W co, do diabła, pani pogrywa?

Ach. Czyli miała rację. Był zły.

Na chwilę przygryzła wargę.

– Nie musi pan przeklinać.

Dobry Boże, nawet dla niej taka odpowiedź była niedorzeczna.

Zauważyła, że omal nie wybuchnął śmiechem.

– Och, przepraszam za swoje nieokrzesane zachowanie.

Teraz ona omal nie wybuchła śmiechem. Czują jednak, że nie byłoby to mądre, ponieważ Ian nawet nie mrugnął. Przypominał jej naprężoną strunę lub naładowany karabin. Złość, jaką czuł na Suttona, a pewnie także na nią, jeszcze nie zniknęła. A teraz była z nim sam na sam.

– Proszę mi odpowiedzieć.

Domyślała się, że musiał być cholernie dobrym kapitanem. Cichy głos wystarczał, żeby przerazić żołnierzy.

– Nie jestem pewna, o czym pan mówi – odpowiedziała, chociaż z całą pewnością wiedziała.

– O flirtowaniu z mężczyznami, zachęcaniu ich absurdalnymi i nieszczerymi, choć zaskakująco skutecznymi pochlebstwami... a generalnie o powodowaniu zamieszania, żeby wszyscy jedli pani z ręki. W rezultacie znalazła się pani w kompromitującej, a nawet niebezpiecznej, sytuacji.

Ach, o to chodzi.

Zauważyłeś! – chciała powiedzieć.

– Wszyscy poza panem – odparła.

Nie wierzyła, że to powiedziała.

Jasne było, że go zaskoczyła. Wpatrywał się w nią ze zdumieniem.

– A może jest pan... zazdrosny? – zasugerowała z nadzieją. Cicho. Półzartem.

Jej własna lekkomyślność zaskakiwała ją. Ale jak ryzykować, to na całego.

Poza tym chciała, żeby przestał się w nią tak wpatrywać.

Pożałowała swoich słów, kiedy na jego twarzy pojawiło się niedowierzanie.

Powoli pokręcił głową.

– Obserwowałem panią, panno Danforth... podczas pani gierki. Od razu widać, że niewiele wie pani o tak zwanych sprawach damsko-męskich. Postawiłbym na to cały majątek. A do pani wiadomości, nuży mnie taka gra połączona z ignorancją. Nie jestem chłopcem.

Dotknął ją tym do żywego.

– Sprawy damsko-męskie! Mówi pan o seksie?



Na ułamek sekundy zaległa cisza.

– Jak sędzę, uważa się pani za śmiała osobę – powiedział wreszcie.

Była całkiem pewna, że udało jej się go zaskoczyć. Może nawet nim wstrząsnęła.

Nic nie powiedziała, ponieważ sama była zaskoczona, że to powiedziała, i potrzebowała chwili, aby dojść do siebie.

– Całowała się pani kiedyś, panno Danforth?

Rozważała, jaka odpowiedź mniej ją pograży i bardziej mu zaimponuje, choć właściwie dlaczego miałyby zależeć jej na tym drugim? Tak, całowała się, ponieważ była ciekawa, a młody mężczyzna był przystojny i chwila była odpowiednia. Jednak pocałunek nie spowodował niezwykłego doznania fizycznego, podczas gdy samo patrzenie na Iana Eversea doprowadzało jej zmysły do szaleństwa.

– Może.

Nie winiłaby go, gdyby przewrócił oczami.

Ale tylko spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Prowadzisz ryzykowną grę, Tansy. Dlaczego to robisz?

Teraz ona była zła.

– Ponieważ mogę. I ponieważ im się to podoba.

– Podejrzewam, że masz na myśli: ponieważ im się podoba, kiedy ty to robisz.

To ją zaskoczyło. Zaległo krępujące milczenie.

– A ty dlaczego to robisz? – skontrowała.

Jego oczy rozbłysły zaskoczeniem, a po chwili zapaliła się w nich złość.

Cudownie. Była pewna, że go wreszcie zaskoczyła. Tak, kapitanie Eversea, wiem o pańskich przypuszczalnych

podbojach. Wyobraziła sobie, że mówi to na głos. Ale odkryła, że nie jest aż tak odważna.

Ian zignorował pytanie.

– Nie zawsze będę w pobliżu, kiedy będziesz musiała stawić czoło konsekwencjom swoich czynów, Tansy. Nie każdy żołnierz jest urodzonym dżentelmenem i nie każdy dżentelmen rozumie słowo „nie”. Generalnie mężczyźni to zwierzęta. Po prostu niektórzy noszą lepsze ubrania i mają więcej pieniędzy. Powinnaś się bardziej bać.

Bez wątpienia miał rację. Powinna.

– Kapitanie Eversea, kto jak kto, ale pan powinien wiedzieć, że dzięki odrobinie ryzyka życie jest mniej nudne.

Krótko się zaśmiała. Podejrzewała, że go zaskoczyła.

– Moje ryzyko jest skalkulowane, panno Danforth. I podjęte na podstawie doświadczenia.

– Więc nie może pan być pewien, że nic nie wiem o tak zwanych „tych sprawach”.

Wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze, jakby ulżył długim cierpieniom.

– Och, z całą pewnością wie pani, jak sprawić, aby wzdychano do pani. Wie pani, jak zdobyć męską uwagę. Ale doświadczona kobiety mają po prostu pewne spojrzenie, którego pani brak. Pewną postawę.

To coś nowego. Jakie, u diabła, spojrzenie może mieć doświadczona kobieta? Zaskoczone? Zmęczone? Psotne? Instynktownie przybrała minę, która mogła być wypadkową tych trzech.

Ian szczerze się roześmiał.

– Widziałem takie spojrzenie u jednej z krów Colina, po tym, jak zjadła coś, czego nie powinna.

Tansy zmarszczyła czoło, rozdarta między chęcią roześmiania się a wybuchnięcia gniewem.

– Nie potrzebuje pani tego spojrzenia. To nie jest coś, do czego się aspiruje, panno Danforth. Ma pani wziąć ślub z kimś z tytułem i wielkim majątkiem, prawda? Czyż nie jest pani pisany książkę lub ktoś podobnego pokroju? Więc nawet niech pani nie myśli o ćwiczeniu tego spojrzenia. Jak mówiłem, nie zawsze będę mógł panią uratować.

– Domyślam się, że wielokrotnie skorzystał pan na tych spojrzeniach, prawda, kapitanie Eversea?

W jego towarzystwie czuła się zagubiona, przez co zachowywała się bardziej lekkomyślnie niż zazwyczaj. Była jak kociak, który ostrymi pazurkami wspina się po nogawce jego spodni. Podejrzewała, że przez chwilę pozwoli jej na to, a potem zdecydowanym ruchem odgoni.

– Panno Danforth – powiedział cierpliwie. – To jasne, że chce mnie pani sprowokować, bym powiedział coś skandalicznego, co będzie pani analizowała w swoim pokoju i delectowała się tym jak skarbem. Chce pani mojej uwagi, ale nie chce pani konsekwencji tej uwagi. Nawet pani nie wie, jakie są konsekwencje. A dla mnie to po prostu... no cóż, to jest raczej nudne – dodał, siląc się na uprzejmość, i uniósł ramię z irytującą protekcyjnością. – W niektórych okolicznościach rezultat może okazać się bolesny. A jeśli ktoś, na kim mi zależy, może ucierpieć w wyniku pani gierek... po prostu nie pozwolę pani na to.

Nudne!

Ktoś, na kim mu zależy!

Co za okropne upokorzenie. Jej oczy płonęły.

Z jakiegoś powodu ubodło ją to do żywego.

– W ogóle mnie pan nie zna – powiedziała chrapliwie. Policzki miała czerwone. Mogła się domyślić, że była to intensywna, nietwarzowa czerwień.

– Znam takie osoby jak pani – powiedział jakby znudzony. – I to mi wystarczy.

Oparł się o ścianę i zapalił cygaro, nie pytając, czy jej to nie przeszkadza. Wydmuchał chmurę dymu w powietrze i wbił wzrok w krajobraz, który z pewnością znał równie dobrze jak swoje odbicie w lustrze.

Swoje irytująco przystojne odbicie, którego nie mogła zapomnieć.

– No cóż, myślę, że ma pan rację. Ale powinien pan wiedzieć, kapitanie Eversea, że to nie tak. Ponieważ pan najlepiej powinien rozumieć, że chodzi o zdobywanie kogoś lub czegoś. We wszystkim, co się robi. Reszta to strata czasu. Nie daj Boże, żeby kobieta pierwsza przejawiała zainteresowanie panem. Założę się, że ucieknie pan jak przerażona dziewczynka.

Wydawało się, że nie kontrolowała tego, co wyrzykało się z jej ust, kiedy była w jego towarzystwie. Z pewnością nie było to wskazane.

Raptownie odwrócił głowę. Oczy miał szeroko otwarte z zaskoczenia. Po chwili poczerwieniał od przypływu czystej złości. Tansy zrobiła krok do tyłu, jakby rzucił się na nią z rozpaloną pochodnią.

Potem coś nieodgadnionego pojawiło się w jego wzroku. Przyglądał się jej wystarczająco długo, żeby jej serce przysiadło w piersi, boleśnie, niczym służalczy kundelek, który z chęcią przyjmie tak pieśczo-ty, jak i odrzucenie, w zależności od tego, co Ian by wołał. Była zła na samą siebie, że przez brak doświadczenia nie mogła zapanować nad swoim sercem.

Ale przynajmniej teraz po raz pierwszy poczuła, że ją zobaczył.

Och, jak bardzo chciała się dowiedzieć, co widział.

– Wiesz co nieco o byciu przestraszoną dziewczynką, co, Tansy? – powiedział cicho.

Och.

Poczuła się jak motyl przypięty do tablicy.

Jak bardzo chciałyby mieć czym w niego rzucić.

Otworzyła usta, ale nie mogła mówić. Zabrakło jej głosu.

Po prostu się odwróciła i...

Nie, nie uciekła, ale odeszła raczej pośpiesznie.

A gdy jej kroki roznosiły się echem, przez co czuła się, jakby goniła samą siebie, zawołał za nią oschle:

– Nie ma za co.

## 14

**W**ciąż się w nim gotowało, kiedy ruszył w kierunku przeciwnym niż rozbawiony tłum.

Jak się okazało, szedł do kuchni, choć uświadomił to sobie, dopiero gdy do niej dotarł. Po przekroczeniu jej progu fascynacja zaczęła zajmować miejsce dziwnej złości, która wybuchwała na nowo za każdym razem, kiedy przypominał sobie rękę Suttona na jej nadgarstku, gdy usiłowała mu się wyrwać. Ścisnęło go w żołądku. Jak przyjemnie byłoby przywalić Suttonowi. Mogło jej się coś stać. A w najlepszym razie mógł ją pocałować wbrew jej woli, czego żadna kobieta nie powinna doświadczyć.

Jak mogła wystawić się na takie ryzyko? Przecież to czysta głupota!

Raptownie przystanął i wziął długi, głęboki wdech. Był na tyle uczciwy, że uświadomił sobie, iż jego złość była nieproporcjonalna do okoliczności.

Czy dlatego to robisz?

Ach. Dostał za swoje. Co, na Boga, ta dziewczyna mogła o nim usłyszeć? A może to tylko domysł, który rzuciła z precyzją, z jaką strzelała z karabinu?

To go nawet rozbawiło.

I na tę myśl poczuł, że coś powoli zaczyna skradać się w miejsce oburzenia. Coś, co mogło być... podziwem.

Bardzo niechętnym, ale jednak podziwem.

Była bystra. Musiał jej to oddać.

Kiedy nie starała się tak bardzo.

Przystanął w kuchni. Na szczęście była słabo oświetlona i spokojna. Ku swojej ucieście dostrzegł na tacy puszystą, złocistą samotną babeczkę, która, niczym klejnot w koronie, czekała na jego przyjście. Właśnie tego teraz potrzebował. To musiało być przeznaczenie.

Sięgnął po nią.

Znikąd pojawiła się niewyraźna plama i coś lekko pacnęło go po ręce.

Krzyknął.

Okazało się, że to była pani deWitt.

– Auu! Po co ta przemoc? Rani pani moje uczucia, pani deWitt.

Roześmiała się lekko.

– Jakby ktoś mógł je zranić! Niech pan tego nie dotyka, panie Ianie. To dla panienki Danforth.

Nawet babeczki uległy urokowi dziewczyny?

– Ta konkretna babeczka jest dla panny Danforth? Dlaczego? Może pani łaskawie mi to wytłumaczyć?

– Ależ oczywiście. To jej ulubiona babeczka, a każdy lubi czasem być rozpieszczany. Teraz pan rozumie?

– Każdy lubi – powiedział, ale pani deWitt nie zauważyła ironii. – W takim razie z pewnością ma pani dla mnie podobną babeczkę.

– Dopiero jak upiekę po południu.

– Dam pani za nią szylinga – powiedział dziecinnie. Prychnęła.

– Mam trochę sera.

– Chcę babeczkę. Tę babeczkę.

– Oj, panie Ianie. Czy to pan weźmie niedługo ślub z księciem czy kimś z podobnym tytułem? Czy jest pan samiuteńki na świecie? Zdobył pan dziś trofeum?

– Prawdopodobnie trzy razy nie – przyznał.

– No widzi pan – powiedziała, jakby to o wszystkim rozstrzygało.

Kto by mu uwierzył? Pokonany przez kucharkę! Nie był dzieckiem, żeby zabrać jej babeczkę, choć go kusilo.

– Poszukam dla pana ładnego kawałka sera – ułagodziła go.

– Niech i tak będzie. – Przyznał się do porażki. Usiadł przy stole i z irytacją odsunął na bok wazon pełen kwiatów.

– Są dla panienki Danforth – oznajmiła kucharka z dumą, jakby to ona je dostała.

– Cóż za zaskoczenie – powiedział Ian.

Przyjrzał się im uważnie. Wysłał je ktoś, kto miał cieplarnię, czyli mógł to być każdy z Sussex, kto miał pieniądze. Nieoczekiwanie poczuł irytację, zastanawiając się, kto to mógł być.

– Ale dała je mnie, słodka z niej dziewczyna. A resztę kazała zanieść na cmentarz przy kościele. I dała żołnierzyki małemu Jordy’emu! Ma złote serce, o tak!

Tego było dla niego za dużo.

Choć z drugiej strony stwierdził, że nie poświęcił wiele uwagi sercu Tansy Danforth. A raczej sercom, jak powinien uważać, biorąc pod uwagę, że skradła je niemal każdemu napotkanemu mężczyźnie, w tym również to, którego nie powinien jej pozwolić skraść, czyli serce Landsdowne’a.

Co się działo w jej sercu? Można było ją zranić, tyle wiedział. Zareagowała jak dzikie zwierzę szturchnięte dzidą, kiedy dał do zrozumienia, że swoim zachowaniem może ranić kogoś, kogo on kocha.

Poczuł lekkie ukłucie w pobliżu splotu słonecznego. Współczucie czy poczucie winy... nie był pewien. Zaczął żałować, że w ogóle to powiedział. Myśl, że mógł zranić jej uczucia, była zaskakująco nieprzyjemna.

Pani deWitt postawiła przed nim ser i pajdę chleba posmarowaną miodem. Miód był gestem pojednawczym.

– Skąd pani wie, że ta babeczka jest ulubioną babeczką panny Danforth?

– Spotykamy się wieczorami i co nieco przegryzamy podczas rozmów.

Niemal się zakrztusił.

– Spotykacie się? – Wieczorami? Pani i panna Danforth?

– Tak, psze pana. To jeszcze młoda dziewczyna i jest trochę samotna. Rozmawiamy sobie trochę w kuchni, niektórymi wieczorami. Ale nie codziennie. Czasami do późna. Zostawiam jej jedną babeczkę, a kiedy rano nie ma po niej śladu, wiem, że źle spała. To młoda pa-



nienka, sama na świecie. A tutaj spotyka dużą, szczęśliwą, głośną rodzinę. Znacie każdego w okolicy i tutejsze ziemie. A ona jest trochę samotna, prawda?

– Jest samotna, ponieważ zraziła sobie wszystkie kobiety z Sussex i rzuciła czar na wszystkich mężczyzn, którzy ranią siebie i innych, żeby ją zadowolić.

Pani deWitt roześmiała się z pobłażaniem.

– Ach, teraz to pan już przesadza, psze pana, słowo daję.

– Nie, naprawdę tak myślę.

Pani deWitt zaśmiała się głośniej, biorąc jego słowa za żart.

– Pan zawsze taki dowcipny, psze pana. Niech pan tylko pomyśli.

– Samotna? Ona jest z żelaza. Gdyby urodziła się mężczyzną, zawstydzilyby samego Napoleona i jego umiejętności prowadzenia kampanii. Nie ma wstydu.

Ale nawet kiedy to mówił, czuł nachodzące go wątpliwości.

– Oczywiście, że jest z żelaza, psze pana. Jest sama na świecie. Jaki dziewczyna ma wybór? Nie zgadzam się z tym wstydem. Dla mnie jest urocza jak...

– Proszę nie mówić, że to anioł!

– Och, domyślam się, że nie gustuje pan w takich dziewczętach. Nigdy nie ciągnęło pana do aniołów.

Mrugnęła do niego z sympatią.

Ian westchnął.

– Fakt, nigdy.

Samotna. Przypomniał sobie jej spojrzenie, kiedy spytał ją, czy wie coś o byciu przerażoną dziewczynką. Jakby pociągnął za kołnierz sukni i ją z niej ściągnął. Pozbawił ją przebrania.

Jednak to dla jej dobra, tego był pewien.

Dlaczego nagle zaczął czuć krępującą chęć prośbienia jej?

Jednak zwyciężyła w nim ciekawość.

– A o czym drogie panie rozmawiają?

– Takie tam babskie pogaduszki, psze pana. Rachunki, gotowanie... Nie zainteresowałoby to pana ani trochę – ostatnie zdanie powiedziała nieco zagadkowym tonem.

Jeszcze wczoraj miałyby absolutną rację.

Tansy zdołała przekonująco brylować przez resztę popołudnia. Ale dzień był bardzo długi, a olbrzymi wysiłek, jaki wkładała w prezentowanie uroku, przyprowadził ją o ból głowy, jakby wypłała za dużo szampa. Podejrzewała, że to kac moralny, związany przede wszystkim z brutalnie prawdziwym podsumowaniem jej przez Iana Eversea.

Usiadła wyczerpana i oparła podbródek o dłonie. Chciała go nienawidzić całą sobą, ale zdołała wykrzesać z siebie jedynie zrezygnowane, szczere przygnębienie. Czuła się jak kiepski magik, którego sztuczki zdemaskowano. Nie mogła go za to winić. Prawdę mówiąc, raczej go podziwiała, co w połączeniu z przygnębieniem powodowało niemal pewność, że nawet jeśli wcześniej trochę ją lubił, teraz przestał.

Ale... wcześniej, gdy pomagał jej ułożyć broń na ramieniu, powietrze zdawało się jej miękkie i jak aksamit. Mogłaby przysiąc, że ich oddechy zaczęły płynąć w tym samym rytmie jak dwie rzeki, które się złączyły. Nigdy wcześniej nie czuła się bezpieczniej, a jednocześnie bardziej narażona na niebezpieczeństwo. Wtedy

chciała, żeby czas się zatrzymał, żeby zastygli w bezruchu, podobnie jak obserwujący ich tłum, a ona mogłaby się oprzeć o niego, gdzie było jej miejsce, a przynajmniej tak jej się wydawało. I mogłaby zobaczyć, co przyniesie chwila.

A potem wzdrygnął się i puścił ją, jakby się oparzył.

Myślała o tym i doszła do wniosku, że ona też wytrąciła go z równowagi. A przynajmniej odrobinę.

Pocieszyło ją to, ale i zaniepokoiło.

Dzieje się tak, ponieważ im się podoba, kiedy ty to robisz?

Jej policzki znów były czerwone.

Wiesz co nieco o byciu przestraszoną dziewczynką, co, Tansy?

Ukryła twarz w rękach. Ale po chwili powoli podniosła głowę i wzięła długi, uspokajający wdech. Cóż, bez względu na to, co myślał o niej, poczuła ulgę, że się na niej poznał.

Co dziwne, tym razem nie kusiło jej, żeby rzucić pantofelkami o ścianę.

Dowiedziała się kilku rzeczy o Ianie Eversea, a on prawdopodobnie nawet nie uświadamiał sobie, że je wyjawiał. Może nawet sam nie był ich świadomy. Lekceważył ją, co dawało pewną przewagę, przynajmniej przez pewien czas. A przewagą było to, że mogła go zaskoczyć, rozpalając w nim złość, ponieważ poznała jego słaby punkt. Choć perspektywa znalezienia się pod ostrzałem jego płonących oczu była dość niepokojąca. Nie czerpała przyjemności z zadawania mu bólu, ale nie mogła zaprzeczyć, że poczuła dreszczyk emocji.

I mimo swojego postanowienia odkryła, że nadal chce go poznać.

Może i nie wykazywał najmniejszego zainteresowania Ryszardem III, ale znalazła – co prawda przypadkiem – drogę do Iana Eversea.

Spojrzała na ścianę.

Ostrożnie rozłożyła kartkę z listą wymagań i przeczytała ją. A ponieważ była całkowicie szczerą wobec siebie, dodała na dole:

*Bezwzględnie lojalny wobec tych, których kocha.*

Następnego popołudnia Ian zaszedł do pubu Pod Prosiakiem i Ostem na kufel ciemnego piwa, o którym marzył przez ostatnią godzinę wbijania gwoździ w rozlatujące się ogrodzenie. Pewnie dzięki tej pracy zaklepał sobie miejsce w niebie, chociaż jego kuzyn pastor tłumaczył mu, że to nie do końca tak działa.

Otworzył drzwi do pubu i zobaczył siedzącego samotnie Landsdowne'a, który skusił się na kufelek jasnego i coś, co wyglądało na wołowinę i cynaderki zapiekane w cieście. Landsdowne podniósł głowę, zobaczył Iana i skinął na niego.

Ian wysunął krzesło. Instynktownie podniósł rękę, a kiedy Polly nie zjawiła się w ułamku sekundy, zaczął się za nią rozglądać.

Nigdzie jej nie widział, ale Ned go zauważył i bez pytania przyniósł mu kufel ciemnego.

– Daję Polly trochę wolnego w ciągu dnia, kapitanie Eversea. Wychodzi na chwilę, ale powinna już wrócić.

– Jestem pewien, że lada chwila wróci, Ned. To dobra dziewczyna.

Ned rozpromienił się.

– Tak, psze pana, to dobra dziewczyna.

Ian wiedział, że Polly Hawthorne była oczkiem w głowie Neda. Ponownie zaczął się zastanawiać nad niebezpieczeństwami kochania. Kogokolwiek. To, co rzekomo nadawało życiu sens, mogło cię zniszczyć. Ciekawa ironia losu, że rzecz, która czyni cię silniejszym, czyni cię także słabym. Generalnie rzecz biorąc, miłość była niebezpieczniejsza niż wojna.

– Jak idzie praca, Eversea? – lakonicznie zagaił Landsdowne.

– Okupiona potem. Ale już prawie mamy nowy dach plebanii.

– Godne podziwu. Każdy budynek zasługuje na dach. Ian zaśmiał się krótko.

Zaległa cisza. Ian zastukał palcami, zastanawiając się, jak zacząć.

– Co ci chodzi po głowie? – spytał uprzejmie Landsdowne z ironicznym rozbawieniem.

– Moja siostra... – Miał nadzieję, że Landsdowne podejmie wątek.

– ...jest wspaniała – dokończył Landsdowne niemal surowo.

Ian uniósł brwi i czekał na więcej.

Ale nic nie nastąpiło.

Postanowił, że wyłoży kawę na ławę.

– Wciąż tak sądzisz?

Landsdowne roześmiał się lekko.

– Ach, więc przyszedłeś upewnić się co do moich intencji, Eversea? Myślałem, że powinny być już jasne.

– Czyli twoje intencje... nie zmieniły obranego kursu? Mimo wysłanego ostatnio podarunku młodej kobiecie?

– Czy przypadkiem nie nawiązujesz do pewnego jasnowłosego anioła, który ostatnimi czasy rozświetla Sussex?

Dobry Boże, nawet Landsdowne mówił o niej jak głupiec.

Anioł, dobre sobie, pomyślał. Był jednak na tyle dżentelmenem, że nie powiedział tego na głos, no i nie miał zamiaru wyliczać jej ukrytych wad.

Mimo woli w jego głowie pojawił się obraz delikatnego pasma jasnej skóry, skrytego między kołnierzykiem jej sukni a czepkiem. I jej delikatnych ramion, i jasnych oczu patrzących na niego, rozszerzonych i zaskoczonych, kiedy chciał się dowiedzieć, dlaczego jego opinia cokolwiek dla niej znaczy.

Znów poczuł dziwny instynkt opiekuńczy. Gwałtowny i całkiem irracjonalny.

I wtedy zrozumiał, że tylko w jego obecności była skrępowana.

Zatrzyma jej tajemnice dla siebie. Chociaż nie był pewien dlaczego.

Landsdowne westchnął.

– To był tylko przyjacielski prezent, Eversea. Chciałem sprawić, aby poczuła się miłym gościem w Pennyroyal Green. Ale... – odchylił się na krzesło – ...wyobrażasz sobie, jak wyglądałoby twoje życie, Eversea, gdybyś każdego ranka budził się u jej boku? Po przebudzeniu widząc oczy pełne podziwu zamiast wyzwania? Rozkoszując się prostotą, urokiem, niewinnością i kojącą urodą?

Ian omal się nie zakrztusił. Tego było już za dużo. Prostota? Kojąca uroda?

Na chwilę odebrało mu mowę.

– Jeśli zamierzasz przenieść swoje zainteresowania z Olivii na pannę Danforth, może się okazać, że nie jesteś sam – powiedział ostrożnie.

Landsdowne uśmiechnął się lekko.

– Jestem tego świadomy. – Nie był chyba urażony. W końcu to on umiał dotrzeć do na pozór niewzruszonej Olivii Eversea, czym doprowadził do wściekłości świat męczczyzn. – A ty nie zamierzasz dołączyć do spędu?

Ian zaśmiał się gorzko.

– O, nie. Wkrótce wypływam, bo zamierzam odwiedzić kilka egzotycznych portów. Nie sądzę, żeby wiele kobiet chciało wyruszyć w taką podróż.

– A jednak, co byś zrobił, gdybym wyznał, że zamierzam przerwać zaloty? Porzucić Olivię na rzecz panny Danforth? Wyzwałbyś mnie na pojedynek? Co byś na tym zyskał?

– Zyskałbym – powiedział w zamyśleniu Ian – tyle, że dałbym przykład. Gdybym cię zastrzelił, byłyby małe szanse, że ktoś jeszcze raz porzuci Olivię.

Landsdowne się na to uśmiechnął.

– Zapewne masz rację.

Na chwilę zaległa cisza, podczas której Ian milczeniem zmuszał Landsdowne'a, żeby się wytłumaczył. Z pewnością nie był do tego zobowiązany, ale był mężczyzną honorowym.

– Bo widzisz... – Landsdowne westchnął, a po chwili jego usta wygięły się niewesoło. – Nie wiem, czy Olivia kiedykolwiek mnie pokocha. Mimo to... im więcej czasu z nią spędzam, tym bardziej jej potrzebuję.

Lyon Redmond faktycznie miał szczęście, że zniknął, pomyślał Ian. Bez wahania udusiłby go, gdyby tylko się pojawił. Pozostawił po sobie dużo nieszczęść,

które rozlewały się na innych ludzi, nawet tych, co jak Landsdowne, na to nie zasługiwali.

– A mimo to... często sobie myślę, że uszczęśliwiłby mnie po prostu... jej szacunek. Wystarczyłby mi do końca moich dni. Szacunek Olivii Eversea jest wart więcej niż miłość i oddanie tuzina kobiet. Nie mogę sobie wyobrazić dnia bez niej. A moją intencją, daję ci słowo honoru, nie jest ubieganie się o względy panny Danforth. Czy to uspokaja twoje obawy względem siostry?

Mówił to beznamiętnie.

To było najszczerze wyznanie miłości, jakie Ian mógł sobie wyobrazić. Poczuł lekkie ukłucie wstydu na myśl, że zmusił do niego Landsdowne'a. Prawie współczuł temu mężczyźnie. Ukłuła go przelotna złość na upartą, dumną siostrę. Landsdowne był dobrym, wartościowym człowiekiem i zasługiwał na więcej niż szacunek. A duma Olivii z pewnością przyczyniała się do jej cierpienia.

Jednak Ian był lojalny wobec Olivii.

Skinął krótko.

– Dziękuję, Landsdowne, że mi to powiedziałeś. Możesz być pewien mojej dyskrecji. Przepraszam, jeśli cię uraziłem, ale mam nadzieję, że to rozumiesz.

– Rozumiem. Ja też mam siostry.

– Zresztą słyszałem, że panna Danforth jest obiecana dziedzicowi księcia de Neuville.

To było kłamstwo.

Dopiero teraz postanowił napisać do dziedzica księcia de Neuville, aby poinformować go o panie Danforth. Był młody, umiał dobrze strzelać, nieźle, choć nieco lekkomyślnie; jeździł konno, pragnął tego, co najlepsze,



innymi słowy był nieszkodliwym, nudnym młodym mężczyzną, a rodzina de Neuville miała posiadłość w Sussex. Jeśli ktoś mógł zawrócić w głowie pannie Danforth na dłużej, z pewnością był to przystojny młodzieniec z tytułem księcia na horyzoncie. Zresztą przecież takie właśnie małżeństwo było jej pisane, prawda? Wyświadczy wszystkim przysługę, pisząc do niego.

– Nie śmiałbym wkraczać na terytorium innego mężczyzny – powiedział oschle Landsdowne.

Właśnie wtedy Ian zauważył, że jeszcze nie przyniesiono mu piwa.

I wyglądało na to, że nie tylko jemu. Zatroškani goście spoglądali w kierunku baru, wymachując pustymi kufkami. Zaczęto szeptać.

Ned pośpieszył do niego.

– Kapitanie Eversea, teraz już zaczynam się martwić. Polly nigdy nie wychodziła na tak długo bez pytania czy poinformowania mnie, dokąd idzie. Obawiam się, że coś mogło się stać.

– Chcesz, żebyśmy pomógł ci jej poszukać? Masz kogoś, żeby zajął się pubem?

– Myślałem, żeby kogoś zatrudnić, ale jestem tak zajęty, że nie miałem na to czasu. Jemmy dopilnuje pubu, jak trzeba, ale jest trochę powolna. Jeśli szybko nie wrócimy, będziemy mieć na głowie bunt.

Może przesadzał, ale tylko odrobinę. Rozejrzeli się po spragnionych twarzach mężczyzn w pubie, nienawykłych, że Ned odmawia im ciemnego lub jasnego piwa, kiedy chcieli się napić.

– W takim razie lepiej się pośpieszmy. Nie chciałbym mieć buntu na sumieniu.

**M**inęło kilka dni, zanim Tansy mogła ponownie wymknąć się na samotną przejażdżkę konną, ale wykorzystła okazję, gdy tylko księżę i Genevieve wyjechali obejrzyć kolejną posiadłość wystawioną na sprzedaż, oddaloną o dwie godziny jazdy powozem. Trochę daleko jak dla Genevieve, ale wystarczająco daleko od rodziny Eversea, jak dla księcia, co było powodem bardziej lub mniej łagodnych sprzeczek.

Tansy namówiła stajennego – który mimo wątpliwości, podobnie jak pozostali mężczyźni w Pennyroyal Green, miał problem z odmówieniem jej czegokolwiek – aby osiodłał jej klacz i ponownie pozwolił na samotną przejażdżkę, ponieważ miała to być tylko krótka wycieczka, a dzień był piękny.

Tansy chciała zobaczyć efekty swojej pracy.

Była już przy strumyku, gdy zatrzymała konia.

Ktoś szedł w jej kierunku chwiejnym krokiem. Kobieta, której wiatr rozwiewał długą, ciemną spódnicę. Jęknęła i upadła na kolana.

Serce Tansy podskoczyło.

– Polly!

Pokłusowała w jej kierunku i niezgrabnie zeskoczyła z konia. Podbiegła i przyklękała przy Polly, kładąc rękę na jej ramieniu.

– Co się stało? Coś cię boli?

Polly wyglądała na skrępowaną.

– Och, nic mi nie jest, poza kostką... ojejku, zwichnęłam ją, panno Danforth, w przekłętej norze śwista-

ka, jak sądzę. Chyba nie dojdę daleko. I moja sukienka! Pobrudziłam ją! Papa mnie zabije.

Tansy w pełni rozumiała niepokój związany z ubrudzeniem sukienki i zmartwieniem ojca.

– Gdybym tylko znalazła kijek, byłoby mi łatwiej iść... – gorączkowała się Polly. Zmarszczyła czoło i spojrziała w kierunku pubu, jakby mogła się tam przenieść siłą woli.

– Kijek? To nie ma sensu. Zaczekasz tu, a ja pojedę po pomoc, jeśli zajdzie taka potrzeba. Ale najpierw czy mogę obejrzeć nogę? Zdejmijmy but, żeby...

Polly bez pytania wysunęła nogę, a Tansy ostrożnie rozwiązała znoszony, praktyczny trzewik i podała go Polly do potrzymania.

– Ojej, jaka spuchnięta! Biedactwo. Gdybyśmy tylko miały coś, żeby ją związać... wiesz, już to robiłam! Kiedyś często bawiłam się z bratem i biegałam za nim. Nigdy nie mogłam go dogonić. Był starszy i miał dłuższe nogi, a ja wpadałam w dziury na pastwisku.

Polly roześmiała się.

– Zawsze chciałam mieć brata.

– Mój był wspaniały, ale nie miałam z nim łatwo. Zginął podczas wojny brytyjsko-amerykańskiej.

– Przykro mi, panno Danforth. Mężczyźni uwielbiają wyruszać w nieznane i być żołnierzami, i zostawić nas w domu, a my tęsknimy i się zamartwiamy.

– Proszę, mów do mnie Tansy.

Zastanawiała się, za którym konkretnie Eversea Polly tęskniła i którym się zamartwiała.

– Dziękuję, Tansy. Papa będzie się niepokoił. Nie ma nikogo poza mną, wiesz? Mamy prawie nie pamiętam.

Nie będę mogła pomagać w pubie, kulejąc. Jak mogłam być taka głupia!

– Wszyscy czasami głupio się zachowujemy. Później się tym pomartwimy. A teraz zobaczymy, czy będę mogła ci pomóc...

Tansy wyjęła chusteczkę. Udało jej się owinąć dwa razy szczupłą kostkę Polly i starannie związać materiał. Wstała i delikatnie pociągnęła Polly do góry.

Polly przeniosła ciężar ciała, opierając się o Tansy. Rozpromieniła się.

– O, tak jest trochę lepiej! – Zrobiła krok i krzyknęła. – A niech to, Tansy. Obawiam się, że nie dojdę do pubu. Papa będzie na mnie taki zły!

– Początkowo tak, ale jak znam się na ojcach, szczęście, że widzi cię żywą, wygra ze złością na to, że się zraniłaś. Oprzyj się o mnie. Zaraz cię posadzimy na ziemi. Pojadę po pomoc.

Tansy zdołała wskoczyć na siodło, choć miała z tym mały problem i obawiała się, że Polly mogła zobaczyć jej pończochy i halkę.

Spięta konia do galopu zdecydowanie niegodnego damy i pomknęła przez wzgórza w kierunku miasta.

Bezwstydnie rozkoszowała się zawrotną prędkością, kiedy zobaczyła dwóch mężczyzn jadących w jej kierunku.

Zatrzymała klacz i zaczęła się rozglądać. Zerknęła przez ramię na las. Była na pustkowiu i nie miała gdzie się skryć.

Zastanawiała się, czy właśnie o takich rzeczach nie należało pomyśleć przed wyruszeniem na samotną przejażdżkę.

Niestety nie miała przy sobie broni, a przecież mogłaby zastrzelić każdego z nich z tej odległości.

Jeśli będą chcieli ją porwać i sprzedać piratom, będzie stawiała opór, ale nie miała wątpliwości, kto ostatecznie wygra.

Wpatrywała się w nich, odmawiając modlitwę, gdy chwilę później... coś w jednym z mężczyzn... to, w jaki sposób się poruszał...

Wiedziała, że to Ian Eversea.

Przez chwilę ulga walczyła z niepokojem, ale to nerwy postanowiły zostać na dłużej.

Nerwy i wyrzuty sumienia.

A jej serce, jak zawsze w jego obecności, zaczęło łomotać szaleńczym tempem, mimo że wciąż był w pewnej odległości od niej.

Tak pięknie dosiadał konia, że oddech uwiązł jej w gardle. Postanowiła nacieszyć się tym widokiem, zanim ją skrzyczy.

Wiedziała, kiedy ją rozpoznał, ponieważ raptownie się zatrzymał.

Spiął konia do cwału i w ciągu kilku sekund był przy niej.

– Panna Danforth – powiedział wolno, przeciągając samogłoski. Zdjął kapelusz. – Jak sądzę, widzę panią w miejscu, gdzie nie powinno pani być. I samą, co też nie powinno mieć miejsca. A może nie jest pani sama?

– Też miło pana widzieć, kapitanie Eversea. Jechałam do miasta po pana Hawthorne'a. Polly Hawthorne jest... nie może chodzić... skręciła kostkę i nie może wstać. Znalazłam ją.

Na jej oczach zmienił się zupełnie. Jego twarz przemieniała teraz ulgą i radością.

– Znalazła pani Polly? Gdzie jest? – odwrócił się, żeby krzyknąć przez ramię: – Ned! Znaleźliśmy Polly. – Spojrzał na Tansy. – Jest cała?

Był tak zaniepokojony, że zaczęła go uspokajać.

– Nic jej nie jest. Skręciła kostkę i nie może chodzić, ale poza tym czuje się dobrze i pogoda ducha jej nie opuszcza. Choć niepokoi się, że ojciec się o nią martwi.

– Ned! Polly skręciła kostkę, ale poza tym nic jej nie jest!

Ned odetchnął z ulgą i ruszył cwałem.

– Gdzie ona jest?

– Za mną – powiedziała Tansy, ciesząc się, że ma okazję mu rozkazywać.

– Panno Dan...

Obróciła konia i ponownie spięła go do galopu.

Złap mnie, jeśli potrafisz, kapitanie Eversea.

Drobna, elfia buzia Polly pojaśniała, kiedy ich zobaczyła.

Ned zeskoczył z konia i pobiegł do córki, a po chwili spojrzał na Iana. Ian bez słów stanął przy nich. Tansy obserwowała, jak bierze Polly na ręce, jakby nic nie ważyła. Razem z Nedem delikatnie posadził ją na siodle konia Neda.

Ach, gdybym była na miejscu Polly, pomyślała Tansy, nigdy nie zapomniabym dotyku jego ramion i tego, jak podnosił mnie delikatnie, jakbym była cennym skarbem. Niemal warto zwichnąć kostkę.

Unosząc kapelusz w kierunku Iana i Tansy i wy-lewnie im dziękując, Ned Hawthorne popędził konia.

Było słycać, jak robił córce wyrzuty i grzmiał, a Polly protestowała i starała się go udobruchać.

Tansy się uśmiechnęła. Polly ma szczęście, że ktoś za nią tak tęskni.

Spojrzała na Iana.

Też się uśmiechał w kierunku odjeżdżającej dwójki.

Tansy poczuła ucisk w sercu. To był piękny uśmiech. Ciepły, pełen satysfakcji i ulgi. W pełni naturalny. Bardzo go odmładzał.

Tak wygląda, kiedy dba o ludzi, pomyślała tęsknie.

Niestety uśmiech zniknął, kiedy Ian spojrzał na nią.

– Panno Danforth, jak udało się pani ją znaleźć?

Mógł jej przynajmniej pogratulować. Albo podziękować.

Zawahała się.

– Zobaczyłam ją... w pobliżu. Kiedy byłam na przejażdżce. To piękne miejsce, prawda? Bardzo cicho nad strumykiem.

– Co pani robiła tu sama? Zakopywała ciała? Spotykała się z kochankiem?

Tansy stanowczo zacisnęła usta.

Kiedy nie dawał za wygraną, westchnęła.

– Nic równie interesującego. Czy mógłby pan przestać być tak cholernie ciekawski i opiekuńczy? Proszę, proszę, proszę! Powiedziałam proszę. Trzy razy.

Przez chwilę się w nią wpatrywał, wyraźnie powstrzymując uśmiech.

– Nie musi pani przeklinać – powiedział łagodnie. – Tupnie pani teraz nóżką? Widzę, że ma pani na to ochotę.

– Daje mi pan na to pozwolenie?

Znów się uśmiechnął, a uśmiech przeszedł w śmiech. Miał cudowny śmiech, zwłaszcza że śmiał się do niej.

Po chwili zamilkł i przeczesał dłonią włosy, niemal z zażenowaniem.

– Bardzo dobrze pani jeździ – odezwał się. – Choć dlaczego miałyby być inaczej? Każda szara myszka jeździ jak diabeł wcielony.

– Oczywiście, że jeżdżę dobrze. Ten łagodny kraj to nic w porównaniu z surowymi terenami Ameryki. Często jeździłam tam sama. I musiałam strzec się przed Indianami, niedźwiedziami i innymi niebezpieczeństwami.

Sądząc po wyrazie twarzy, rozbawiło go jej bezcelne kłamstwo.

– Panno Danforth, nie jestem ignorantem w kwestiach geografii. Znam rejon Nowego Jorku, w którym pani mieszkała.

Ach, tak?

– Ale niewątpliwie musi pani galopować z zawrotną szybkością, by umknąć przed adoratorami i rozwścieczonymi kobietami – dodał.

– Zostawiam ich w tyle – powiedziała z powagą, przyciskając rękę do serca.

Ponownie roześmiał się z rozbawieniem. Po chwili westchnął, jakby była aktorką grającą w zabawnym przedstawieniu na Drury Lane.

Czyżbyśmy faktycznie dobrze się bawili w swoim towarzystwie?

Gdyby za długo się na tym zastanawiała, z pewnością skończyłoby się na gapieniu i jąkaniu.

Zapadło milczenie, które mogło się przerodzić w krępującą ciszę.



– To tam nauczyła się pani strzelać? – spytał. – Jak wyborowy strzelec?

– Mój ojciec i brat mnie nauczyli. Spodobało mi się to, chociaż nie lubię strzelać do zwierząt.

– Ale bez skrupułów zabija pani jabłka.

Roześmiała się.

– To jabłko zasługiwało na śmierć. Wie pan, umiem też ładować strzelbę. Chciałabym kiedyś nauczyć się strzelać z karabinu.

– Mam doskonały karabin – odparł. – Baker. Strzelałem z niego na wojnie.

Zauważyła, że ledwie powstrzymał się od zaproponowania jej, żeby skorzystała z jego broni. Miała wrażenie, że te niewypowiedziane słowa unosiły się w powietrzu, wypełniając chwilę ciszy, która potem zaległa.

– Był pan w wojsku? – zagadnęła.

– Tak.

Nie rozwinął odpowiedzi. Domyślała się, że dużo strzelał, kiedy był w wojsku, i że dużo widział. Nie chciała mu o tym przypominać.

– Tak naprawdę to niezbyt pan lubi Ryszarda III, prawda?

Wyglądał na zaskoczonego.

– Nie powiedziałbym, że go nie lubię. Raczej nie żywię silnych uczuć wobec niego. A pani? – powiedział to z dużym niepokojem.

– Też nie. Lubię historie o ludziach, którym udaje się przetrwać. Wolę Robinsona Crusoe.

Wyglądał na zdziwionego jej słowami.

– Robinson Crusoe to wspaniała postać – powiedział cicho. – I całkiem przyzwoita powieść.

– Prawda? – powiedziała żarliwie. – Podobały mi się także książki Milesa Redmonda o jego podróżach po morzach południowych.

Zdumienie pojawiło się na jego twarzy.

– Historie pana Milesa Redmonda zainspirowały mnie do wyruszenia w podróż morską dookoła świata.

– Mogą pana zjeść kanibale – ostrzegła go.

– Musieliby mnie najpierw złapać – powiedział trzeźwo. – Doskonale strzelam. Oczywiście nie tak jak pani, pogromczyni jabłek.

Przyglądali się sobie w milczeniu, jakby zaniepokojeni wspólnymi pasjami. I tym, że tak przyjemnie im się rozmawiało.

Ze sobą.

Nagle zaczęła się zastanawiać się, czy aby Ian Eversea – który rzekomo był ekspertem od kobiet i traktował je z obojętnością – nie czuł się odrobinę skrępowany w jej obecności.

Jego koń prychnął ponagłajaco pośród ciszy, niecierpliwiąc się.

Mimo to Ian nie zasugerował, że powinni wracać.

– Tęskni pani za swoim domem w Ameryce, pan-  
no Danforth?

Pytał niemal nieśmiało. Jakby uważał, że jest to delikatny temat, lub bał się, że może spowodować potok niechcianych informacji. Mężczyźni potrafią być tacy zabawni.

Z drugiej strony może naprawdę chciał ją poznać.

– Tak – powiedziała, biorąc przykład z jego zwięzłych odpowiedzi.

Kącki jego ust się uniosły, doceniając jej zachowanie.

– Genevieve mówiła, że mieszkała pani w Lilymont.  
Zaskoczona wzięła gwałtowny wdech. Miała wrażenie, jakby usłyszała ni stąd, ni zowąd imię ukochanego.

Odwróciła się instynktownie; nie zdawała sobie sprawy, że skierowała wzrok w stronę Lilymont.

– Zgadza się.

– Piękny dom. Pamiętam, jak bardzo spodobał mi się ogród, kiedy ostatnio go widziałem.

– Uwielbiałam ten ogród. Moja matka zasadziła w nim mnóstwo kwiatów. Cudownie było jej pomagać. A mój brat ganiał mnie po ogrodzie; udawał, że jest brytyjskim żołnierzem, a ja Amerykanką. Dziwnie się poczuliśmy, kiedy wyprowadziliśmy się do Ameryki i nie mogliśmy zdecydować, kto jest wrogiem.

Ian się roześmiał.

– Bracia potrafią dokuczyć.

– Domyślam się, że pan doskonale o tym wie. Ma pan dużo szczęścia, mając tylu braci.

– Chyba tak. Wie pani, że Lilymont jest na sprzedaż?

– Och. – W tej jednej sylabie kryła się czysta tęsknota. – Dużo szczęścia będą mieli nowi właściciele. Zastanawiam się, czy nadal na murze można zobaczyć moje imię, które wydrapałam nożykiem. Pod bluszczem, w rogu, obok ulubionej jabłonki mojej matki.

Ian milczał. W rękę trzymał kapelusz, a wiatr rozwiewał jego włosy. Spojrzenie strzelca, pomyślała.

W jego oczach dostrzegła zamyślenie; to samo spojrzenie miała jej matka, gdy ślęczała w kuchni nad rachunkami, sprawdzając, czy nie ma w nich błędów. Jakby musiał wymazać swoją wcześniejszą opinię o niej i zacząć od nowa.

Nagle zerknął raz i drugi na punkt na czubku jej głowy, aż wreszcie utkwiał w nim wzrok.

A po chwili się uśmiechnął.

– Dlaczego pan się do mnie uśmiecha? To nie może oznaczać nic dobrego.

Chyba lubił, kiedy się złościła. Denerwowanie jej łatwo mu przychodziło.

– No cóż, szkoda, że nie widzi pani swoich włosów. Sterczą we wszystkich kierunkach.

– O nie! – Z przerażeniem złapała się za głowę. – Naprawdę? No cóż, jestem pewna, że to nic w porównaniu z pańskimi.

Spojrzał na nią z politowaniem.

– Sądzi pani, że naprawdę się przejmuję swoją fryzurą?

– Powinien pan – mruknęła ponuro.

Widziała, jak powstrzymuje się z całych sił, żeby ponownie się nie roześmiać.

– A gdzie, do diabła, jest pani czepek? Zakładam, że gdy pani wyjeżdżała, miała go pani na sobie.

Przesunęła dłonią po karku, choć wiedziała, że czepek tam nie będzie.

– Jasna... to znaczy: a niech to!

– Zostawiła go pani tam, gdzie zakopywała swoje ofiary, co? A może podczas schadzki?

Przewróciła oczami.

– Wydawało mi się, że poczułam, jak odlatuje. Wie pan, szybka jazda to taka przyjemność, że chyba nie...

Wyciągnął szyję, żeby się rozejrzeć dookoła.

– Nie widzę go. Może zostawiła go pani... tam, gdzie pani była. Pojedziemy po niego?

Przewróciła oczami.

– Niezła próba, ale... muszę poprawić włosy, zanim wrócę – zdecydowała. – Nie mogę wrócić do domu, wyglądając, jakbym została zniewolona.

Posłała mu ostrożne, kokieteryjne spojrzenie.

Jedynie pokręcił głową.

– Zostanie pani tak jak jest, panno Danforth. Podobają mi się. Dzięki temu wygląda pani na dziką istotę o podejrzanym reputacji, czyli na taką, jaką w istocie jest.

– Wreszcie coś się panu we mnie podoba.

Zaległa niezręczna cisza.

Wyglądał na nieco zaskoczonego. I zamyślonego.

Jeśli liczyła, że zacznie wymieniać cechy, które w niej lubi, szczerze się przeliczyła. Wciąż milczał, wpatrując się w nią w sposób, który powodował ucisk w jej brzuchu. Wyczuła, że lubił w niej także inne rzeczy, ale nie mógł powiedzieć tego na głos. Przynajmniej nie jej.

– Szkoda, że nie mam lustro – powiedziała wreszcie.

Wyglądał, jakby poważnie się zastanawiał nad jej problemem.

– Może przejrzy się pani w moich oczach?

Zamrugnęła z zaskoczenia.

I zastygła w bezruchu.

Wypowiedział te słowa ot, tak.

Tansy nie miała wątpliwości, że Ian natychmiast zobaczy efekt, jaki wywołał jego komentarz, ponieważ wpatrywał się w nią.

Rzucił jej wyzwanie. Nieoczekiwanie, nie wiadomo czemu, bez ostrzeżenia...

...czyżby Ian Eversea wreszcie z nią flirtował?

A może... przekomarzał się?

A może jedno i drugie?

## 16

Zastanawiała się nad tą zagadką.

Ian zachował neutralne spojrzenie.

Ile razy mówił takie rzeczy innym kobietom?

Ale jej z pewnością uda się go zmusić do odkrycia kart.

– Może zdołam się przejrzeć w pańskich oczach – powiedziała ostrożnie.

Zrobiła krok do przodu.

I kolejny.

I jeszcze jeden.

Zobaczyła, że kąciki jego ust zaczęły drżeć, gdy ostrożnie się zbliżała.

Wreszcie podeszła na tyle blisko, że mogła poczuć woń czegoś, co pachniało jak olejek pimentowy i krochmal. Lekko zakręciło jej się w głowie, a serce zabiło szybciej.

Wyprostowała ramiona, odchyliła głowę i spojrzała mu w oczy.

Było to prawie tym samym co spojrzenie w słońce, choć z innych powodów.

Jego oczy były tak przenikliwie niebieskie, że czuła je głęboko w sobie. Zaciśnęła dłonie w pięści, próbując stawić czoło sile jego spojrzenia. Chwila miała w sobie coś intymnego. Widziała, że ciemniejsza niebieska obwódka otacza błękitne jezioro jego tęczęwki, że rzęsy są czarne i lśniące, że źrenice się rozszerzyły, a oddech uwiązł w gardle i...

Straciła pewność siebie.

Drżąc, wypuściła powietrze, co uświadomiło jej, że dotąd wstrzymywała oddech. Odchyliła głowę i zrobiła krok do tyłu.

Doigrał się, a ona nie do końca wiedziała, jak zareagować.

Słyszała jego oddech. Jego ciało zastygło w bezruchu. Wyczuwała w nim tłumioną energię. Przypominał jej lisa, który cierpliwie czeka na właściwy moment, żeby wyskoczyć z nory. W tej chwili czuła się, jakby była jedyną kobietą na świecie.

– Nie. Nie mogę się w nich dobrze przejrzeć – powiedziała cicho.

W rzeczywistości widziała się doskonale.

Poczuła osobliwe mrowienie karku, a jej zmysły zaczęły pisać w szalonym tańcu.

Jak wcześniej jej to uświadomił, nie była pewna, co ma zrobić.

Przez co znów poczuła się młoda i nieobyta.

I trochę zła. Chyba nigdy nie znudzi mu się wykazywanie jej naiwności.

Zaległa dziwna cisza, gdy przyglądali się sobie z bezpiecznej odległości.

Odchrząknął.

– No cóż, w pobliżu jest strumyk, Narcyzie – odezwał się szorstko. – Jak miemam, dojrzy pani w nim swoje odbicie. Niech się pani w nim przejrzy, jeśli to konieczne.

Podjechali do odpowiedniego miejsca. Ian zsiadł z konia, wyjął chusteczkę i rozłożył ją przy brzegu na ziemi, która na szczęście nie była zbyt wilgotna. Teatralnym gestem zachęcił ją do ukłęknięcia.

Dokładnie jak sir Walter Raleigh. No, prawie jak sir Walter Raleigh.

Przesadnie zadarła nosek jak cesarzowa, żeby go rozbawić. Uklękała z wdziękiem i pochyliła się, żeby zobaczyć, czy rzeczywiście może wykorzystać powierzchnię strumyka jako lustro.

Mogła. A Ian miał rację co do fryzury. Gdyby nawiązać do greckich mitów, byłaby Meduzą.

Zaczęła wyciągać przekrzywione spinki. Szybkie przesunięcie ręką po fryzurze powiedziało jej, że kilka z nich zgubiła. Wsunęła palce we włosy i przeczesała je, żeby poskromić bujną szopę.

Była tak zajęta przywracaniem fryzury do ładu, że dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że Ian od dłuższego czasu milczał.

Lekko odwróciła głowę, żeby upewnić się, czy nie zniknął.

W jego oczach jawiło się spojrzenie, którego nie mogła rozszyfrować.

Może nazwałaby je urzeczonym, ale zniknęło zbyt szybko, żeby miała pewność. Może po prostu bawił się jej kosztem.

– Co pan robi? – spytała.

– Oddaję się uświęconemu tradycją rytuałowi trącenia cennych minut swojego życia na rzecz kobiecej próżności.

– Och, biedaku, okropnie się nad panem znęcam. Ma pan szczęście, że znośnie pan wygląda, kapitanie Eversea. Ponieważ jeśli rzeczywiście ma pan ten osławiony urok, czekam, aż go zobaczę.

Jej słowa, jak się tego spodziewała, rozbawiły go.



– Proszę się pośpieszyć – powiedział, czym potwierdził jej przypuszczenia.

Udało jej się okiełznać włosy i wpiąć spinki, tak że rezultat ją zadowolił.

– Jak wyglądam?

Obserwował ją, lekko marszcząc czoło, tak długo, że zaczęła z trudem oddychać.

– Mniej interesująco, ale przyzwoiciej – wydał enigmatyczny wyrok.

Spojrzała na niego podejrzliwie, szukając oznak drwiny. Nie dojrzała żadnej.

Właściwie sprawiał wrażenie zmartwionego.

Od dłuższego czasu nawet nie mrugnął. Działał jej na nerwy.

Czuła się trochę jak zwierzyna.

I wciąż nie była pewna, co z tym zrobić. Znów mrowienie w brzuchu dało o sobie znać.

Dlatego właśnie nie powinnam jeździć sama, pomyślała.

Wstała bez jego pomocy i podniosła jego chusteczkę. Ian podszedł do konia, żeby pomóc jej wsiąść na siodło.

I wtedy...

Dopiero potem dostrzegła ironię faktu, że nawet nie pomyślała, by udać potknięcie.

Wiedziała tylko, że w jednej chwili stała prosto, a w następnej leciała w dół. Widziała, jak ziemia się zbliża, ze stłumionym krzykiem wyciągnęła ręce i...

Uderzyła o coś, co było w dotyku jak mur.

A okazało się Ianem, który rzucił się do niej z prędkością błyskawicy. Uderzyła głową o jego tors, złaapała koszulę i pociągnęła za nią, kiedy Ian delikatnie

postawił ją do pionu, jakby oboje niezdarnie tańczyli tango.

Kiedy odzyskała równowagę, zdała sobie sprawę, że udało jej się rozpiąć mu koszulę, a jej ręka wsunęła się między guziki.

Po chwili stwierdziła, że dotyka jego skóry.

Jej serce natychmiast zabiło szybciej, a mięśnie się napięły.

Wstrzymała oddech.

Sadząc po napięciu w jego ciele, zareagował podobnie.

Zdawało się, że czas wstrzymał bieg.

Rozsunęła palce, lekko, tylko odrobinę. Nie mogła się powstrzymać. Chciała dotknąć trochę więcej, skoro okazja ku temu się pojawiła. Zamierzała wyobrazić sobie resztę jego ciała, zaczynając od tego miejsca.

Minęła chwila napiętej ciszy, zanim przemówił.

– Nie – powiedział szorstko.

Jednak było za późno. Nie mogłaby cofnąć ręki, nawet gdyby wycelował w nią pistolet.

Jego skóra była gorąca i aksamitna, a tors przerażająco, fascynująco twardy. Zaczęła się trochę bać, ale nie mogłaby się odsunąć, nawet gdyby chciała. Działał na nią jak magnes.

– Tansy... – powiedział, delikatnie ją ostrzegając.

Jednak nie odsunął się od niej.

Czas nagle zaczął wolniej płynąć, gęstnieć, mięknać, jak... jak...

Lawa.

Jego głos też stał się bardziej miękki. Lekko chrapliwy. Muskał jej zmysły niczym szorstki aksamit.

– Za bardzo się starasz, Tansy. Wiesz, co mi to przypomina?

– Marzenie, które się spełniło? – szepnęła. Dotykam skóry Iana Eversea. Dotykam skóry Iana Eversea!

– Kogoś, kto chce zbyt entuzjastycznie schwytać mydło, a ono raz po raz wyslizguje mu się z rąk.

– Wyobraża sobie pan mnie w kąpielu, tak?

Roześmiał się. Zdenerwowanym śmiechem. Nieco zbolałym.

– Zawsze atakujesz pierwsza, zanim ktoś cię zaatakuję, Tansy. Boisz się być...

Raptownie przerwał.

Bezbronna, dokończyła w myślach. Była zaskoczona. I pewna, że właśnie to miał na myśli.

Zaskakiwało ją to z wielu powodów.

Ponieważ było prawdą.

Ponieważ był irytująco wnikliwy.

I ponieważ uświadomiła sobie, że zamilkł, bo...

Mówił o sobie.

Nie odważyła się powiedzieć tego na głos.

Spojrzała na niego.

Musiał czytać w jej myślach, ponieważ jego oczu niemal dosłownie zmartwiały. Stały się zimne, nieprzeniknione. Gdyby kolor tych oczu znalazł się na palecie malarza, nazwałaby go „ostrzegawczym błękitem”. Musiałaby być masochistką, chcąc przełamać mur, który właśnie zbudował. Rozłożyłby ją na łopatki kilkoma lakonicznymi słowami.

– Co się panu stało? – szepnęła, zanim zdołała się powstrzymać.

Ponieważ po śmierci rodziców przestała wiedzieć, kiedy powinna się bać.

Coś spowodowało, że stał się takim, jakim był. Tak samo jak coś sprawiło, że ona była, jaka była.

Jak przez mgłę zauważyła, że jego serce zaczęło szybciej bić pod jej dłonią. Wspaniałe uczucie. Jaka miękka i ciepła była jego skóra w porównaniu z zimnymi, pełnymi rezerwy oczami. Tansy puściła wodze wyobraźni. Czy ma taką skórę na całym ciele? A może są na niej różne faktury, kręcące się włoski, więcej mięśni... I nagle jego dłonie znalazły się na jej udach.

Jego dłonie znalazły się na jej udach!

Była tak zatopiona we własnych myślach, że nic nie zauważyła, a teraz było już za późno. Dotknęły jej delikatnie, znienacka. A palce zaczęły wędrować wyżej, do krągłych bioder, lekko i niezmiernie powoli, jakby udowadniał jej, jak kobieca i zniewalająca jest dla niego.

Ponieważ z pewnością taka była.

Włosy na karku i ramionach stanęły jej dęba; sutki niemal boleśnie o sobie przypomniały, a jego palce przesuwające się po zwiewnym i delikatnym muślinie wzbudziły w jej ciele płomień. Dotyk Iana był tak wyrafinowany i fascynujący, że zapomniała oddychać.

Za chwilę nie zniesie własnego pożądania.

Nieoczekiwanie, z prędkością wilka chwytającego zającą, chwycił ją pod pośladkami i mocno przyciągnął do siebie. I tak trzymał. Wpatrywał się w jej oczy; jego źrenice były duże i czarne. Na coś czekał. Wystarczająco długo, żeby poczuła twardość, która bez wątplenia była erekcją. Czekał, aż jej ciało zacznie się rozluźniać, ulegać mu, dopasowywać się do niego. Aż jej ręce obejmą go za szyję.

To, co nastąpiło, nie było pocałunkiem, tylko atakiem.

Kiedy jego wargi dotknęły jej warg – a jej głowa była już odchylona, żeby je przyjąć – wyprężyła się. Chwilę potem wzajemne dopasowanie ich ust wydawało się najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Odpowiedzią na wszystko. Zbyt późno zrozumiała, że to właśnie było niebezpieczeństwem, przed którym ją ostrzegwał. Jędrne i ciepłe wargi muskały ją wprawnie, wprowadzając do świata przyjemności, którą można było osiągnąć samymi ustami.

Po chwili przywarł mocniej.

Rozchyliła wargi pod wpływem jego zmysłowej wiedzy – starej jak świat i silniejszej niż rozum. Jej ręce przesunęły się w dół. Chwyciła go za koszulę, żeby zachować równowagę, kiedy poznawała kolejne etapy przyjemności, a jego język splatał się z jej. To, co zaczęło się jako niemal brutalny pocałunek, zmieniło się w coś innego. Bardziej zmysłowego, niezgłębionego, podniecającego i upajającego. Czuła, jak zwalnia, jak jego ciało się rozluźnia. Unosiła się w miejscu, gdzie grawitacja nie obowiązywała. Spadałaby wiecznie, gdyby do niego nie przywarła; teraz pocałunek był jej światem.

Cicho jęknęła z rozkoszy. Jego ciało natychmiast się napięło i przyciągnął ją bliżej. Czuła twarde penis przy złączeniu swoich nóg. Rozsunęła je pod wpływem nieprawdopodobnej przyjemności. Otarł się o jej ciało. Było tak cudownie. Pragnęła zatopić się w nim.

– Tansy – wydyszał chrapliwie. – Boże.

Nagle zrozumiała, że mógłby ją teraz wziąć, a ona by nie oponowała. Pragnęła go z dzikością, jakiej

dotychczas nie znała. Przesunął ręce w górę jej pleców i ujął w dłonie jej głowę. Gdy jego usta brały, a jej się poddawały, szepnęła chrapliwie: „Jak słodko”.

Delikatnie przesunął palcami po jej gardle, muskał nagą skórę, wzbudzając szaleństwo zmysłów. Powędrował nimi śmiało do jej piersi. Jeden palec delikatnie wsunął za gorset i pociągnął za sutek.

Dotyk był cudowny i przerażający.

– Ian – wydyszała, a on wstrzymał oddech. Chciała więcej. I bała się.

Oderwał od niej usta. Oparł czoło o jej czoło.

Czuła na twarzy jego gorący, szybki i nierówny oddech.

Stali oparci o siebie. Jej oddech był dziwnie przerywany, przypominał łkanie.

Nie będzie już tą samą osobą, tego była pewna.

Ian raptownie ją puścił i cofnął się.

Co wydawało się jej wyjątkowym okrucieństwem.

Oboje wpatrywali się w siebie, dysząc, niczym pięściarze cofający się do swoich narożników.

Jej zmysły były w całkowitej rozsypce. Latami będzie dochodziła do siebie. Może nigdy ich nie odzyska.

Minęły wieki, a może sekundy, kiedy przemówił.

– Wielu mężczyzn nie zatrzymałoby się, panno Danforth – powiedział cicho.

Ach, więc to była kolejna lekcja. A przynajmniej chciał, żeby tak to wyglądało. Jak miło z jego strony.

Roześmiała się gorzko.

Mimo to wciąż nie mogła mówić. Była pewna, że kiedyś posiadała tę umiejętność.

On za to mógł.

– Proszę, Tansy, przestań grać w gierki, których nie rozumiesz. Źle to się dla ciebie skończy. Bardzo łatwo zatracić się w ten sposób.

Wciąż nie mogła spokojnie oddychać ani myśleć. Była wściekła, że musi oprzeć się o niego jedną ręką, żeby zachować równowagę. Była też wściekła, że miał rację. I za to, że był tak cholernie pewny siebie.

I że stał pewnie, kiedy na nią patrzył.

Wtedy zrozumiała, że on też drżał.

Czuła to pod dłonią.

Był doświadczonego uwodzicielem, a jednak ten pocałunek nim wstrząsnął.

Nieoczekiwanie zaniepokoiło ją to bardziej niż sam pocałunek.

– Dlatego to robisz? – powiedziała cicho. – Żeby się zatracić?

Złość ponownie rozbłysła w jego oczach.

– Uważaj.

Czyżby przejmował się ujawnieniem swoich tajemnic?

Wreszcie, nieśpiesznie, zabrała rękę od jego ciała, jakby był psem zarażonym wścieklizną i mógł się na nią rzucić, gdyby zrobiła jakiś nagły ruch. Odzyskała równowagę. Jej oddech prawie wrócił do naturalnego rytmu. Jednak wciąż nie mogła się odsunąć od niego; w jakiś niewytłumaczalny sposób przyciągał ją do siebie. Wciąż czuła na skórze ciepło jego ciała. Zastanawiała się, czy zawsze będzie je czuła. Jakby została naznaczona.

– A jeśli ja też chcę się zatracić? – szepnęła.

Coś dzikiego i niebezpiecznego rozbłysło w jego oczach. Jakaś dziwna tęsknota. I jak się pojawiła, tak zniknęła.

– Nie wiesz, co mówisz.

Włosy opadły mu na czoło. Wyglądał zabawnie... i nigdy nie wydawał się aż tak przystojny.

Mimo że jego twarz była teraz jak z kamienia.

– Wiem jedno. Wiem, że mnie pragniesz – powiedziała, jednak nie dodała: tak bardzo, jak ja pragnę ciebie.

Gwałtownie odchylił głowę i znieruchomiał. Zastygł w bezruchu; jedynie jego loki unosiły się na wietrze. Czy tak wyglądał, kiedy celował z karabinu? Podejrzała, że tak.

Chciałaby wsunąć palec w jeden z jego loków, rozwinąć go.

Wreszcie pochylił głowę i opuścił ramiona. Obróciwszy się na pięcie, podszedł do jej konia. Bez słowa przytrzymał dla niej strzemień i skinął na nią.

Podsadził ją, jakby była workiem ziemniaków, a nie kobietą, którą przed chwilą całował bez tchu.

Następnie wskoczył na swojego wierzchowca i spojrzął na nią, lekko marszcząc czoło.

Szorstko skinął głową.

– Czas wracać.

Obrócił konia i spiął go do jazdy.

Wydawało jej się, że słyszała, jak mruknął pod nosem jedno słowo.

Nie była pewna, ale mogło brzmieć „diablica”.



**J**an zamknął oczy.

Dwa ptaki leniwie ćwierkały do siebie z dwóch końców ogrodu, tworząc zgrany duet. Spokój był wszechobecny, prawdopodobnie dlatego rośliny mogły bez ograniczeń się rozrastać i tłumić wszelkie dźwięki, które mogły tutaj dotrzeć.

Powoli otworzył oczy. Czuł się niemal jak intruz. Wszedł na ścieżkę wyłożoną kamieniami, częściowo przetykaną trawą i kwitnącymi chwastami, miejscami zupełnie zarośniętą. Ścieżka wiła się między brzoźami, dębami, orzechami, jabłonkami i wiśniami. Drzewa były potężne i stare, lecz zdrowe i zielone. Kilka much radośnie brzęczało nad owocami, które spadły na ziemię.

Kwiaty, zasadzone niegdyś zgodnie z planem, rozszalały się i walczyły o przestrzeń jak tłum podczas balu. Nie przeszkadzało mu to. Lubił lekki chaos.

W rogu dostrzegł zbitą, grubą na kilka centymetrów warstwę bluszczu. Zalała go fala dziwnego oczekiwania, kiedy podszedł bliżej. Odślonił roślinność niczym zasłonę, która niechętnie mu się poddała, muskając gałązkami mur.

Przyjrzał się uważnie.

Było tam, bursztynowe w porannym świetle, mozołnie wydrapane w kamieniu imię: „Tansy”.

Dotknął go palcem, powoli przesuając po każdej literze. Trzeba było determinacji i noża, żeby to zrobić. Zaśmiał się krótko. Szara myszka, która nie boi się ani broni, ani noży, ani jazdy na złamanie karku.

Nie był pewien, dlaczego chciał tu dziś przyjść. Miało to jakiś związek z tym, jak wyglądała, gdy wypowiedział słowo „Lilymont”. Coś jasnego, naturalnego i bardzo prawdziwego zagościło na jej twarzy, coś, co potem powstrzymała. Jej „och”, kiedy oznajmił jej, że dom jest na sprzedaż, było przepełnione najszczerzą tęsknotą, jaką kiedykolwiek słyszał.

Pod wieloma względami przypominała chodzący znak zapytania, ale w tamtej chwili była prawdziwa.

I chyba chciał się dowiedzieć dlaczego.

Ponieważ, pomyślał, posmakował tych wszystkich rzeczy, kiedy ją całował. Desperacji i porzucenia, wytracającej z równowagi i porywającej lekkomyślności, intensywnej radości, bezkresnej zmysłowości. Smakowała niezliczonymi przyjemnościami i możliwościami.

Mocno nim to wstrząsnęło.

Więc uciekł się do potraktowania tego pocałunku jako lekcji. Całkiem dobrze to wymyśliłem, stwierdził.

Rzeczywiście to była lekcja.

W każdym razie dla niego.

Po tym pocałunku nie był pewien, czy kiedykolwiek prawdziwie kogoś całował.

Czy dlatego to robisz?

Nie nabrał jej.

Wiedziała, że jej pragnął. Prawdopodobnie wiedziała, zanim sam to sobie uświadomił. To pragnienie skradało się do niego od kilku dni.

Fakt, że go przejrzała, doprowadził go do takiej furii, że dostał mroczków przed oczami. Był wściekły, przede wszystkim na siebie, że dał się tak złapać.

Napełniało go to także bezsilnym, niechętnym, wręcz rozbawionym podziwem.

Zrobił długi wydech, wstrzymywany przez wyczerpująco długi czas. Powoli wypuścił powietrze, jakby Tansy była opium, którego nabrał do płuc, i w ten sposób mógł usunąć wspomnienia o niej.

Złość i zraniona duma wyjdą jej na dobre. Lepiej dla niej, jeśli będą się trzymać z dala od siebie i choć spróbują uwierzyć, że pocałunek miał być lekcją.

On robił swoje i od tamtej pory skutecznie jej unikał. Wstawał bardzo wcześnie i poświęcał się szlachetnej, wyczerpującej pracy fizycznej z młotkami, deskami i tak dalej. Jadał w pubie i zostawał na partyjki szachów z Culpepperem i Cookiem. Do domu wracał późnym wieczorem, zbyt późno, żeby wyjrzeć przez okno i przyłapać pannę Danforth na jakimś nowym występku. Udało mu się tak spędzić cały tydzień. W ogóle o niej nie myślał.

Mimo to teraz był w Lilymont, jakby coś go tu przyciągnęło, coś, na co nie miał wpływu.

Pragnął jej.

Ale to nie miało nic do rzeczy. I choć normalnie dostawał to, czego chciał, był wystarczająco rozsądny, aby wiedzieć, że niebezpieczeństwo nie leżało w zdo-byciu tej kobiety, lecz w niej samej.

Opuścił bluszcz, patrząc, jak za nim znika jej imię.

Symbolicznie opuścił kurtynę i zamknął epizod w swoim życiu.

Słońce było teraz wyżej. Czuł je na karku.

Nie był pewien, czy to dlatego raptownie się obrócił. Miał wrażenie, że ogród się lekko poruszył, jakby chciał powitać kolejnego gościa.

Kiedy obejrzał się za siebie, w wejściu ujrzał księcia Falconbridge.

Naszła go absurdalna myśl, że to jego sumienie przemówiło i przywołało księcia. A może tylko śnił. Ian doskonale wiedział, że sny umiały przybierać najgorszy możliwy scenariusz.

Obaj zastygli w bezruchu w cichym, dzikim ogrodzie. Wpatrywali się w siebie w milczeniu, jak dwa wilki z różnych watah.

A Ian, jak zawsze, kiedy widział księcia, poczuł pewien wstyd. Cóż, przynieśli sobie nawzajem wstyd tamtej fatalnej nocy, co nie zachęcało do wylewnych rozmów.

– Dzień dobry – powiedział uprzejmie Ian.

– Dzień dobry.

Ich głosy rozniosły się nedorzecznym echem pośród chłodnego, porannego powietrza.

Milczenie.

Ian stwierdził, że wdrapanie na drzewo owocowe i przeskoczenie przez mur, zamiast minąć księcia i pójść po swojego konia, byłoby jednak przesadą.

– Interesujesz się Lilymont, Eversea? – Zbędne pytanie.

– Tak – odparł po prostu Ian.

– Dlaczego?

Bezczelne pytanie. I zasługiwało na oschłą odpowiedź.

– Z ciekawości.

Książę rozejrzał się dookoła. Wszedł w głąb ogrodu, a Ian lekko odsunął się od pokrytego bluszczem muru, jakby mógł go obciążyć.

– Pomyślałem, że zajrzę tu obejrzyć jeszcze raz posiadłość. Spodobała się Genevieve, ale jest dość mała. Wymaga dużo pracy.

I bez wątpienia leży trochę zbyt blisko miejsca zamieszkania reszty rodziny.

– Rozumiem, dlaczego jej się podoba. – Tylko to powiedział na głos Ian.

Kolejna chwila ciszy. Nawet ptak nie przerwał jej śpiewem. Najwyraźniej wszystkie wstrzymały swoje ptasie oddechy.

– To jest dom rodzinny panny Danforth – swobodnie poinformował ksiązę.

Wszedł jeszcze głębiej do ogrodu, ale nie zbliżył się do Iana. Zdecydował się raczej na okrężną drogę, jakby jabłunki i wiśnie miały istotny wpływ na decyzję kupna domu.

– Jest urokliwy.

Książę odwrócił się, żeby spojrzeć na Iana.

– Nie jesteś zainteresowany kupnem posiadłości. – Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Nie. W ciągu najbliższych tygodni wyruszam w długą podróż morską. Przeznaczam na nią każdego pensa oszczędności.

Książę skinął uprzejmie głową, jakby w ogóle nie przejawiał zainteresowania.

– Ach, tak. Przypominam sobie. Twoja podróż dookoła świata. – Zamilkł. – Czasami ruch jest tym, czego człowiek naprawdę potrzebuje.

Ian wpatrywał się w niego. Sądził, iż książę będzie zachwycony faktem, że za kilka tygodni zaczną się od siebie nieubłaganie oddalać. A biorąc pod uwagę kaprysy

morza, nie mówiąc o dziwnych kulturach i żywności, Ian może nigdy nie wrócić.

Księżę odwrócił się, chwycił za grubą gałąź, i przyciągnął ją, jakby chciał się jej bliżej przyjrzeć.

– Jednak czasami człowiek potrzebuje miejsca i osoby, dzięki którym poczuje się jak w domu.

Ian zwalczył chęć zmarszczenia brwi. Dlaczego Falconbridge filozofował nad tym, czego człowiek pragnie? Nic o nim nie wiedział, poza tym, jak wygląda po ciemku nagi i że doskonale się wspina.

– Jak mniemam, masz rację w obu kwestiach – powiedział uprzejmie Ian.

Księżę przystanął pod wiśnią. Stał profilem do Iana. Ian doskonale widział zmarszczki w kąciakach jego oczu. Czy zawsze tam były? I czy aż tak głębokie?

Moja siostra kocha tego mężczyznę.

Nieoczekiwanie odezwało się w nim sumienie. Żałował, że nie może cofnąć czasu, by poznać księcia i zobaczyć w nim to, co ceniła Genevieve.

– Pozwolisz, że się oddalę, Falconbridge. Kuzyn mnie oczekuje na plebanii. Wiesz, remont.

– Oczywiście. W takim razie życzę dobrego dnia. – Księżę skinął, ale nie spojrzał na Iana.

Trzymali się na bezpieczną odległość, jak zwierzęta doskonale świadome siły przeciwnika i tego, co może on zrobić w obronie swojego terytorium. Falconbridge ruszył w głąb ogrodu, a Ian skierował się do łukowej bramy.

A kiedy księżę zobaczył, że płaszcz Iana znika za rogiem, szybkim krokiem podszedł do rogu ogrodu. Obserwował Iana trochę dłużej, niż tamtemu się zdawało.

Odsunął bluszcz i osłonił oczy od słońca. Dopiero po chwili zobaczył napis na murze.

Tansy.

Zastygł w bezruchu.

Ian Eversea dotykał tego słowa z czymś w rodzaju nabożnej czci.

Powoli się odwrócił, osłonił oczy od słońca i wsłuchiwał się w pochmurnym zamyśleniu w tętent odjeżdżającego na koniu Iana. Młody Eversea zachował się jak mężczyzna próbujący od czegoś uciec.

Tamtego popołudnia księżę poprosił Tansy, aby ona naląła herbaty. Była zachwycona rytuałem i jego kojącymi dźwiękami. Pobrząkiwaniem kostek cukru o porcelanę, dzwonieniem małych, srebrnych łyżeczek o zakrzywione ścianki filiżanek.

– Doszło do mnie, że lord Stanhope wkrótce będzie wizytował swoje włości. Jest dziedzicem księcia de Neuville.

Księcia!

Tak przyjemnie ją to zaskoczyło, że rozlała odrobinę herbaty na spodek.

Naprawdę nic nie mogła na to poradzić. Księżna Titania de Neuville, powiedziała w myślach, sprawdzając brzmienie słów. Wielkie nieba, chyba po raz pierwszy imię Titania brzmiało dobrze.

Najwyraźniej urodziła się, żeby zostać księżną.

Czy jest przystojny? Mądry?

Czy spróbuje ją pocałować tak, żeby zapomniała, jak się nazywa?

Czy będzie próbował udawać, że to była jej wina i że daje jej lekcję, a potem będzie unikał jej przez tydzień, choć wiedziała, jaka była prawda?

O tak, wiedziała.

Zagryzła zęby, żeby zapanować nad ogarniającą ją złością. I nad doznaniem, które zarówno ją cieszyło, jak i przerażało, i które mogła przywoływać do woli; doznaniem jego palców wędrujących po jej szyi i wsuwających się za gorset.

Spojrzała na herbatę i przypomniała sobie namiętną słodycz jego ust. Zalała ją fala słabości. Nie ośmieliła się spojrzeć na księcia.

Ian Eversea miał zdecydowanie więcej rozsądku, niż mu przypisywała. W końcu zniknął po tym pocałunku. Z drugiej strony, Tansy nie mogła mu w pełni ulec, w przeciwieństwie do, na przykład, pewnej atrakcyjnej wdowy, więc jaki miałby z niej pożytek w tym względzie? Choć podejrzewała, że powód jego nieobecności był zupełnie inny, nie mogła przestać żałować, że trzyma się z dala.

Twarz jej płonęła. Podniosła wzrok i zobaczyła wbite w siebie pytające spojrzenie księcia. Może pomyślał, że zaczerwieniła się na myśl o nieopierzonym księciu. O którym powiedział jej niemal w ostatniej chwili.

– Sądziłam, że jest księżę jedynym księciem w okolicy.

Lekko się uśmiechnął, żeby sprawić jej przyjemność.

– Z pewnością nie jest nas wielu. Ale to syn porządnego człowieka. Młody, dobrze wychowany, wykształcony. Cieszy się naganną opinią. Śmiem powiedzieć, że jest przystojny i cechuje się nieskazitelną postawą moralną.

– Pamięta księżę moją listę?

Ponownie się uśmiechnął.

– I jest bogaty. Bardzo bogaty.

Co dziwne, nie ujęła tego w swojej liście, zresztą po ślubie będzie dysponowała swoim majątkiem. Choć z pewnością nie miała nic przeciwko bogactwu przy-



szłego męża. Wyobraziła sobie powozy, suknie, służbę, bale, konie.

Dom. Rodzinę. Dzieci.

– Ma piękny dom tutaj, w Sussex – dodał, kiedy milczała. – Dwa razy większy niż Lilymont.

To słowo, jak zawsze, spowodowało, że na chwilę wstrzymała oddech.

– Wielkość Lilymont zawsze wydawała mi się odpowiednia. Choć naturalnie, gdy tam mieszkałam, byłam dzieckiem. Domyślam się, że jest na sprzedaż – powiedziała ostrożnie Tansy.

– Genevieve jest zainteresowana, ale jeszcze nie podjęliśmy decyzji.

Poczuła dzikie ukłucie zazdrości, które po chwili stłumiła.

– Cudownie byłoby, żeby dom został w rodzinie. – Cudownie byłoby chociażby wiedzieć, że jest tam mile widziana.

Podobało jej się brzmienie słowa „rodzina”. Uświadomiła sobie, że cieszyło ją, iż księżę i jego żona byli jej rodziną.

– Ogrody były piękne, kiedy była pani dzieckiem. Kiedyś biegała tam pani z bratem.

– Zgadza się – powiedziała z uśmiechem. – Kiedyś bawiliśmy się w żołnierzy. A potem brat został żołnierzem.

Nie dodała „i nie wrócił”. Nie musiała. Księżę wiedział, o czym pomyślała.

– Często ci, którzy wracają... nigdy nie zapominają o wojnie. Wojna pod wieloma względami nieodwracalnie zmienia człowieka. Surowość i bezmyślność mogą... na stałe wsiąknąć w charakter.

Wpatrywała się w niego niewinnie.

A przynajmniej taką miała nadzieję.

– Ale czy życie też nie zmienia człowieka? To raczej nieuchronne. Nie można przewidzieć przyszłości, prawda?

Zawahał się. Po chwili powoli skinął, unosząc brew.

– Cóż, czasami myślę, że to jak z nastawianiem złamanej ręki – powiedział. – Jeśli zrobi to niedoświadczona osoba bez odpowiednich umiejętności, kość przybierze niewłaściwy kształt i nigdy tak naprawdę się nie zagoi.

Tansy zwalczyła chęć zmrużenia oczu, żeby mu się przyjrzeć. Podejrzewała, że to kolejne ostrzeżenie przed Ianem Eversea.

– Czasami rzeczy łamie się w taki sposób, że pasują do innych, prawda? Na przykład kawałki układanki lub szkło witrażowe?

Książę zastukał palcami o biurko. Zaległa cisza, która trwała tak długo, że syk kostki cukru topiącej się w filiżance herbaty wydawał się zdumiewiająco głośny.

– Z pewnością jest pani córką swojego ojca – powiedział wreszcie.

Kiedy wszedł do pokoju, Genevieve była już w łóżku i czytała książkę.

W milczeniu wyciągnął do niej rękę. Odłożyła lekturę i podeszła do niego, z przyjemnością wtulając się w jego pierś. Westchnęła, gdy książę zanurzył twarz w jej ciemnych, zebranych w warkocz włosach. Przez chwilę stali w milczeniu, doceniając swoje szczęście: cud kochania i bycia kochanym, i to, że noce nie straciły nic z powabu namiętności.

– Dostałem wiadomość od księcia de Neuville – powiedział. – Jego dziedzic przyjeżdża złożyć wizytę w Sussex.

– Domyślam się, że chciałbyś przedstawić mu pannę Danforth.

– Co za ulga wiedzieć, że nie muszę nic mówić, skoro tak doskonale czytasz w moich myślach.

Roześmiała się.

Uwielbiał czuć, jak jej śmiech wibruje przy jego piersi.

– Brat panny Danforth był żołnierzem. Został odznaczony. Zginął na wojnie. O ile pamiętam, bagnę go dosięgnął.

– Ach, tak – powiedziała cicho Genevieve. – Biedna Tansy. Ian też został odznaczony za waleczność. Ura-  
tował komuś życie. Ma okropną bliznę po bagnecie.

– Widziałem – odparł książę.

Zamilkli. Genevieve doskonale zdawała sobie sprawę, w jakich okolicznościach książę widział tę bliznę.

Wtuliła się mocniej w męża, ponieważ wiedziała, że nie lubi tego wspominać i ponieważ była wdzięczna za to, co się stało, skoro ostatecznie ich połączyło.

– Naprawdę wyrusza w długą podróż morską?

– Ian? – spytała sennie Genevieve. – Niekiedy wydaje mi się, że już w nią wyruszył. Ale tak, ma taki zamiar.

– To dobrze – odparł książę.

Gorąca kąpiel po długim dniu fizycznej pracy znacznie poprawiła nastrój Iana. Ned musiał go prawie siłą wypchnąć z pubu Pod Prosiakiem i Ostem, ale był dość trzeźwy, kiedy dojechał do domu.

Przystanął na środku swojego pokoju. Po kąpeli i przyjemności, jaką ze sobą niosła, był aż nadto świadom swojej skóry, ciała, mięśni i zmysłów. Jaką radością było je mieć. Życ. Móc czuć, smakować i...

Jego mięśnie znów się napięły. Powoli przysunął dłoń do swojej wciąż wilgotnej piersi.

Jaki... nowy był dotyk jej dłoni. Jak ostrożnie rozsunęła palce, odkrywając go. Była śmiała, lekkomyślna i niewinna, a zarazem daleka od niewinności.

Nie całowała jak dziewczyna. Całowała jak ktoś, kto urodził się, żeby to robić... tylko z nim.

Pragnął ponownie jej dotknąć.

Pragnął ponownie poczuć jej skórę na swojej.

Pragnął smakować ją całą.

I ta potrzeba, którą od tygodnia trzymał pod kontrolą, objęła go jak ogień.

Od tygodnia unikał okna.

Nie podejdzie do niego. Nie podejdzie.

Powtarzał to sobie, idąc w stronę okna.

Kiedy dotarł do niego, wyrżał na zewnątrz. Snop światła sączył się z jej okien. Jego serce podskoczyło. Stała tam, na balkonie, i...

Co, na miłość boską, robiła?

Wychyliła się przez balustradę, jedną nogę wystawiła do tyłu i zaczęła machać rękami jak wiatrak. Serce mu podskoczyło do gardła, dopóki nie złapała równowagi. Choć nadal stała w niebezpiecznej pozycji.

Wyskoczył z pokoju i otworzył jej drzwi, na szczęście niezamknięte na klucz. Kilka kroków i był na balkonie.

Zdołał zachować spokojny głos.

– Co, u diabła, pani wyrabia? Ci, którzy nazywali panią aniołem, mówili to w przenośni. Nie ma pani skrzydeł, panno Danforth. Spadnie pani z hukiem na ziemię. A już na pewno, jeśli nie przestanie się pani wyginać pod takim kątem.

Znieruchomiała. Minęła chwila, zanim przemówiła.

– Och, dobry wieczór. Ianie, jaki pan zabawny.

– Proszę się odsunąć, panno Danforth. Nie warto przeze mnie rzucać się z balkonu, proszę mi wierzyć.

– Ha! Proszę wierzyć lub nie, ale nie spędzam każdej minuty, myśląc o panu.

– Jedynie większość?

Powoli, z wdziękiem wyprostowała się i odeszła od balustrady. Obróciła się i spojrzała na niego. Nie czyniła mu wyrzutów, ale nie powiedziała słowa.

I nagle on także przestał uważać, żeby to było śmieszne.

– Wróćmy do mojego pierwszego pytania. Co, u diabła, pani wyrabia? – Zniżył głos.

Zawahała się. Jej wargi drżały.

Po chwili westchnęła pokonana.

– Po prostu... no cóż, nie mogę znaleźć gwiazd, których potrzebuję. – Chyba była speszona.

– Gwiazd, których pani potrzebuje? Jest pani astrologiem? Czy dlatego może pani czytać w mojej duszy?

A może zamierza pani użyć ich, żeby nawigować statkiem w drodze powrotnej do Ameryki?

– Nie, i wiem, że gdybym popłynęła do Ameryki, usechłby pan z tęsknoty. Szukam Siedmiu Sióstr, czy jak je w tym kraju nazywacie.

Zaczął się uśmiechać. Przekłęta dziewczyna! Nagle stało się dla niego jasne, niepokojąco jasne, że w jej obecności wszystko stawało się lepsze; kolory intensywniejsze, powietrze bardziej rześkie. A jej nieobecność przez ostatni tydzień tłumiała jego doznania. Miał wrażenie, jakby ponownie zaczął oddychać świeżym powietrzem po wcześniejszym uwięzieniu w skrzyni.

Bardzo, bardzo niepokojące doznanie.

– Ach, to Plejady. Można je zobaczyć z tej strony domu. Wystarczy tylko wyciągnąć szyję. Nie trzeba ryzykować życia i przechylać się przez balkon. Widzi pani tę bardzo jasną gwiazdę?

– Gdzie? – Odchyliła się do tyłu, na tyle, że jej plecy musnęły jego tors.

Podejrzewał, że zrobiła to rozmyślnie.

Powinien się odsunąć.

Naprawdę powinien się odsunąć.

Nie zrobił tego.

– Och! Widzę ją! Widzę je! A przynajmniej część. – Była tak zadowolona, że się zaśmiał. – Wszystko w tym kraju jest odwrótnie.

– Odwrótnie...? Ach, gwiazdy? Różne półkule, to wszystko. Szczęście, że może pani widzieć rzeczy z różnych perspektyw.

Uśmiechnęła się na jego słowa i zaskoczyła go, znów stając tuż obok, jakby była to najbardziej naturalna rzecz na świecie. Wpatrywała się w niebo. Rzecz w tym, że

to naprawdę było naturalne. Lekka słodycz lawendy i delikatne ciepło jej ciała przyprawiły go o zawrót głowy. Nagle pomyślał, że wie, jak byłoby być planetą i bez końca obracać się z wdziękiem w Układzie Słonecznym. Przez chwilę nie mógł zrozumieć, dlaczego wcześniej nie trzymał jej w ten sposób.

– Dlaczego Siedem Sióstr? – powiedział ochryplym głosem.

Jej głos był delikatny, kiedy odpowiedziała.

– Kiedy byłam dzieckiem, matka opowiadała mi historię o tym, jak się znalazły na niebie. Uwielbiałam ją. Za każdym razem trochę zmieniała wersję. – Lekko się zaśmiała. – Dlatego je tak bardzo lubiłam. Kiedyś mówiła mi, żebym szukała na niebie, kiedy nie będzie jej przy mnie. Mówiła, że będzie wtedy na herbatce u Siedmiu Sióstr. Chyba nigdy nie myślałam, że... – zawahała się – no cóż, wiesz, co oznacza, że jej nie ma teraz przy mnie, Ianie?

Zaskoczyła go pustka w jej głosie. Znał ten ton. Oznaczał nieobecność kogoś, kogo się kocha.

Co dziwne, doskonale wiedział, o czym mówiła. Cała ta gadka o wiecznym życiu w niebie nie zmieniła faktu, że człowieka nie ma przy tobie.

– Wiem – powiedział delikatnie. – Mam wrażenie, że... śmierć jest jedynie teorią, dopóki nie przyjdzie po kogoś, kogo znasz. A co dopiero po kogoś, kogo kochasz. Byłem żołnierzem. Śmierć była wtedy na porządku dziennym. Człowiek nigdy się do tego nie przyzwyczaja.

Nigdy wcześniej nikomu tego nie mówił.

– Mój brat był żołnierzem – wyznała Tansy. – Zginął na wojnie brytyjsko-amerykańskiej. Bagnet go dosięgnął.

A więc brat też odszedł. Wszystko, co znała, odeszło. Ian zamilkł, uświadamiając sobie ogrom jej cierpienia. Żadne słowa tego nie opiszą. Najprostsze będą musiały wystarczyć.

– Przykro mi.

Wiedziała, że mówił szczerze. Czuła to w jego głosie.

Na chwilę zamilkli. Oparła się lekko o niego. Pozwolił jej na to. W milczeniu myśleli o odchodzeniu i o sobie nawzajem.

– Moja siostra Olivia... – zaczął. – Ona o tym nie mówi, ale szczerze wierzę, wszyscy w to wierzymy, że kochała Lyonsa Redmonda. Był dziedzicem rodziny Redmond i bratem pana Milesa Redmonda. Zniknął kilka lat temu. Nie wiem, co jest gorsze: wiedzieć, że ktoś odszedł na zawsze, czy nieustannie zastanawiać się, co się z nim stało.

Poczuł, że znieruchomiała, kiedy słuchała w zamysleniu.

Po chwili westchnęła.

I odrobinę odsunęła się od niego, jakby lekko zawstydzona dotknięciem go; jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że szuka w nim pocieszenia i nie była pewna, czy on sobie tego życzy.

Żal, który poczuł, był zbyt przejmujący.

I wtedy uświadomił sobie, że on też czerpał z niej pocieszenie.

– Na zawsze – powiedziała niechętnie. – Nienawidzę wyrażenia „na zawsze”. Trudno to sobie wyobrazić, prawda? A potem już wiesz. Kiedy ktoś odchodzi na zawsze, rozumiesz, co to oznacza.

– Też zbyt go nie lubię. Zwłaszcza w odniesieniu do małżeństw, pozostawiania w jednym miejscu i tak dalej.



Roześmiała się, słysząc to, odwróciła się i...

Równie dobrze mogłaby wycelować w niego broń.

Jej koszula nocna była skromna, właściwie podkreślała jej boską sylwetkę tak słodko, że niemal kusząco. Spiał mięśnie brzucha, aby to wytrzymać. Włosy miała niedbale splecione w długi warkocz, który niczym złocista lina zwisał na jej ramieniu i spływał po pierśsiach.

Absurdalnie duża, dziewczęca kokarda zdobiła jej dekolt.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Dlaczego się tak szczerzysz? – powiedziała zirytowana.

– Wyglądasz jak prezent z kokardką.

– Jak prezenty, które dajesz swoim kochankom?

– Jak co?!

– Mów ciszej! – Była wyraźnie zadowolona, powstrzymując śmiech. Uzyskała dokładnie taki efekt, jaki chciała.

– Nie mam kochanek, na miłość boską. Nie mam ich na pęczki. I na pewno nie kupuję im prezentów.

– Te wszystkie doświadczone kobiety z tymi spojrzeniami. Jak je nazywasz?

– Nie ma tych kobiet... To nie tak... Mówisz, jakbym miał harem.

Ta dziewczyna była nie do wytrzymania. Miał wrażenie, jakby kopał się z koniem. I co, na Boga, o nim słyszała?

Najwyraźniej wystarczająco dużo. Albo doskonale zgadywała.

– Biedne kobiety, które nigdy nie dostają prezentów – użalała się.

– Tansy... – ostrzegł.  
– Być częścią haremu... – powiedziała tęsknie. –  
Mogłoby być ciekawie. Nigdy nie wiedzieć, czy sułtan  
cię odwiedzi. To oczekiwanie... byłoby...

Wstrzymał oddech, oczekując, jak Tansy skończy  
zdanie.

– ...słodkie – dokończyła wreszcie w zamyśleniu.  
O Boże. O Boże. O Boże. Doprowadzi go do rozpacz.

Przez chwilę nie był w stanie nic powiedzieć. Stali  
nad przepaścią bardziej niebezpieczną niż jej wcze-  
śniejsze wygibasy.

– A co, jeśli... – powiedział chrapliwie. Odchrzą-  
nął. – Co, jeśli sułtan nigdy nie dojdzie do twoich  
drzwi?

– Z tyłoma żonami? Jestem pewna, że dojdzie.

Wpatrywał się w nią. Naprawdę to powiedziała?  
Czy w ogóle wiedziała, co to znaczyło?

Zaśmiał się krótko, zaskoczony.

– Ciii! – ponownie go uciszyła.

– Nie spodobałoby ci się w haremie, Tansy. Te kobie-  
ty rywalizujące o odrobinę uwagi. Tylko pomyśl o tym.

– Ale nie byłabym sama.

Jej słowa na chwilę odebrały mu mowę. Przypo-  
mniał sobie, co mówiła o niej pani deWitt.

Jak to się stało, że wcześniej nie pomyślał, że może  
czuć się samotna? Była tak pełna życia, że przyciągała  
do siebie ludzi jak kwiat przyciąga pszczoły.

Ale podejrzewał, że to nie było to samo, co należeć  
do kogoś. Lub do jakiegoś miejsca.

Była całkiem sama. Wyrzucał sobie, że dopie-  
ro teraz to zauważył. Pod wieloma względami był  
dupkiem.

Choć z drugiej strony ona nie była bez winy. Oczarowanie wszystkich mężczyzn w mieście nie było najlepszym sposobem na zjednanie sobie kobiet.

– I błyskawicznie zostałąbym ulubioną żoną – dodała pośpiesznie, przerywając jego rozmyślania.

– Chyba że maharadża wcześniej by cię zabił. Słyszałem, że korzystają z bułatów, kiedy żony ich irytują. – Przesunął palcem po swoim gardle.

Roześmiała się. Ochrypli, rozbawiony chichot pościelił rozbudzone zmysły, jakby paznokcie delikatnie musnęły jego plecy.

I wtedy sobie uświadomił, że za długo czekał. Nie wiedział jak, ale przegapił chwilę, kiedy mógł, i naprawdę powinien był, się wycofać. Koszula nocna, wieczór, dziewczyna, lawenda, śmiech – był teraz zdany na łaskę swoich zmysłów. Wszystko rozpalało jego wyobraźnię. A cokolwiek się wydarzy, jest z góry przesądzone.

Bo coś się wydarzy. O tak.

– Wiesz co, Tansy? – powiedział łagodnie.

– Mm? – Przyglądała się jego twarzy w ciemności, jakby na niej też szukała jakiejś konstelacji.

– Zawsze piekielnie trudno było mi się powstrzymać przed otworzeniem prezentów.

Z zaskoczenia wstrzymała oddech.

Nie tylko ona mogła być diabolicą.

Oczekiwanie wzmacnia pożądanie. Nikt nie wiedział tego lepiej od niego.

Czekał. Ziemia się kręciła, gwiazdy migotały, a cienie tańczyły, gdy czekał na jej odpowiedź, która w tej chwili wydawała się mu najważniejszą rzeczą w jego życiu.

– Czyżby? – starała się zabrzmieć swobodnie, ale z trudem oddychała.

– O tak – powiedział cicho, uroczyście niczym sędzia.

Oczekiwanie może być słodkie. Może być także torturą. Często bywa jednym i drugim.

Po prostu czekał i pozwolił jej oczekiwać.

W ciemności nie mógł czytać w jej oczach, co mu się podobało, ponieważ ryzyko było częścią dreszczu emocji. Ryzyko porażki. Czy zastanawiała się nad ucieczką?

Może sam powinien skorzystać z możliwości ucieczki.

Ciszę przerywał jedynie jej coraz szybszy oddech.

Napięcie między nimi było tak namacalne, że mógł zagrać na nim jak na harfie. Niczym we śnie patrzył, jak jego ręka – o zgrozo! – sięga po kokardę.

Wstrzymała oddech; był to najbardziej zmysłowy dźwięk, jaki słyszał.

I po chwili, znęcając się nad nimi obojgiem, pociągnął za jeden koniec i patrzył, jak kokarda bardzo wolno się rozwiązuje.

– Rozwiązała się – szepnął.

Owinął wstążkę dookoła dłoni i delikatnie przyciągnął Tansy do swojej piersi.

Zaskoczenie bliskością na chwilę ich uciszyło.

– Nie jestem mułem, którego ciągnie się za lejce – szepnęła tuż przy jego twarzy z nieprzekonującym oburzeniem.

– Zgadza się. Muł odskoczyłby, zanim zdołałbym go chwycić. Chyba że chciałby zostać schwytany.

Zaśmiała się nerwowo. Oddychała nierówno... z ekscytacji lub strachu, lub i z tego, i z tego.

Czekał.

Oczekiwanie... najlepszy przyjaciel uwodziciela.

A przynajmniej tak sobie powtarzał.

Puścił wstążkę i nieśpiesznie, delikatnie rozsunął jej koszulę.

Powstrzymał jęk zachwytu. Była pod nią naga, wiedział, że tak będzie.

Objął ją w pasie, wolno przesuwając opuszkami palców po żebrach. Drżała. Czuł jej gorący i urywany oddech na swojej szyi. Jej skóra była jedwabistym cudem. Przesunął dłonie po jej brzuchu i usłyszał ciche, bezsilne „och”, gdy cudowne doznania krążyły w niej. Rozkoszował się dekadencją przyjemnością, płynącą z faktu, że prawdopodobnie był pierwszym mężczyzną, który jej dotyka w ten sposób.

Powinien przestać. Powinien przestać. To szaleństwo.

Czuł, jak krew w żyłach mu się rozgrzewa i gęstnieje, jakby Tansy była narkotykiem lub mocnym trunkiem. Wypełnił dłonie jej miękkimi i pełnymi piersiami. Ciicho jęknął. Słyszał własny oddech, lekko ochrypty. I wstrzymane powietrze, kiedy pieścił jej piersi.

Odchyliła głowę pod wpływem przyjemności.

Nieśpiesznie przesuwał kciukami po jej sutkach, który były już twarde.

Pod wpływem jego dotyku wygięła ciało w łuk, jakby uderzył w nią piorun.

Zrobił to jeszcze raz. Mocniej. Pragnął wziąć jeden sutek do ust.

Boże, jak szybko sprawy nabrały tempa.

– Ian – szepnęła, niemal błagalnie. Na wpół przeżona, na wpół upojona pragnieniem. – To...

– Wiem – powiedział. – Wiem dużo, Tansy. Tak wiele o tobie, o tym, co czujesz i czego pragniesz...

Schylił się i delikatnie, ledwo, ledwo, musnął językiem jej sutek.

Uświadomił sobie, że gra w ruletkę z własnym pożądaniem. Czas wycofać się, zanim sprawy zajdą za daleko. Jeszcze tylko obdaruje ją tym jednym muśnięciem rozkoszy i może wyjść. W końcu to on zawsze wychodził, zostawiając kobiety; niczym aktor, który działa zgodnie ze scenariuszem, zawsze wiedział, kiedy to zrobić. Miał doskonały instynkt samozachowawczy.

Dlaczego więc szepnął: „Mogę sprawić, że zobaczysz gwiazdy, Tansy”?

Spojrzała na niego, jakby był wszechświatem.

I wtedy musiał ją pocałować.

Jej usta były miękkie jak puch; zatopił się w nich, wdychając; ten jęk uświadomił mu, jaką ulgę odczuł, ponownie ją całując. Wszystkie chwile, które spędził, nie całując jej, były karygodną stratą czasu. Zaczął od powolnej i zachwycającej eksploracji. Oboje czerpali nieskrywaną przyjemność z dotyku, smaku i idealnego dopasowania do siebie. Dawała i brała z tak zmysłowym wdziękiem i zapamiętaniem, że chciał wrzasnąć „alleluja” i paść na kolana.

I wtedy pogłębił pocałunek, a jego język zanurkował i splótł się z jej językiem. Przesunęła ręce wyżej na jego piersi i objęła go za szyję, żeby zachować równowagę, kiedy otwierała się na niego.

Jego palce wędrowały po jej nagich udach, coraz wyżej ku delikatnemu, miejscu między nimi, aż do trójkąta kręconych włosów. Schyliła głowę i przytuliła ją do jego piersi; przy obojczyku czuł jej gorący, szybki oddech.

Pragnienie wstrząsnęło nim; miał wrażenie, że jego całe ciało zeszytywniało. Czuł osobliwe naelektryzowane pożądanie aż w gardle. Jego naprężony penis ocierał się o guziki spodni.

Przesunął palce między jej uda i poczuł śliską, gorącą wilgoć. Była gotowa na przyjęcie go.

Oddech uwiązał jej w krtani.

– Och...

Zrobił to ponownie. Lekkie jak piórko muśnięcie jednym palcem, aż zadrżała.

– Ian...

Ponownie to zrobił. Tym razem bardziej zdecydowanie.

Wygięła plecy w łuk, wstrzymując oddech. Poruszała biodrami tuż przy nim i ścisnęła jego koszulę. Jak bardzo pragnął poczuć jej dłonie na swojej skórze. Słyszał jej płytki oddech.

Jeszcze raz to zrobił, nieśpiesznie i kusząco.

Przerwał, sprawdzając ją.

– Nie – błagała szeptem. – Proszę, nie przestawaj.

– Patrz na mnie, Tansy.

Chciał widzieć jej przyjemność.

I zobaczył, jak powieki jej ciężą, jak głowa się odchyła, szyja się napręża, a oddech wypływa w urywanym rytmie z rozchylonych warg, kiedy grał na jej pożądaniu niczym dyrygent orkiestry. Dzięki temu wiedział, kiedy dotknąć mocniej, kiedy lekko musnąć, a kiedy głębiej wsunąć palec, żeby cicho, gardłowo jęknęła przy jego piersi. Na ten dźwięk omal nie doszedł na miejsce.

Nieporadnymi, drżącymi rękami rozpiął spodnie, z których wyskoczył gruby i twardy penis. Jedną ręką

udniósł jej udo i przesunął penisem po jej wilgotnym ciele, dręcząc ją i siebie. Raz... drugi. Trzeci. Niebezpieczna gra, najbardziej niebezpieczna gra, w jaką kiedykolwiek grał, zważywszy, że jednym ruchem mógłby znaleźć się w niej, odnajdując własny orgazm. Wiedział, że rozkosz byłaby potężna. Każda komórka jego ciała domagała się tego.

Mimo to oboje zdawali się dostrzegać ryzyko. Wiedział, że posuną się za daleko. Było to nieuchronne. Ale może nie teraz, może nie dziś.

– Ian... Ja... pomóż mi...

Wsunął dłoń i zaczął poruszać palcami w jej wnętrzu. Zdusiła jęk rozkoszy, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

Przycisnął jej głowę do swojej piersi w odpowiedniej chwili, żeby stłumić krzyk. Trzymał ją blisko i czuł triumf, gdy jej ciało drżało raz po raz, co prawdopodobnie było jej pierwszym orgazmem.

Ciszę przerywał jedynie jej urywany oddech. Chłodne powietrze owiewało jego rozgrzaną skórę.

Zadygotała.

Poprawił jej koszulę nocną, objął ramionami i przysnął bliżej siebie. Trochę za blisko niż jego erekcja by chciała. Z jednej strony czuł się udręczony, z drugiej przepelniony szczęściem.

Zaczekał, aż jej oddech odzyska normalny rytm.

– Spadające gwiazdy. – Jego pierś stłumiła jej słowa. Zaśmiał się krótko, obolały.

– Dotrzymuję słowa.

Bał się jak nigdy dotąd. Nie wiedział, jak wyplątać się z tej sytuacji. Ani inna kobieta, ani unikanie Tansy nie wchodziło w rachubę. Ponieważ to, co czuł, było



innym rodzajem pragnienia. Nie było to zwykłe zmysłowe pożądanie. Takie pożądanie umiał zaspokajać. Podejrzał, że właściwym słowem był „głód”. Każde uzależnienie zaczynało się niewinnie. Jeden łyk dzinu, jedna dawka opium. Ta dziwna, dzika, piękna dziewczyna może oznaczać jego koniec. Równie dobrze mógłby się teraz rzucić z balkonu.

Cóż za ironia. Księżę miałby wreszcie swoją zemstę. Ian słyszał bicie jej serca.

Rozkoszował się nim, jakby odliczało minuty, które im zostały.

Odchyliła głowę i wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę w milczeniu.

– Masz zamiar pouczać mnie teraz? O tym, jak bardzo to jest niebezpieczne i tak dalej?

Jak niezwykle krucha była teraz w jego ramionach. Przesunął ręce na jej łopatki. Nagle miał wrażenie, że mogły stamtąd wyrosnąć skrzydła.

– Nie – powiedział cicho. – Chyba wiesz, że to nie może się ponownie wydarzyć, Tansy.

Odchyliła głowę i spojrzała na niego. Jej oddech uwięził w gardle.

Zatem słowa zrobiły wrażenie.

Chciał, żeby zabrzmiały jak rozkaz. Trudno mu było pozbyć się nawyku wydawania rozkazów.

Znając ją, podejrzewał, że zinterpretowała je jako wyzwanie.

Boże dopomóż, jeśli tak się stanie.

Naprawdę błagał Boga o pomoc. Jeśli znów rzuci mu wyzwanie, nie będzie miał wyboru.

Spojrzał na nią i przesunął palcem po jej wargach, tak jak przesuwiał nim po jej imieniu na murze Lilymont.

Nagle odsunął od niej rękę.

– Wracaj do środka, zanim zmarzniesz.

Podejrzewał, że jego głos nabrał już chłodu. Bardzo dobrze.

Odszedł, nie patrząc za siebie, dopóki nie znalazł się ponownie w swoim pokoju. Zamknął drzwi i okna, mimo to wiedział, że nie jest bezpieczny.

\* \* \*

Nie sądziła, że zaśnie, ale w końcu zmógł ją głęboki sen.

Była zawiedziona, że nic jej się nie śniło. Jej zmysły zostały po raz pierwszy w pełni i należycie wykorzystane, i dopóki nie zasnęła, dygotały w niej niczym napięte struny. Leżała na łóżku, wsłuchując się w radosny śpiew swojego ciała. Nie miałyby nic przeciwko, gdyby we śnie raz po raz przeżywała miniony wieczór.

Ponieważ, jak to powiedział, to nie może się powtórzyć. Nie na jawie.

Więc po to ma się ciało, myślała, wracając z balkonu ze zmarzniętymi stopami. I po to ma się wargi, i opuszki palców, i piersi, i sutki, i skórę, i ramiona, i penisy. I po to byli mężczyźni, i po to były kobiety. Nagle rozkosz powróciła echem w jej ciało. Wszystkie inne umiejętności, jakie człowiek posiadał, zdawały się zbędne.

Wiem wiele, Tansy.

Powiedział tak, a potem stwierdził, że to nie może się znowu zdarzyć.

Oczywiście, miał rację.

Ale kiedy się obudziła, poczuła pewnego rodzaju ulgę. Jakby czegoś uniknęła. Światło dzienne nie-

co mniej sprzyjało szaleństwu, a ona nie miała zamiaru być jedną z wielu kobiet, które Ian Eversea uwiódł i opuścił. Kobietą zniszczoną z powodu słabości do przystojnego mężczyzny o legendarnej reputacji, a zatem bezużytecznego. Przyniosłaby wstyd księciu i jego rodzinie, nie mówiąc o swojej rodzinie.

Ta myśl była nie do zniesienia.

Mimo to... całował ją tak, jakby... jej potrzebował.

Tylko jej.

Jakby szukał czegoś i to znalazł... jakąś pociechę, spokój, odpowiedź. Czuła jego pocałunek w podeszwach stóp, w dłoniach, od czubka głowy do palców u nóg. W każdej części swojego ciała. Drżał, kiedy ją całował, a jego dłonie poruszały się zręcznie i nabożnie. Wiedziała, że się... zatracił.

Uwodziciel. Wiedziała, że z tego słynął, a to sugerowało kalkulację, proces. To, co rozpoczęło się jak gra w szachy, nabrało rozpędu i zawładnęło nimi.

Sprawiło, że chciała coraz więcej dawać. Nigdy nie myślała o sobie jak o hojnej osobie. Ale martwiło ją, że kiedy ją tak całował, chciałaby mu dać wszystko, czego chciał.

Nie wierzyła, żeby każdą kobietę całował w ten sposób. Dawno wypaliłby się z namiętności.

Z drugiej strony, nigdy się tego nie dowie. Może to było częścią jego magii.

A co, jeśli...

Nie był księciem. Nie miał tytułu. Ale jak by to było być żoną Iana Eversea? Z pewnością w samych wyobrażeniach nie było niczego niebezpiecznego... z pewnością mężczyzna taki jak on pewnego dnia się ożeni...

Obudziła się w samą porę, żeby zobaczyć promień światła prowadzący od okna. Jak będzie wyglądał dzisiejszego ranka? Inaczej niż dotychczas? Jak ona wygląda?

Poszła świetlną ścieżką i wyrzała.

Ale nie było go tam.

Chwilę czekała. Jej serce lekko przyspieszyło.

Nie pojawił się.

A kiedy słońce wzeszło wyżej, wiedziała już, że Ian się nie pojawi, co, jak podejrzewała, wyjdzie im na dobre.

Ogarnęło ją zrezygnowanie i przygnębienie. Czuła się jak męczennica, choć także dojrzała. Odrzuciła warokoc na ramię i usiadła przy biurku. Rozłożyła kartkę z listą i postanowiła, że musi zacząć pisać mniejszymi literami, jeśli ma zmieścić się na jednej stronie. Sięgnęła po pióro i dodała:

*Całuje, jakby jego życie od tego zależało.*

## 19

**W**ypływamy za niecały miesiąc, kapitanie Eversea. Dołączy pan do nas? Przydałby się nam ktoś taki jak pan. Wie pan, piraci. Le Chat wciąż pływa, a przynajmniej tak mówią.

– Planowałem tę wyprawę dla przyjemności, a pan zamierza zagonić mnie do pracy?

– Mężczyźni tacy jak pan żyją dla niej – powiedział oschle kapitan.

Ian nie mógł się z tym nie zgodzić.

Wziął głęboki wdech. Tu, w Sussex, byli tak blisko, a jednocześnie tak daleko od morza; jego zapach był pierwotny i fascynujący. Falujący, przezroczysty, zielonkawy błękit rozciągał się jak okiem sięgnąć. Statek zdawał się potężny, ale na powierzchni morza będzie pyłkiem. Będą zdani na łaskę wód. Ta myśl napawała go niewytlumaczalnym spokojem.

– Może pan na mnie liczyć.

Pomyślał o Tansy Danforth, stojącej na pokładzie, wpatrującej się w morze i niebo swoimi jasnymi oczami. Zapewne spodobałaby jej się podróż – ryzyko, niebezpieczeństwo i nowość. I jak zabawnie byłoby przekomarzać się z nią, wspólnie podziwiać widoki, chronić ją od gapiących się na nią mężczyzn i obserwować, jak usiłuje poddać się chęci flirtu.

A w nocy... w wąskiej koi...

Ponownie poczuł ucisk w brzuchu. Pragnął jej z dziwością, która graniczyła z gniewem. Przed tym też musiał uciec.

Przypomniał sobie o zawodach w łucznictwie i pomyślał, że od czasu wojny był jak za mocno naciągnięta cięciwa, gotowa przestrzelić każdy cel. Ruch był tym, czego chciał i potrzebował.

Przez chwilę leniwie obserwował statek i pracę w porcie. Załoga uwijała się jak w ukropie, naprawiając żagle, szorując pokład, nosząc ładunki i zapasy, sprawdzając listę pasażerów.

Poprosił swojego kuzyna Adama o dzień lub dwa wolnego na wyjazd do Londynu. Musiał wpłacić depozyt, żeby zarezerwować miejsce na statku. Popłynię do Afryki, ale będzie mógł wysiąść w dowolnym porcie w trakcie podróży. Może przesiądzie się na kolejny sta-

tek płynący dokądkolwiek. Dosłownie dokądkolwiek. Dopóki starczy mu pieniędzy. Zaoszczędził wystarczającą dużo, żeby podróżować latami, jeśli taką będzie miał ochotę.

– Eversea!

Głos za plecami kazał mu się obrócić.

– Caldwell!

To właśnie major Caldwell zaproponował Kampanii Wschodnioindyjskiej jego kandydaturę do awansu.

– Szkoda, że nie będzie pan pracował dla kompanii tutaj, w Londynie, Eversea. Moglibyśmy nie tylko ciekawie, ale i mądrze spędzić czas.

– Schlebia mi, że będzie pan za mną tęsknił, ale od bardzo dawna o tym myślałem. Zanim stanę się zbyt niedołęzny.

– W takim razie niech pan zbije majątek, przeżyje przygody, zbałamuci kilka brązowych dziewcząt i wróci do nas pełen godnych pozazdroszczenia historii... jeśli musi już pan wypłynąć.

– Muszę – powiedział z pełnym przekonaniem.

Wrócił późno, gdy cały dom spał. Ściągnął ubranie i rzucił się na łóżko; pachniał koniem i morzem. Sen natychmiast go zmorzył.

Po chwili, we śnie, poczuł drobne ciało Jeremiaha Cutlera pod swoimi ramionami, wijące się i drżące od łąk. Nie mógł go usłyszeć pośród rżenia przerażonych koni, nieprzerwanego ryku artylerii i gardłowych jęków rannych mężczyzn. Oddał Jeremiaha w bezpieczne ramiona ojca. Odwrócił się i rzucił naprzód, znikając w chaosie. Miał tylko sekundy, żeby dostać się do...

Przebudził się z niewyraźnym, chrapliwym okrzykiem.

Usiadł prosto, oddychając ciężko, jakby faktycznie przed chwilą biegł. Schował twarz w dłoniach i oddychał z trudem.

Sen był tak sugestywny, jakby przeżywał wszystko na nowo.

Wreszcie podniósł głowę.

Tansy siedziała w nogach jego łóżka. Z kolanami podciągniętymi pod brodę wpatrywała się w niego.

Omal nie krzyknął.

– Co u diabła... skąd...

– Chyba miałeś koszmar – powiedziała poważnie.

– Wciąż śnię? – spytał gwałtownie. – Tej części zwyczajnie nie ma. Ale jeśli tak, powinienem cię ostrzec; ten sen nigdy nie kończy się dobrze dla kobiet.

Opadł na poduszkę.

Jasna cholera. Zasłonił oczy ramieniem i westchnął z desperacji.

Zsunęła się z łóżka i przeszła przez pokój do jego komody. Podejrzliwie powąchała dzbanek. Nalała wody do szklanki i podała mu.

Instynktownie wziął ją i wypił do dna.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Otarł usta dłonią i odstawił szklankę na stolik nocny.

– Skąd wiedziałeś, że jestem w domu?

– Zobaczyłam światło.

Uderzyła go okropna myśl.

– Czekał... jak tu weszłaś, Tansy?

– Okno było otwarte. Tylko trochę.

– To wiatr... O Boże. Nie mów, że przeszłaś ze swojego balkonu na mój!

– Było łatwiej, niż sądziłam.

Otworzył usta, ale nie mógł wydobyć głosu. Spróbował jeszcze raz.

– Nie możesz tak robić. Matko Boska, czy ty chcesz umrzeć? Masz wyjść za bogacza z tytułem, pamiętasz? I żyć długo i szczęśliwie. – W jego słowach wciąż pobrzmiwało zdenerwowanie. – Widok twojego połamanego ciała na ziemi pod moim balkonem zrujnowałby mi poranek.

– Ciii – powiedziała uspokajająco.

Zamknął oczy. Oddychał głośno.

Czuł, że materac obok niego się poruszył. Otworzył jedno oko.

Rozciągnęła się na całej długości łóżka, niebezpiecznie blisko niego. Nie dotykając go, lecz na tyle blisko, że mógł poczuć jej słodycz. Położyła głowę na drugiej poduszce.

Potem delikatnie podniosła jego rękę z piersi. Powoli, łagodnie i ostrożnie, jakby kradła ptasie jajo z gniazda.

– Co robisz, Tansy?

– Pocięszam cię.

Cicho prychnął.

Położyła ich splecione dłonie na swojej części łóżka.

A ponieważ nie mógł znaleźć powodu, dla którego miałby przerwać uścisk, pozwolił jej się dotykać.

I co dziwne, poczuł ukojenie. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz ktoś go trzymał za rękę.

Leżeli przy sobie, na plecach, w milczeniu.

– Też nie mogłam spać – powiedziała po dłuższej, zdawało się, chwili.

Zaśmiał się gorzko.



– Koszmary?  
– Czasami. I bardzo niepokojące dobre sny o męż-  
czyźnie z pokoju obok.

Na jego twarzy pojawił się półuśmiech.

– Tansy – mruknął w sennym ostrzeżeniu.

Niemal słyszał jej uśmiech.

Ponownie zaległa cisza.

– Ian?

– Mm?

– O czym śniłeś?

Zesztywniał.

Nigdy nikomu o tym nie mówił. Opowiadał histo-  
rie, które nie nachodziły go w snach. Historie wojenne,  
jakie mężczyźni opowiadają sobie nawzajem. Nigdy nie  
przyznał się, że nocami prześladowają go wspomnienia.

Podczas gdy on czekał w milczeniu, ogień stawał się  
gadatliwy. Trzaskał i skwierczał, aż polano się zsunęło.

– Słyszałaś, jak mówię coś przez sen?

Zawsze się nad tym zastanawiał. Obawiał się od-  
powiedzi.

– Brzmiało jak „Justine”.

Ach, jasna cholera.

Westchnął z rezygnacją i wolną dłonią otarł twarz.

– Wolałbym, żebyś tego nie słyszała.

– Słyszałam gorsze rzeczy. Raz puściłeś gazy na  
balkonie. Ale cicho.

– Co?! – Nie, nie zaczerwieni się.

Zaczęła się śmiać.

– Wyjdź. Wyjdź teraz. Albo znów to zrobię. – Te-  
raz i on się śmiał, aż przygryzł wargę, żeby przestać. –  
Ciszej, na miłość boską.

Ale nie puścił jej dłoni, żeby mogła wyjść.

– Szpiegowałaś mnie, Tansy?

Był świadomy, że jego oburzenie byłoby hipokryzją, biorąc pod uwagę, że w gruncie rzeczy też ją szpiegował.

– Do niedawna nie byłam pewna, czy to ty. Po prostu myślałam, że to mężczyzna o pięknym torsie.

Jej słowa zaskoczyły go. Piękny tors?

Musiał przyznać, że nigdy żadna kobieta go tak nie rozbroiła. Była niepowtarzalna.

Nie otwieraj się tak bardzo, bo cię zranią, Tansy, chciał jej powiedzieć. Nie powinnaś mówić mi takich rzeczy. Znał siłę słów i pochlebstw, ponieważ sam ich z rozmysłem używał. Podobnie jak ona. Ale ona brzmiała szczerze.

Dlaczego szczerść tak bardzo wytrącała go z równowagi?

Mógł jej powiedzieć, że też jest piękna. Że jej usta są jak rajski owoc. Że jej włosy to symfonia kolorów. Że jej skóra... ach, jej skóra...

Ale nie zrobi tego, ponieważ takie słowa przywiązywały ludzi do siebie. Każdy chciał wiedzieć, ile znaczy. Nigdy nie używał takich słów bez namysłu.

No i rozsądne byłoby puścić jej rękę.

Ale jeszcze nie teraz.

– Kim jest Justine? – chciała wiedzieć.

– Częścią wojny, która, obawiam się, nie da o sobie zapomnieć. To wszystko.

– Kochałeś ją?

Westchnął rozdrażniony.

– Boże. Kobiety i to słowo. Rzucają nim lekko-myślnie, a wątpię, żeby połowa z nich wiedziała, co ono oznacza.

– Innymi słowy... nie?

Westchnął, udając złość, co wywołało u niej kolejny uśmiech.

– Niech ci będzie, skoro nie chcesz mi dać spokoju. Justine była... była kimś, za kogo czułem się odpowiedzialny, i zginęła na wojnie. Było za późno, żeby jej pomóc. I, jak sądzę, każdego dnia tego żałuję.

Zerknął na nią, ale nie patrzyła na niego, tylko wpatrywała się jasnymi oczami w sufit.

Uśmiechnął się. Chyba zawsze patrzy w górę.

Jego uśmiech zbladł, gdy przypomniał sobie, jak patrzyła w górę, szukając matki.

– Przykro mi – szepnęła wreszcie. Jakby wyobraziła sobie całe wydarzenie i razem z nim szczerze cierpiała.

Ona też wiedziała, co oznacza opłakiwać kogoś.

Co dziwne, zaczął odczuwać ukojenie, jakby ktoś wreszcie zagrał nutę, która współbrzmiała z tą, jaka codziennie z niego wyływała.

Ponieważ mówił o tym po raz pierwszy, skierował słowa w stronę sufitu.

– Była żoną mojego dowódcy – mówił niepewnym głosem. – Piękna, pełna życia, miła kobieta. Byłem blisko z obojgiem. Staraliśmy się trzymać kobiety z dala od pola walki, ale ona podróżowała z naszym pułkiem i chciała być na polu walki przy swoim mężu. Jak mnie mam, była równie dzielna, jak lekkomyślna. Ale to nieistotne. Udało mi się uratować dziecko, ale nie zdołałem wrócić po nią. Dostałem bagnetem w brzuch, co mnie spowolniło. Znalazła się pod ostrzałem. Widziałem ją. Nigdy nie dowiedziałem się, czy dowódca wolałby, żeby przeżyła jego żona, czy dziecko, ponieważ resztę

wojny spędziłem na farmie w Belgii, gdzie wracałem do zdrowia.

Wzmacniała uścisk dłoni, gdy mówił, jakby towarzyszyła mu w całym wydarzeniu.

– Oczywiście dostałem medale – powiedział oschle. – Jestem niezwykle odważny, tak mówią. Nie byłem tylko wystarczająco szybki, żeby wrócić po nią, nie nadziejąc się na ostrze. Tak, uratowałem jej dziecko, ale widziałem, jak umierała. I czasami widzę jej śmierć w snach.

Tansy przez dłuższą chwilę milczała, rozważając jego słowa.

– No cóż, zawsze masz medale – powiedziała w zamyśleniu.

Odchylił głowę i się roześmiał. Musiał przygryźć wargę, żeby się uciszyć.

Ona też się roześmiała.

Idealny komentarz. No cóż, zrobiłeś, co mogłeś, lub: to nie twoja wina – nieważne, jak prawdziwe były to słowa, nieważne, jak bardzo chcesz usprawiedliwić to, co się stało. Sny zawsze cię znajdą. Ona to wiedziała.

– Wiesz, co ta sytuacja mi przypomina, Ianie? Moi rodzice woleliby, żebym to ja umarła, a nie mój brat.

Jej wyznanie było tak porażające, że na chwilę poczuł pustkę w głowie. Jakby przyznała się do morderstwa.

– Z pewnością się mylisz... – prawie się jąkał.

– Słyszałam, jak to mówili – powiedziała rzeczowym tonem, ale słyszał nerwowość w jej głosie. – A raczej podsłuchałam. Moja mama powiedziała tuż po śmierci mojego brata: „Szkoda, że nie ona”.

Miał wrażenie, jakby ktoś wymierzył mu cios prosto w serce.

Był zszokowany bólem, jakie niosły ze sobą te słowa. Po chwili poczuł wściekłą bezsilność. Jakby po raz kolejny spóźnił się o sekundę, żeby uratować kogoś przed rozerwaniem na strzępy przez wystrzały armatnie.

– Ludzie mówią okropne, nieprzemyślane rzeczy, kiedy cierpią, Tansy. Rzeczy, które nie są prawdą.

– Ale czasami po prostu to wiesz, prawda? Masz tyle rodzeństwa. Musisz to wiedzieć. Kochali mnie, ale mojego brata kochali bardziej. Był ich dumą i nadzieją, ich dziedzicem i tak dalej. A ja byłam tylko dziewczyną. Też ich kochałam. Podejrzewam, że zawsze chciałam być dla nich ważniejsza.

Miłość. Nie powiedział: znów to słowo.

Jak sądził, mówiło to dużo o panie Titanii Danforth i jej dążeniu do zdobycia zainteresowania.

Ian zawsze podejrzewał, że to Colin był ulubieńcem matki. A Genevieve i Olivia były oczkami w głowie ojca. Raczej się tym nie przejmował. W domu zawsze było tak dużo miłości – i czułego lekceważenia – że nie miało to dla niego większego znaczenia. Z radością zająłby miejsce Colina na szubienicy z samolubnych pobudek. Żeby oszczędzić sobie widoku umierającego brata i widoku matki patrzącej na śmierć syna.

Każdy dzień, który Colin spędził w Newgate, był koszmarem, choć Ian zrobił wszystko, żeby Colin się o tym nie dowiedział. Zachował imponującą nonszalancję. Przyniósł mu nawet ryciny, które przedstawiały go jako diabła, i zadbał o ich oprawienie.

Ale Colin zdołał uciec spod szubienicy. Cały Colin.

– Twoi rodzice kochali cię, Tansy. – Z pewnością było to prawdą. Miał wrażenie, jakby siłą swoich słów mógł sprawić, że stanie się to prawdą. – Może po prostu martwili się bardziej o ciebie niż o twojego brata.

– Oczywiście, że mnie kochali. – Powiedziała to z roztargnieniem. – Wiem o tym, nie martw się. Kochali mnie wystarczająco mocno, aby grozić mi w testamencie, ni mniej, ni więcej, utratą wszystkiego, co znałam i kochałam, chyba że poślubię mężczyznę z odpowiednim tytułem, który zajmie się mną przez resztę życia. I nie ufali mi w pełni, że postąpię jak należy. Sądzieli, że mogę zrobić coś nierozważnego.

– Sądzę, że w takim razie dobrze cię znali.

Uśmiech pojawił się w kąciку jej ust i przesunął się na drugi. Był psotny. Roześmiała się zadowolona z siebie. Ten śmiech był cudowny. Miał w sobie melodyjną figlarność.

Po chwili westchnęła z zadowoleniem.

– Miło, jak ktoś cię zna – powiedziała tęsknie.

– Zginęli w wypadku powozu?

Skinęła głową.

– Jacy byli?

Jeśli ktoś zadałby mu takie pytanie, nie wiedziałby, od czego zacząć. Był pewien, że to, co odpowie, powie o niej samej równie dużo, co o jej rodzicach.

Przez chwilę milczała, najwidoczniej się zastanawiając.

– Mama zawsze się śmiała. Uwielbiała śpiewać. Kochała dzikie kwiaty. Orliki... nie wiem, czy tutaj rosną. Wyglądają jak małe, papierowe lampiony. I astry, te fioletowe. Przypominają fioletowe gwiazdy. Cykorie, jaskry, trybule leśne. Niebieskie kwiaty przypominały

jej oczy mojego ojca. Kiedy będę miała dom, swój własny dom, zasadzę je w ogrodzie, żeby znów poczuć się jak u siebie. Obiecałam mamie, że przywiozę je do domu, do Anglii, jeśli kiedykolwiek tu przyjadę. Rozmawiała z nimi, żeby rosły. – Uśmiechnęła się. – Traktowała je trochę jak dzieci.

Naszło go nagłe podejrzenie.

– Czy twój ojciec palił? – spytał pozornie bez zainteresowania. – Cygara, papierosy?

– Ależ tak! No i mój ojciec... miał najcudowniejszy śmiech, jaki kiedykolwiek słyszałam. Matka umiała go rozśmieszyć, ale mnie to najlepiej wychodziło. Jego płaszcz pachniał tytoniem... skręcał własne papierosy, które miały bardzo ostry zapach, ale miał do nich upodobanie. Moja matka ich nie znosiła. – Tansy uśmiechnęła się lekko. – Nocami wymykał się na łyk księżycówki. Tego też nienawidziła. Albo udawała. Sądzę, że lubił, kiedy go rugała. Czasami dzięki temu czujesz, że ktoś o ciebie dba, prawda?

– Podejrzewam, że tak – powiedział cicho, bo poczuł, jak w jego głowie zapadki zamka znalazły się we właściwym miejscu.

Musiało jej być ciężko.

Była sama. I, biorąc pod uwagę okoliczności, odporna jak diabli.

Instynktownie ścisnął jej dłoń odrobinę mocniej, podświadomie przesyłając swoją siłę.

Odwzajemniła uścisk.

– Rozmawiałam z prawnikiem, żeby zajął się kilkoma pozostałymi sprawami. Pomógł mi zamknąć dom i odesłać nieliczną służbę. Kilka osób, które zajmują się domem i stajniami. Powierzyłabym im życie. Ale

po takich wydarzeniach... wiesz, jak to jest, Ianie? Jak chodzenie do teatru. A sztuką, jaką przyszliśmy obejrzeć, jest moje życie. Wspaniała sztuka, ale niespodziewanie się kończy, a ty nie możesz wyjść. Jesteś uwięziony w teatrze i nie pozostaje ci nic innego, niż wpatrywać się w pustą scenę. I zanim się obejrzyysz, siedzisz tam. Jesteś na zawsze uwięziony. Co za okropne słowa, na zawsze.

– Powinny zniknąć ze słowników – ponownie przyznał jej rację.

Uśmiechnęła się.

– I przez jakiś czas tak się czułam... – Spojrzała na niego poważnie, obdarowując go widokiem swoich srebrzystych w świetle lampy oczu, ciepłych i zamglonych. – ...Trudno to opisać... Przeszłam przez szkołę, w której nauczyłam się wszystkiego, co było do nauczenia, i nic mnie już nie zdoła zaskoczyć. Ani przestraszyć.

Ze zdziwieniem odkrył, że właściwie opisywała to, jak się czuł, odkąd wrócił do domu z wojny.

Pamiętał swój powrót... miał wrażenie, jakby zużył wszystkie emocje, jakie posiadał. Na wojnie wszystko było tak intensywne, że zwykłe życie wydawało się spokojne, wyciszone i boleśnie powolne. Zrobiłby niemal wszystko, żeby cokolwiek poczuć. I o wszystkim zapomnieć.

Na szczęście, pomyślał Ian, Bóg stworzył francuskie aktorki i młode kobiety o wątpliwej moralności. Co rozwiązywało kwestię zapomnienia. Wspinanie się po drzewach, przechodzenie przez okna i wychodzenie z nich pod czujnym okiem uzbrojonego księcia rozwiązywało kwestię przygód.



– To trochę tak, jak wraca się do domu z wojny – powiedział wolno. Nigdy nie mówił czegoś takiego na głos. – Twoje zmysły są tak przyzwyczajone do ciągłej pracy na wysokich obrotach, że... prawdziwe życie wydaje się przez jakiś czas niedostateczne, nierzeczywiste i bardzo nudne. Niemal cię dusi.

Wpatrywała się w niego w sposób, który dziwnie poruszył jego sercem. Z delikatnością, zrozumieniem i lekko psotnie.

– Dlaczego masz zastępy kochanek?

Przekomarzała się.

Roześmiał się sennie.

– Żadne zastępy. Jedna potrafi przysporzyć dość kłopotów. – Tansy prychnęła cicho i nagle przepęłnił go niemal bolesny podziw. Że też tak dobrze go rozumiała! Że nie śmiała się ani nie oceniała. Że jej serce go akceptowało. Że stawiała czoło całkowitemu rozpadowi swojego życia z dużym wdziękiem i patrzyła w przyszłość z nadzieją, a nie z goryczą czy żalem.

Przez chwilę nie mógł oddychać, ponieważ nagle chciał być jej wart i po prostu nie wiedział, jak to możliwe, że był takim dupkiem.

– Będzie nowa sztuka, Tansy. – Jak absurdalnie niewłaściwie to zabrzmiało.

– Kiedy wezmę ślub i będę miała własny dom i rodzinę. – Jej słowa zabrzmiały niemal jak pytanie.

– Tak. Wtedy. – Powiedział, jakby składał obietnicę. Jakby to od niego zależało.

Gdyby to od niego zależało, tak by się stało.

Nagle poczuł irracjonalne, gwałtowne rozdarcie między dwiema skrajnościami. Chęcią, żeby dostała

wszystko, czego pragnęła. Żeby była szczęśliwa i kochana. I pragnieniem, żeby tak się nie stało. Żeby ta chwila trwała zawieszona w czasie. Żeby ta sztuka, o czymkolwiek była, nigdy się nie skończyła.

Przez chwilę milczeli. A potem Tansy spojrzała na jego nagi tors – piękny tors – i jednym palcem ostrożnie przesunęła po bliźnie. Delikatnie. Wędrując wzdłuż niej coraz niżej, prawie tam, gdzie znikwała pod pościelą.

Powinien ją powstrzymać.

Jego mięśnie napięły się pod rozkoszą jej dotyku i wyobrażeniem, co mógłby z nią zrobić, gdzie by ją dotknął, jak by ją wziął, od czego by zaczął. Jego penis się poruszył. Musiała wiedzieć, co mu robi. W końcu była diabolicą, lubiła ryzykować.

– Przykro mi, że to cię spotkało – powiedziała cicho. Jej palec było tak blisko skraju pościeli, że za chwilę jego podniecony penis uniesie kołdrę. Och, jak bardzo pragnął przewrócić Tansy i zdjąć z niej koszulę nocną. Widział jej sutki ocierające się o materiał i wyobraził sobie, że bierze jeden z nich w usta. Wyobraził sobie też cichy, bezsilny jęk, który by wydała, kiedy by go ssał.

Jego penis zadrgał jeszcze mocniej.

– Tansy – szepnęła. Przesunął palcami po jej włosach, rozkoszując się ich jedwabistym dotykiem i złocistym kolorem we wszystkich możliwych odcieniach, gdy delikatnie muskała jego bliznę. – Tansy...

– Tak?

– Musisz wyjść.

– Wyjść?

– Drzwiami, nie oknem.

– Jesteś pewien?

– Jestem.

– Obie drogi niosą ze sobą niebezpieczeństwo.

Nie musiała mu o tym mówić. Na spodzie szafy trzymał wysoki but z dziurą po pocisku. Jego własny pistolet ją zrobił, kiedy pamiętnej nocy książkę wyrzucił but przez okno. A Ian uwielbiał te buty.

– Zostanie tu jest znacznie bardziej niebezpieczne. Nie kłamałem wczorajszego wieczoru. Jeśli nie wyjdiesz, Tansy, będę się z tobą kochał. Dostaniesz wszystko albo nic. Drugi raz tego nie powtórzę.

Cisza, która zaległa, była aksamitna i napięta. Jej wędrujący palec znieruchomiał.

Wpatrywała się w niego, oceniając jego nastrój, i czy warto go testować, i czy właśnie tego chciała. Miała tylko podejrzenie, jak ta przyjemność może wyglądać. Gdyby tylko wiedziała, na jakiej krawędzi balansował, żeby zachować kontrolę nad sobą. Znając ją, zaryzykowałyby zepchnięcie go z tej krawędzi. Ponieważ przeżyła własną, osobistą wojnę, a ryzyko i doznania pozwalały jej o niej zapomnieć.

Dałby niemal wszystko, żeby teraz ją pocałować.

A gdyby ją pocałował, nie zatrzymałby się, dopóki nie wzięłby wszystkiego.

„Zostań”. Całym sobą powstrzymał się, żeby tego nie powiedzieć. Całym sobą powstrzymywał się, żeby nie zedrzyć z niej koszuli nocnej i nie zatracić się w rozkoszy.

– Ponieważ mężczyźni są brutalni? – powiedziała niemal beztrzesko.

Spojrzał na nią. Na miękką skórę jej podbródka, na jej jasne oczy, duże usta.

Nie, uświadomił sobie. Ponieważ chcę się z tobą kochać. Z tobą! Nie tylko po to, żeby zapomnieć lub

poddać się obezwładniającej przyjemności. Ponieważ chcę dać ci rozkosz, słyszeć twój krzyk, być w tobie, rozmawiać z tobą, kiedy będziemy wyczerpani.

Kolejne myśli były jeszcze bardziej niepokojące.

Podejrzał, że nie miałby nic przeciwko trzymaniu jej za rękę przez całą noc.

To było... interesujące spostrzeżenie.

Bardzo, bardzo niewygodne.

– Tak – zgodził się cicho. – Ponieważ mężczyźni są brutalni.

Westchnęła i wyprostowała się.

– Niech ci będzie.

Wysunęła dłoń z jego uścisku.

Odsunęła włosy z twarzy, zeszła z łóżka i delikatnie, jak łania, przeszła przez dywan, wyraźnie rozkoszując się jego dotykiem na gołych stopach, co przyprawiło go o uśmiech.

– Ale możesz zostawić koszulę nocną – cicho zawołał za nią.

Roześmiała się.

Mrugnęła do niego i posłała mu całusa.

Obserwował, jak otwiera drzwi, zerka na korytarz i znika.

Nigdy tak bardzo nie nienawidził dźwięku zamkniętych drzwi.

Jęknął i zakrył twarz poduszką. Była zimna. Może obniży temperaturę jego rozgorączkowanych myśli.

Podświadomie zgiął palce, jakby mógł uchwycić i zachować dotyk jej dłoni.

I tak zasnął.

**D**rogie panie, dzisiejszego poranka wyglądacie wyjątkowo olśniewająco.

Jego siostry i Tansy miały na sobie, jak mniemał, swoje najlepsze suknie. Kolory rozświetlały ich oczy i włosy, a krój prezentował piersi i ramiona w najkorzystniejszym świetle. Miał dwie siostry i znał mnóstwo kobiet więc wiedział o tych rzeczach znacznie więcej, niżby chciał. Nieraz zamęczano go pytaniami o modę.

– Ależ dziękuję. Wyglądasz niezwykle energicznie dzisiejszego poranka, Ianie.

– Schlebiasz mi – powiedział oschle.

– Dlaczego wciąż jesteś w Sussex? – Genevieve była słusznie podejrzliwa.

– Mam tu interesy – powiedział lekko. – I obiecałem Adamowi, że zapanuję nad zbieraniną robotników do zakończenia remontu na plebanii. Gdzie się wybierasz? Po twoim odświętnym stroju wnoszę, że nie do miasta.

– Dostaliśmy zaproszenie na herbatę. Lord Stanhope gości u rodziny lorda Henry’ego.

Stanhope.

Dziedzic księcia de Neuville.

Ten, który szuka żony.

Najwyraźniej wiadomość Iana została skutecznie przekazana i entuzjastycznie przyjęta.

Co powinno go uradować.

Mimo to poczuł pustkę w głowie, jakby dowiedział się o morderstwie.

Uświadomił sobie, że zastygł w bezruchu, z widelcem unoszącym się w powietrzu w pobliżu twarzy. Zapomniał, czy zamierzał włożyć go do ust, czy odłożyć. Postanowił go odłożyć.

– Ach, dziedzic księcia de Neuville. Zapomniałem, że są jeszcze inni książęta poza twoim.

– Ha! – sapnęła Genevieve.

Tansy jeszcze na niego nie spojrzała. Powoli, z dużym skupieniem mieszała w miseczce z marmoladą, jakby była jedną z czarownic z *Makbeta*.

– Co ma pani nadzieję tam znaleźć, panno Danforth? Nie słyszałem, żeby wróżyła pani z marmolady, tak samo jak wróży się z fusów.

Przerwała. Podniosła wzrok. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, poczuł osobliwy ucisk w sercu.

Tansy poczerwieniała.

W ogóle go to nie zirykowało.

Co poważnie go zmartwiło.

\* \* \*

Gdy wyjechały, Ian gorączkowo chodził tam i z powrotem. Potem ruszył w stronę stajni, wskoczył na konia i pojechał przez las wzdłuż małego dopływu rzeki Ouse, drogą, którą wracali tamtego dnia.

Jechał wzdłuż strumyka, przy którym klęczała, a potem zwolnił konia do stępu. Rozejrzał się za śladami kopyt i stóp i za krzakami, które mogły nosić ślady obecności człowieka. Nie wiedział, czego dokładnie szuka. Niczego niezwykłego. Od małego jego ojciec zabierał synów na polowania, więc szukanie śladów miał we krwi.

Błysk przykuł jego wzrok. Zatrzymał konia.

Coś lawendowego i lśniącego.

Zsiadł z konia, przywiązał lejce do głogu i podążył w kierunku tego błysku.

Przystanął.

W zamyśleniu podniósł czepek z lawendowymi, satynowymi wstążkami. Ostrożnie trzymał go w ręku, wstrzymując oddech.

Nie powinien w nią wątpić.

Dlaczego to miało dla niego tak duże znaczenie?

Ruszył dalej. Dwa, cztery metry. I wreszcie wszedł na małą polanę, której nie widział, odkąd był chłopcem. Nijakie miejsce, ale nieuchronnie zmieniło się przez te lata; w jeden ze starych dębów uderzył piorun i drzewo leżało teraz na boku, a pozostałe wyrosły wysoko dookoła swojego upadłego kompana.

Obrócił się wolno, rozglądając się uważnie za... Nie był pewien za czym. Trawą zgniecioną od miłosnych uniesień? Śladów męskich butów, damskich pantofli?

Ale polana pokryta była głównie ziemią; nie rósł tu mech. Nie było to dobre miejsce na schadzkę. Lecz z drugiej strony sam kiedyś kochał się przy drzewach. Tam, gdzie była chęć, zawsze znajdzie się sposób.

Może przychodziła tu z tego samego powodu co Polly. Żeby w samotności podziwiać cuda natury. Co prawda nie wyglądała na osobę, która oddawałaby się takim zajęciom, ale przecież dopiero co pozbył się kłapek z oczu.

Nagle przystanął i wyteżył wzrok.

Patrzył na coś, co wyglądało jak dwa małe kołki, wystające z ziemi.

Obok dwóch małych kopczyków.

Jakby coś zostało zakopane.

Dobry Boże...

Mimo że kiedyś żartował z tego, teraz był odrobinę zaniepokojony.

Minutę później klęczał i przyglądał się swojemu odkryciu.

Ziemia była ciemna i wzruszona, ale w uporządkowany sposób, zupełnie inaczej niż gdyby to zwierzę coś zakopało lub zryło ją kopytami.

Jakby ktoś coś tu zasadził.

Na pierwszym kołku wisiał kawałek kartki.

Widniał na nim starannie wykaligrafowany napis:

„Orliki”.

A na drugim:

„Astry”.

Przysiadł na piętach.

Zapewne zasadziła je w hołdzie dla matki.

– Cholera – westchnął.

Zamknął oczy, gdy fala czegoś intensywnego przełała się przez niego. Miał wrażenie, jakby tama pękła. Jakby słońce go paliło. Bolesne, lecz zarazem wspianiałe uczucie.

Wtedy zrozumiał, że to obezwładniające doznanie, jakie wczoraj poczuł, było otwarciem się bram jego serca.

Pierwsze, co ją zaskoczyło w dziedzicu księcia de Neuville, to fakt, że nie był bardzo urodziwy.

Oczywiście był wystarczająco przystojny. Pociągający w stylu „przyjemne oblicze, wszystkie kończyny i zęby”. Był wysokim mężczyzną o długich nogach. Miał włosy koloru piasku, szare błyszczące oczy i cerę



bez wyprysków. Jego maniery były równie wyśmienite i nienaganne jak srebro – bez wątpienia stare srebro, przekazywane z pokolenia na pokolenie, warte niewyobrażalną fortunę – na którym podano lunch. Wszystko w pokoju lśniło: kryształy, porcelana, sztucce, obicia mebli i jego godny podziwu pełny komplet zębów.

Miał w sobie pewien rodzaj subtelnej świadomości, typowej dla osób, które wiedziały, że są ważne, i były przyzwyczajone do spojrzeń innych ludzi.

Dopóki nie przyjrzał się Tansy.

Ku jej uciesze wpatrywał się w nią jak każdy nieopierzony młodzieniec.

Spuściła oczy i zaraz je podniosła.

To był instynkt.

– M-miło mi panią poznać, panno Danforth.

Ach, lekkie jąkanie. Uwielbiała doprowadzać mężczyzn do jąkania.

Był naprawdę uroczy. A może to właśnie powinna myśleć?

Od jakiegoś czasu nieco inaczej interpretowała urok.

Wyzwanie. Nieprzenikniona pewność siebie. A nawet sporadyczny brak wdzięku.

Uklonił się nisko, bardzo nisko, przy jej dłoni i trzymał ją jak Francuz, a po chwili powoli się wyprostował.

– Wszystko, co o pani słyszałem, jest prawdą.

Ach! Więc już jest legendą.

Pewnego dnia może będą o niej mówić jak o Ianie Eversea.

– Co, u diabła, tu robisz?

Ian odwrócił się. Colin stał w drzwiach rodzinnej biblioteki z szeroko otwartymi ustami.

Ian ukradkiem zamknął książkę, którą wziął z półki, i wsunął ją pod ramię.

– To naprawdę takie zaskoczenie?

– Z tego, co pamiętam, ostatnim razem pojawiłeś się tu z własnej woli, kiedy ojciec nabył książkę z medycznymi rycinami, a ty myślałeś, że w środku będą gołe kobiety.

– I były – zauważył Ian. – Miałem rację. Moje podejrzenia zostały nagrodzone. Mimo że kobiety miały narysowane wewnątrz organy. I nigdy nie zapomniiałem, jak inspirujące było to doświadczenie.

A teraz wyjdź, w milczeniu nakazał Colinowi.

Bezskutecznie.

– Co tam trzymasz, Ianie?

– Nic.

– Wygląda na książkę.

– Skoro wiesz, to po co pytasz?

– Czy to książka o anatomii?

Ian prychnął.

Colin usiadł na fotelu i wyjrzał przez okno.

– Cieszę się, że Genevieve będzie mieszkała blisko nas. Postanowili kupić posiadłość. Jestem pewien, że cieszysz się, że twoja nemezis też będzie blisko.

– Falconbridge nie jest moją nemezis – powiedział ku swojemu zaskoczeniu.

– W takim razie kłopotliwym przypomnieniem, że masz sumienie.

– Może – odparł szorstko.

Nie chciał przeglądać książki w obecności Colina. A bardzo chciał ją obejrzeć. Odnalazł fragment biblioteki, którego nigdy wcześniej nie widział, co zajęło mu trochę czasu.

Ale udało się, a jakie skarby skrywał... cóż, przynajmniej dla niego były to skarby.

Nie wyglądało, żeby Colin miał zamiar wyjść. Wyciągnął nogę i niepokieszony potrząsnął pustą karafką po brandy.

– O co chodzi?

– Colin, mogę zadać ci pytanie?

– Dlaczego, do diabła, prosisz o pozwolenie na zadanie pytania?

Ian wziął głęboki oddech.

– Dlaczego kochasz Madeleine? – spytał swobodnie. Colin w zaskoczeniu otworzył usta.

Nawet kiedy Colin przebywał w Newgate, błady i skutny w kajdany, nigdy nie rozmawiali o życiu i śmierci czy miłości i cierpieniu. Ian przynosił mu za to najciekawsze gazety. W jednym wydaniu Colin został przedstawiony z rogami. Ian oprawił rycinę dla Colina, ponieważ od tego byli bracia. Wszelkie inne wspomnienia były zbyt cenne, żeby poruszać je w celi więziennej.

Nic dziwnego, że Colin był wyraźnie zaskoczony.

– Rozumiem. Jak miemam, nie pytasz bez powodu?

– Powiedzmy, że... prowadzę badania.

Ian wiedział, że Colin jest sceptyczny. Czuł na plecach niedowierzający wzrok brata. Zaległa chwila ciszy. Mimo że Ian stał w bezruchu, jego serce coraz mocniej łomotało.

– No cóż... jest najsilniejszą osobą, jaką znam. – Colin brzmiał, jakby po raz pierwszy się nad tym zastanawiał. – Jest fascynująca i nieustraszona, a zarazem krucha. Zna mnie na wylot, a i tak mnie kocha, od początku mnie kochała, choć nie jestem pewien, czy kiedykolwiek się do tego przyzna. Ponieważ nie jest tak silna, jak się jej wydaje, lecz musiała być silna, aż

w końcu zapragnąłem być silniejszy dla niej, być dla niej lepszym człowiekiem. Jest tak piękna, że czasem aż oczy mnie bołą, jak na nią patrzę. I nikt wcześniej mnie nie potrzebował, a ona mnie potrzebuje. Naprawdę.

Nikt wcześniej mnie nie potrzebował, a ona mnie potrzebuje.

Odpowiedź Colina robiła wrażenie.

Ian stał nieruchomo, wzruszony i, prawdę mówiąc, zaskoczony. Aż słów mu zabrakło.

Znów zaległa krępująca cisza, podczas której Ian zrozumiał, że istnieje wiedza i doświadczenie, które jego brat, w przeciwieństwie do niego, posiada. Choć Colin nie miał pojęcia, jak to jest prawie umrzeć na polu bitwy. Colin wyszedł z wojny bez szwanku. Choć z drugiej strony widmo szubienicy z pewnością przypawiło go o kilka siwych włosów.

Ian poszedłby na szubienicę za Colina.

Lubił myśleć, że Colin zrobiłby to samo dla niego.

– Poza tym, podobnie jak ostatnio ja, interesuje się hodowlą krów i owiec – dodał Colin.

– Domyślam się, że ktoś musiał. Jesteś pewien, że nie udaje, żeby cię uszczęśliwić?

Colin prychnął.

– Panna Danforth też interesuje się krowami.

– Jeśli panna Danforth tak powiedziała, to kłamała.

– Wiem, ale przynajmniej się starała, co jest miłe.

Kolejna chwila ciszy.

– Przyszedełś do biblioteki w jakimś celu, Colinie?

Wyjdź teraz, Colinie.

– Szukałem cię. Chciałbym zrobić Madeleine niespodziankę i kupić jej klacz na urodziny. Miałem nadzieję, że namówię cię, żebyś pojechał ze mną.

– Oto moja rada: jeśli nie kupujesz konia od Cyganów, możesz zawierzyć swojemu osądowi.

Colin krótko się zaśmiał.

I wciąż nie wychodził.

– Może powiesz mi, dlaczego zastanawiasz się nad tymi rzeczami, Ianie?

Jasna cholera. Jego młodszy brat mógł rywalizować z kuzynem Adamem w umiejętności zagłębienia w głębi ludzkiej duszy.

Ian był rozdarty między chęcią rozmowy a niewiedzą, jak dokładnie wyrazić coś, na co najwyraźniej brakło mu słów, głównie dlatego, że było to coś nowego. Niezborna mieszanina doznań i emocji, z których jedną była panika, a drugą radość. A pomiędzy było jeszcze tuzin innych, subtelniejszych uczuć. Nie wiedziałyby nawet, jak zacząć.

Ale spróbował.

– Colin... Wierzysz w przeznaczenie?

– Oczywiście – odparł, choć Ian uważał, że ta prosta odpowiedź miała na celu uniknięcie filozoficznej dysputy.

– Sądzę, że moim przeznaczeniem może być śmierć z rąk księcia Falconbridge.

Colin machnął ręką.

– Nie może cię zamordować. Należy do rodziny. Rodzina nie robi takich rzeczy. A przynajmniej świądomie – dodał po chwili, nieco enigmatycznie.

– Powiedz to Otellowi.

– Nawiązujesz do Szekspira, Ianie? Nie mów, że uważałeś w szkole! – Colin był zdumiony.

– Może mam talent do zapamiętywania tylko tych rzeczy, które potem okazują się przydatne.

– Dlaczego sądzisz, że księżę cię...

Zamilkł.

Lekko zmarszczył czoło, bo naszło go podejrzenie.

– Nie...

– Nie?

– Nie! Nie, nie, nie, nie, nie. Powiedz, że to nie... nie panna Danforth! Powiedz, że nie byłeś tak głupi! – Colin zerwał się na równie nogi i chwycił Iana za kłapy. – Powiedz, że nie jesteś idiotą! To byłoby samobójstwo! Co jest z tobą nie tak? Jest tyle kobiet na świecie.

– Puszczaj – odepchnął brata. – Uspokój się. Oczywiście, że nie. To nie tak.

Był to chyba pierwszy raz, kiedy okłamał Colina.

Colin wciąż wpatrywał się w niego.

– Wiesz, że Genevieve nigdy ci tego nie wybaczy. A księżę może cię i nie zabiję, ale zawsze będziesz się nad tym zastanawiał, prawda? Cóż za ciekawy sposób na życie.

Miał zamiar powiedzieć: „Księżę nie jest mordercą”. Ale przyprawienie rogów było kwestią honoru, a Ian nie był pewien, czy obwiniałby księcia za chęć zemsty... i czy księżę będzie podejrzewał, że panna Danforth wczoraj weszła mu do łóżka.

– W porządku. Jeśli martwisz się księciem w kwestii tej dziewczyny, nie przejmowałbym się tym. W końcu wszyscy ulegają jej urokowi, kiedy na nią patrzą. Domyślam się, że ty dopiero teraz zaczynasz go dostrzegać. Z pewnością niedługo ci przejdzie, podobnie jak, jakby to ująć, twoje inne przelotne kaprysy.

– Rozumiem. – Słowa brata brzmiały jak świętokradztwo.

- Przez przelotne kaprysy miałem na myśli kobiety.
- Dziękuję. Wiem, co miałeś na myśli.

Milczał.

Wyjdź, Colinie.

Colin spoglądał na niego z pewnym zrozumieniem.

- Wiesz, poślubienie kogoś, praktycznie kogokolwiek, rozwiązałoby problem.

– Panny Danforth? – Jeśli chodziło o Iana, musiało rozwiązać jej problem,

- Twój.

Prychnął.

– Ale nie poślubiaj nikogo nudnego – zastrzegł pośpiesznie Colin.

– Nie poślubię nikogo nudnego, jeśli nigdy nie wezmę ślubu.

– Zapomnij, co mówiłem o rodzinie. W takim razie matka cię zabije – powiedział lekko Colin. – A teraz chodź ze mną.

Ian westchnął i pośpiesznie wsunął egzemplarz *Naturalnej flory Ameryki Północnej* z powrotem na półkę. Potem ją przestudiuje.

Ale nie wsunął książki do końca. A kiedy książkę Falconbridge wszedł do biblioteki, gdy zobaczył, że Ian i Colin z niej wychodzą, rozejrzał się po pomieszczeniu. I zauważył, że jedna książka może spaść z półki na podłogę, więc ją wyciągnął.

Przeczytał tytuł.

Powoli się wyprostował i wpatrzył w punkt, gdzie Colin i Ian zniknęli.

## 21

Kiedy następnego ranka Tansy zeszła na śniadanie, powitał ją lokaj, który właśnie przyjmował kolejne bukiety. Uwielbiała kwiaty.

– Przysłano je dla pani, panno Danforth.

Entuzjastycznie ruszyła ku nim, ale po chwili przystanęła.

I cofnęła się dwa kroki. Jakby zamiast kwiatów dostała jedną z tych roślin, które pożerają zwierzęta, te, które Miles Redmond opisał w swojej książce.

W końcu powoli, z niedowierzaniem wyciągnęła ku nim rękę.

Był to zwykły, kolorowy bukiet, przewiązany niebieską kokardą.

Ręka zaczęła jej drżeć, kiedy przyglądała się poszczególnym kwiatom:

Orliki. Astry. Nagietki. Dzikie róże. Bergamotki. Łubin.

I nagle coś wstrzymało jej oddech: kwiat w kształcie trąbki, który nazywał się spadająca gwiazda.

Miała nieodparte wrażenie, jakby znalazła się z powrotem w domu i spoglądała na wiosenną łąkę w rozkwicie.

Spadająca gwiazda!

Tylko jedna osoba mogła dać jej taki prezent.

Osoba, która twierdziła, że nigdy nie daje prezentów. A przynajmniej kobietom.

Skąd... jakim cudem...

– Dołączono do nich liścik, panno Danforth.



Liścik był opieczętowany woskiem, lecz bez odcisku pieczęci. Wsunęła palec, żeby rozkruszyć wosk i przeczytała wiadomość.

*Przepraszam, jeśli kiedykolwiek zachowałem się jak dupek.*

To była najbardziej romantyczna wiadomość, jaką kiedykolwiek otrzymała. Wszystkie inne będą musiały spróbować jej dorównać. Tego akutar była pewna.

– Te też dopiero co przyszły dla pani. W wazonie. Gdzie mam je zanieść?

Wskazał na piękny alabastrowy wazon – prosty, choć sądząc po wyglądzie niezwykle kosztowny – w którym umieszczono eleganckie, wysokie i piękne kwiaty ze szklarni. Róże, czerwone i dumne, wyglądały jak berła, a białe lilie niczym kielichy. Triumfalna kompozycja, którą mógł wysłać tylko jeden mężczyzna.

Kompozycja godna księżnej.

Oba bukiety zaparły jej dech w piersiach, choć z różnych powodów.

Otworzyła liścik:

*Te kwiaty przypominają mi Panią. Mam nadzieję, że nie weźmie mnie Pani za nazbyt śmiałego, ale byłbym zaszczycony, gdyby Pani i książę Falconbridge udali się ze mną dzisiejszego popołudnia na piknik.*

– Chyba ktoś się zadurzył. – Genevieve się uśmiechnęła.

Który ktoś?

I co było bardziej przerażające?

Zastała go siedzącego w jednym z salonów, przeglądającego książkę, którą schował za plecami, kiedy weszła do pokoju.

– Dzień dobry, kapitanie Eversea.

– Dzień dobry, panno Danforth.

Nie wstał. Długie nogi miał wyciągnięte przed siebie, ramiona założone pod głowę, a świecące za nim słońce rozświetlało lśniące kasztanowe włosy. Wyglądały jak rozżarzone węgielki.

Wyglądał diabelsko.

– Dziękuję za niezwykle podarek – powiedziała.

– Nie ma za co.

– I za przeprosiny.

– Nie ma za co.

– Pisanie przeprosin musiało być torturą.

Milczał.

– Wyobrażam sobie, jak siedzisz za biurkiem, krople potu spływają ci z czoła, a twoja duma cierpi, kiedy piszesz kolejne słowa...

Zaśmiał się krótko.

– Wystarczy.

Uśmiechnęła się do niego.

– Nie zamierzasz wstać? Dżentelmeni zazwyczaj to czynią, kiedy dama wchodzi do pokoju.

Na te słowa powoli wstał, skutecznie przesłaniając światło słoneczne wlewające się przez okno.

Zrobił dwa kroki w jej kierunku.

I jak zawsze poczuła się zagubiona.

– Czy tak lepiej? – spytał cicho.

I tak, i nie.

Był taki wysoki.

Zawsze kusiło ją, żeby pozwolić mu się pochłonać.

– Nie wstałem – powiedział w zamyśleniu – ponieważ podobało mi się, jak światło słoneczne rozświetliło

panią, kiedy weszła pani do pokoju. Po prostu nie mogłem się ruszyć.

Och.

Całkowicie ją zaskoczył.

Była mistrzynią pochlebstw, a nie miała najmniejszego pojęcia, co odpowiedzieć. To spostrzeżenie, podobnie jak jego liścik, znaczyło więcej niż jakikolwiek komplement. Wiedziała, że był szczerzy.

I po raz kolejny poczuła, z jaką łatwością uwodził kobiety.

Nie podobała jej się myśl, że to robił.

Kobiety.

I wtedy przypomniała sobie, że nigdy nie dawał prezentów.

– Dziękuję – powiedziała niemal nieśmiało.

Uśmiechnął się nieśpiesznie i psotnie, a na koniec parsknął krótko, ponieważ wiedział – o tak, wiedział! – jak na nią działa.

Bestia.

– Czy zamierza mnie pani skomplementować, panno Danforth? Czyż nie wyglądam męsko i tak dalej? Czyż nie mówię najcudowniejszych komplementów, jakie pani kiedykolwiek słyszała?

– Jestem pewna, że prowadzisz tę rozmowę codziennie rano z lustrem.

Roześmiał się ponownie, tym cudownym śmiechem.

– Więc jakie masz plany na dziś? – Zerknął na jej muślinową suknię poranną w prążki. Poczuła, że żar zaczyna obejmować jej szyję i ramiona, a jej sutki się ożywiły. Wiedziała, że przebywając w jednym pomieszczeniu z Ianem Eversea, równie dobrze

mogłaby nie mieć nic na sobie, ponieważ i tak się czuła naga.

– Lord Stanhope zaprosił mnie, księcia i Genevieve na piknik.

– Ach tak, teraz? Tak szybko składacie kolejną wizytę? I jak ci się wczoraj spodobała Jego Lordowska Mość?

– Jest... życzliwy.

– Życzliwy – powiedział wolno, jakby degustował w ustach nieznanne wino. – Uznając twoją skłonność do przesady, „życzliwy” brzmi wręcz jak oskarżenie.

– Nieprawda. Miałaś nadzieję, że tak będzie?

– Oczywiście, że nie. „Życzliwy” to szczyt marzeń. Największe osobiste dokonanie.

– Jeśli nie ustaniez w staraniach, jestem przekonana, że pewnego dnia też osiągniesz ten szczyt, Ianie – powiedziała uprzejmie.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

Zapadła dziwna, łagodna cisza.

– Ianie... zastanawiałam się...

– Tak?

– Czy opowiesz mi coś więcej o uprawianiu miłości? Zamrugał ze zdziwienia.

– Tansy, na miłość boską. Przestań to robić.

– Co robić?

– Zastawiać na mnie pułapki pytaniami tego rodzaju.

– Tylko w ten sposób mogę zyskać nad tobą kontrolę. A niepokojenie cię jest bardzo zabawne, więc nie, nie przestanę.

To go lekko rozbawiło.

– Musiałem przynajmniej spytać.

– Wracając do mojego pytania... nie uważasz, że powinnam być lepiej wyedukowana, zanim podejmę jakiegokolwiek ryzyko?

Prawdę mówiąc, była to celowa prowokacja. Czerwona płachta pokazana bykowi. Chciała usłyszeć, jak o tym opowiada.

Wiedziała, że jej pragnął.

I wiedziała także, że miała nad nim władzę.

Zbyt późno uświadomiła sobie, że Ian doskonale wiedział, co robi.

Nie spodobało mu się to.

Spojrzał na nią ostro.

– Jestem pewien, że twój mąż zrobi to dla ciebie, kiedy przyjdzie czas. To jego obowiązek.

Mąż. Zamrugała zdziwiona. To słowo rozdzieliło ich głośnym dźwiękiem. Zaległa krępująca cisza. Obserwowała go spod zmrużonych powiek.

Nie podobało jej się także słowo „obowiązek”. I podejrzewała, że wiedział o tym.

– ...a twoim obowiązkiem będzie go zadowolić.

Powstrzymała grymas.

– Może będzie to przyjemność, a nie obowiązek – powiedziała odważnie.

– Może – powiedział leniwie. – Możesz mieć rację. Ale wiesz, to nie zawsze jest przyjemność. Nie każdy mężczyzna jest wprawnym kochankiem. Nie każdy mężczyzna sprawi, że twoja krew się zagotuje, kolana zmiękną, a oddech uwięźnie w gardle z pożądania.

Zastygła w bezruchu.

Mówiąc o pułapce...

Co ciekawe, to było jak czary: jej krew się zagotowała, kolana ugięły, a oddech uwiązł w gardle.

Jak to zrobił? Skąd wiedział? To była jawna niesprawiedliwość, że wiedział znacznie więcej od niej. I mówił o tym tak lekko. Przysunął się do niej. Jedyne o cal czy dwa. Mogła już oddychać, ale robiła to znacznie szybciej.

Nie skończył jeszcze.

– Nie każdy mężczyzna sprawi, że będziesz chciała zrobić wszystko, czego on chce. Nie każdy dotyk sprawi, że poddasz mu się całkowicie. Nie każdy mężczyzna doprowadzi cię do krzyku rozkoszy w każdej możliwej pozycji. Nie każdy będzie wiedział, gdzie cię dotknąć lub jak słuchać twojego oddechu i westchnień, żebyś odczuwała najbardziej intensywną przyjemność. Nie każdy mężczyzna sprawi, że za każdym razem zobaczysz gwiazdy.

Z każdym jego słowem temperatura zdawała się rosnać o stopień. Jej zmysły zdawały się rozumieć, że przemawiał do nich jak hipnotyzer nakłaniający węża do wyjścia z kosza. Miał rację, oddech uwiązał jej w gardle z pożądania.

Skąd, na Boga, tak doskonale wiedział, jak to na nią działa?

A co ważniejsze, co, u diabła, miał na myśli, mówiąc o „każdej możliwej pozycji”?

– Są różne pozycje? – wyszeptała wreszcie.

– Tak – odparł szorstko.

Zaniemówiła.

– Czy to miałem powiedzieć, Tansy? Czy tego chciałaś się dowiedzieć o uprawianiu miłości?

Był naprawdę bezlitosnym draniem, lecz sama prosiła się o to. Obrócił sytuację na jej niekorzyść. Naprawdę

nie można było bawić się tym mężczyzną. Nie owinie go wokół palca znanymi sobie sposobami.

I po chwili naszło ją podejrzenie, które przerozdziło się w pewność, kiedy spojrzała na jego dłonie. Mimowolnie zacisnął je w pięści, aż kostki mu zbiegły. Jakby wbijał paznokcie we wnętrze dłoni, aby nie stracić kontroli.

Potrafił opisać to tak szczegółowo, ponieważ opisywał siebie.

Nie ogólnie.

Ale to, jak się czuł z nią.

Z nią!

Domyślała się, że jego wyznanie wydawało się szczerze, ponieważ to, co czuł, mogło go przerażać. Mężczyznę z bliźną wijącą się zygzakiem po brzuchu, który z narażeniem własnego życia ratował innych!

– Dziękuję. Było to ze wszech miar pouczające. – Jej głos drżał, jakby zamknięto ją w rozgrzanym pokoju. Co, metaforycznie mówiąc, było prawdą. – I... no cóż, podejrzewam, że nie każda kobieta zmieni twoją krew w lawę, nie każda potrafi zaprzętać każdą twoją myśl, nie każda sprawi, że będziesz drżał, całując ją, i nie dla każdej stracisz głowę i będziesz robił rzeczy, o których nigdy nie śniłeś. Nie dla każdej odszukasz właściwą szklarnię, żeby móc jej wysłać bukiet polnych kwiatów z konkretnego regionu świata. Zwłaszcza że nigdy nie dajesz kobietom prezentów.

Zastygł w bezruchu. Jak zwierzę dostrzeżone przez drapieżnika na polanie.

Coś w rodzaju niechętnego podziwu pojawiło się na jego twarzy. Przez chwilę podziwowi towarzyszyła

inna emocja: strach, a może cierpienie, ale jak szybko się zjawiała, tak szybko zniknęła. Niemal instynktownie sięgnęła, żeby dotknąć go, żeby przeprosić... ale za co? Za to, że go przejrzała? Że go zdenerwowała? Za to, że musiał zmierzyć się z czymś nowym?

Nie chciała, żeby czuł większy ból. Nie chciała, żeby ten odważny mężczyzna kiedykolwiek się czegoś bał.

To nie była jej wina. W końcu nie zrobiła tego celowo.

Niezupełnie celowo.

– Mogę cię zapewnić – powiedział spokojnym głosem – że niektóre kobiety nigdy nie zaznały takiej rozkoszy. Popytaj wśród koleżanek. Bez wątpienia odkryjesz, że większość mężatek zaprzęta sobie głowę budżetem swojego domostwa, a ich mężowie zajmują się czekaniem na spadek. Młodzi, rozpieszczeni dziedzice nigdy nie muszą się uczyć, jak zaspokoić kobietę.

Na jego słowa poczerwieniała.

– Jesteś okropny.

– Obawiam się, że nie znasz nawet połowy prawdy o mnie. Nie jestem bohaterem, Tansy.

Podjejrzała, że znała chociaż część. Podejrzewała, że trochę się mylił. Mówiono, że jest notorycznym uwodzicielem, i nie zauważyła niczego, co by podważyło tę opinię. Pomyślała o pewnej ciemnowłosej wdowie o migdałowych oczach i o wymienionych z nią spojrzezeniach, i o tym, co mówiła pani deWitt.

Powinna była zwrócić na to większą uwagę.

Takie jest niebezpieczeństwo pocałunków i podziwiania gwiazd na balkonie. Jej zmysły przejęły kontrolę nad umysłem.



– Jeśli wolisz, możesz ograniczyć nasze rozmowy do pogody – powiedział, kiedy wyglądało na to, że Tansy nic już nie powie. – Czyż to nie byłoby rozsądniejsze?

– Dziś jego gorąco – powiedziała natychmiast.

Uśmiechnął się wolno. Potem pokręcił głową.

A niech to! Podobał jej się.

Napięta atmosfera zelżała.

– Mówiłem poważnie. Nie graj ze mną w ruletkę, Tansy – powiedział łagodnie, niemal przepraszająco. – Dostaniesz wszystko albo nic.

Cofnęła się o dwa kroki. Podświadomie weszła w światło słoneczne.

Ian ją obserwował.

– Jak anioł wracający do nieba.

Prychnęła.

– Co za brednie!

Uśmiechnął się szeroko.

– Pociesz się świadomością, że wszystko jest w twoich rękach. Ale ty przecież lubisz to połączenie: mężczyźni i twoje ręce.

Sięgnął po kapelusz, leżący obok niego na kanapie, i go włożył.

– Udanego pikniku.

## 22

Czy ktoś mówił pani, że ma pani najbardziej niezwykły kolor oczu? Nigdy takiego nie widziałem!

Spacerowali ramię w ramię po parku, który zdawał się nie kończyć. Zieleń jak okiem sięgnąć. Kiedyś, gdy była dzieckiem, myślała, że niebo może tak wyglądać, ale dziś miała nadzieję, że jest inaczej. Krajobraz był dosyć monotony. Odrobinę zbyt bezpieczny.

A fakt, że park wydał się bezkresny, działał jej na nerwy. Nieskończoność przypominała jej trochę małżeństwo. Dopóki śmierć was nie rozłączy.

Zacęła też być mniej pewna co do bezpieczeństwa małżeństwa.

– W każdym razie nie tyłoma słowami.

– Ale to prawda. A kiedy się pani uśmiecha... pani oczy są jak gwiazdy.

Gwiazdy.

Podziwianie gwiazd.

Musiał powiedzieć: gwiazdy.

Czy lord Stanhope sprawi, że zobaczy gwiazdy? Umiałby to zrobić? Zerknęła na jego ręce. Zadbane dłonie. Czy kiedykolwiek trzymały młotek i wbijały gwoździe? Broniły kogoś bronią palną? Drżały, kiedy dotykał kobiety? Czy lord wsłuchiwał się w oddech kobiety, żeby upewnić się, jaką przyjemność jej dać, i...

Zinterpretował jej milczenie i czerwone policzki jako wstydlivość.

– Przepraszam, panno Danforth. Mam nadzieję, że nie uważa mnie pani za zbyt bezpośredniego.

– Ależ nie. Jak ktokolwiek mógłby nie zgodzić się z tak życzliwym spostrzeżeniem!

Zerknęła z ukosa na dobrze zbudowanego młodego mężczyznę. Brak zmarszczek wokół oczu od mrużenia oczu podczas celowania ze strzelby lub jazdy konnej w słońcu. Jego śmiech był zaskakująco donośny i odro-

binę irytujący. Dużo się śmiał. Życie było dla niego ła-  
skawe, więc dlaczego miałby się nie śmiać?

Był człowiekiem o raczej dosłownym poczuciu  
humoru. Lepsze takie niż żadne, pomyślała. Ale dotąd  
trudno było jej wykrzesać z siebie iskrę, chociaż był tak  
życzliwy. Spacer i rozmowa z nim uświadomiły jej, jak  
ostanie lata ją ukształtowały, złościąc zaskakujące rysy  
w jej charakterze. Nie było łatwo nią kierować. Nie  
było łatwo ją do czegoś namówić.

Nagle uświadomiła sobie, że człowiek odkrywa  
prawdziwego siebie, porównując inne osoby.

Co jest jedynym sposobem, żeby odkryć swoje praw-  
dziwe pragnienia.

Kusiło ją, aby spytać lorda Stanhope'a, czy ma jakieś  
blizny, które mówią o jego życiu.

Wzięła nagły wdech. Przypomniała sobie, jak prze-  
suwała palcem po twardym torsie mężczyzny, pozna-  
jąc część jego historii, wydarzenie z przeszłości wyryte  
w jego duszy, podczas gdy jego palce przeczesywały  
jej włosy niemal w nabożnym skupieniu, jakby były  
z prawdziwego jedwabiu.

Czy kiedykolwiek naraził pan życie dla innego czło-  
wieka, nie myśląc o własnym bezpieczeństwie, lordzie  
Stanhope? – kusiło ją, aby spytać.

– Gdzie krążą pani myśli, panno Danforth?

O Boże! Lord Stanhope może i był nieco nużący,  
ale nie można mu było odmówić spostrzegawczości.

Co, jak mniemała, dobrze o nim świadczyło.

Poza tym zostanie księciem.

To słowo zdecydowanie miało swój urok. Otwierało  
świat możliwości wykraczający poza banalną, zadbaną  
zieleń parku.

– Wyobrażałam sobie swoje oczy jako gwiazdy. Co za czarujące porównanie.

– Z pewnością nieustannie słucha pani takich komplementów.

Uśmiechnęła się zagadkowo.

– Zapewniam pana, że nie aż tak uroczych.

– Skoro mówimy o uroku, miałem szczęście nabyć doskonałą szarą klacz. Sądzę, że ona i pani stworzyłybyście dobraną parę.

Dobierał ją pod konia?

Miał zamiar dać jej konia?

Dobry Boże, nie miała nic przeciwko, żeby mieć własnego konia w Sussex.

Ale czy szukał żony, która pasowałaby do konia? To było nieco niepokojące.

– Miałaby pani ochotę na przejażdżkę w niedalekiej przyszłości? – spytał.

– Z przyjemnością, dziękuję. Bardzo lubię konie.

Zerknęła przez ramię. W oddali Genevieve zsunęła pantofelki i czytała mężowi, który zdjął kapelusz i leniwie bawił się końcami jej długiej wstążki, która odcinała sukienkę pod biustem. Puszczął ją i chwycił, gdy wiatr nią powiewał.

Uśmiechnęła się, ale jednocześnie poczuła ostre ukłucie zazdrości. Genevieve była mężatką i kochała mężczyznę, który dla wielu ludzi z pewnością pozostaje zagadką.

Iana Eversea też można by tak opisać.

Ale on miał klucz do jej zmysłów. Przeprowadzał kampanię, żeby ją zdobyć, nie składając żadnych obietnic i nie oferując żadnej przyszłości. Prawdopodobnie

był, jak sugerował to książę, w pewien sposób złamany życiem.

A kiedy uśmiechnęła się na myśl o przyszłym księciu de Neuville, zastanawiała się, dlaczego nie miało to dla niej tak dużego znaczenia, jak powinno.

Po powrocie do domu zajęła się przeglądaniem przysłanych jej bukietów – tym razem było ich pięć!

Otworzyła usta, aby poprosić lokaja o zanieśenie kilku bukietów na cmentarz, żeby panie ze Stowarzyszenia Pomocy Ubogim z Sussex mogły rozdysponować je na pustych grobach.

Ale po chwili zamilkła. Pomyślała o Olivii i Lyonie Redmondzie, i o jej stracie. Uświadomiła sobie, że Olivia, którą znała teraz, nie była tą samą Olivią co przed zniknięciem Redmonda.

I to właśnie Ian próbował jej powiedzieć. Ian kochał swoją siostrę i wiedział, co oznacza „odejście” kogoś. Zwierzył się jej, ponieważ wiedział, że go zrozumie.

O tak, dobrze go rozumiała.

Ostrożnie wyjęła wszystkie liściki z bukietów.

– Czy byłby pan uprzejmy przekazać Olivii Eversea, że wszystkie te kwiaty przysłano dla niej?

Lokaj skinął, jakby to była zwykła prośba.

Tansy w zamyśleniu ruszyła marmurowymi schodami do swojego pokoju.

Usiadła przy małym biurku i wyciągnęła swoją listę wymagań, która była już nieco wymięta i brudna na rogach od częstego używania. Ale w stosunkowo krótkim czasie dużo się dowiedziała.

Na pozór lord Stanhope spełniał wiele z jej wymagań.

Zabawne, jak każdy dzień odkrywał kolejne wymagania, który zdawały się absolutnie ważne.

Lecz pióro ją wołało, więc chwyciła je i obróciła w palcach, zanim ostrożnie, w zamyśleniu dodała dwa kolejne, istotne punkty.

*Musi mieć kilka interesujących blizn.*

*Jak nikt inny sprawiać, że czuję, że żyję.*

I to ten ostatni punkt był najważniejszy. Niewiele rzeczy doceniała w ostatnim roku, ale Ian Eversea nie dość, że ostro sprowadził ją na ziemię, to jeszcze pokazał jej gwiazdy.

Mogłoby się wydawać, że nie zechce zrobić niczego bardziej lekkomyślnego. Jej plan nie był działaniem osoby, która twardo stąpa po ziemi.

Ale była to jedna z najbardziej rozsądnych decyzji, jakie od dłuższego czasu podjęła.

## 23

**I**an zanurzał się w objęciach snu i wynurzał z nich niczym rozbitek na morzu.

Nie powinna do niego przychodzić.

Modlił się, żeby już nie przychodziła.

Znów się obudził. Leżał cicho w ciemnym pokoju i czuł się jak drań. Kompletnie nieprzydatny, lubieżny drań. Który chciał tego, czego chciał, i zastosował wszelkie sztuczki, żeby to dostać.

Noc się ciągnęła.

I zaczął się bać, że Tansy nie przyjdzie do niego.

Nie miał żadnego prawa jej tego zrobić – użyć jej własnej zmysłowości jako broni do uwiedzenia jej. Do zasiania niepokoju o jej przyszłość, ponieważ szczerze chciał, aby była szczęśliwa i dostała to, czego pragnęła.

Zapewne chciał, żeby miała szczęśliwe życie, bardziej niż pragnął się z nią kochać.

Nie był jednak tego pewien.

Ale gdyby mógł spędzić z nią jedną noc. Tylko jedną noc. Miałby całe życie, żeby żałować za swoje czyny. Z drugiej strony morza oczywiście.

I jak na ironię to właśnie mogła być zemsta księcia. Aby Ian pragnął, do granic przekraczających rozsądek, jedynej kobiety, której nie powinien, nie mógł mieć i nigdy mieć nie będzie.

I gdy jedna z najdłuższych nocy, jakich doświadczył od czasu wojny, powoli mijała, a ona nie przyszła, ciężar rozczarowanie popchnął go w objęcia snu jak kamień rzucony w otchłań.

Nieco później – gdy wciąż panował mrok – znów się obudził i poruszył. Przesunął głowę na bok; knot świecy prawie się wypalił.

Ponownie odwrócił głowę, tym razem w stronę okna, i zastygł.

Siedziała w nogach jego łóżka.

Wpatrywali się w siebie przez długą chwilę w milczeniu.

– Czy ja śnię? – spytał.

Minęła wieczność, która zapewne trwała jedynie kilka sekund, zanim przemówiła.

– Nie – wyszeptwała, odrobinę przestraszona. Odrobinę zdumiona.

Była tam.

Bez słowa, bardzo wolno, odsunął pościel. W milczeniu przysunął się do Tansy. Bez żadnych wstępów chwycił jej koszulę nocną i powoli zdjął ją przez głowę.

Podniosła ramiona, pomagając mu, i po chwili je opuściła.

Siedziała przed nim naga. Jej serce biło tak mocno, że w uszach słyszała pulsującą krew.

Położył ją powoli na łóżku.

Owinęła ramiona wokół jego szyi. Och, co za cudowne uczucie dotykać jego skóry. Czuć ciepło, siłę i ciężar jego ciała. Przywarła do niego, rozkoszując się pocieraniem sutków o szorstkie włoski porastające tors. Zanurzył twarz w jej szyi i wetchnął. Złożył delikatny, gorący pocałunek przy jej uchu. Poczwała, że zaczyna się rozpływać, w pełni mu się poddawać. Przesunęła usta odrobinę niżej. Wygięła plecy w łuk i zanurzyła palce w niezwykle miękkich włosach. Znalazła jego uszy i przesunęła po nich ręce. Wędrowała palcami po twardym łuku jego barku, rozkoszując się faktem, że tak wiele ma do poznania.

Ogarnęła ich dzika żądza, jakby nagość zmieniała ich w pierwszego mężczyznę i kobietę, a seks był ich pierwszym odkryciem.

Nie będzie szeptów, finezji i rozpieszczania. Nakrył ją sobą, jakby od dawna była jego kochanką, a ona poddała się, jakby śniła, nie wiedząc, dokąd ją zabierze, choć poszłaby wszędzie, gdzie chciałby ją zabrać. I w tej ciemnej ciszy miało to sens, wydawało się właściwe.

Znalazł jej usta. Pocałunek był dziki, pożądliwy i głęboki, niemal karzący, jakby czekał całe życie na ten



właśnie pocałunek, jakby pozbawiła go tej konkretnej rzeczy, jakiej potrzebował, aby przerwać. Objęła jego głowę i poddała się podniecającej, mrocznej rozkoszy jego ust. Głaskała jego włosy, żeby uspokoić go i ukoić. Pocałunek powoli przeszedł w kontakt łagodniejszy, głębszy, bardziej doniosły. Poczuała go w całym ciele, przeniknął do jej żył jak opium. Powoli, powoli. Jakby zwalniając tempo, mogli zapanować nad czasem, który zatrzymałby się dla nich, aby ta chwila trwała.

Delikatnie oderwał usta od jej warg i oparł czoło o jej głowę. Jego oddech był urywany, gorący i zachrypnięty. Czuała unoszenie i opadanie jego ramion.

– Jak bardzo cię pragnęłam – pół szepnęła, pół jęknęła przy jego ustach.

Przesuwał wargami po łuku jej gardła, coraz niżej i niżej, aż znalazł sutek i polizał go gorącym językiem.

Wstrzymała oddech i wygięła ciało w łuk, kiedy ponownie to zrobił. Po chwili objął go ustami i zaczęła ssać.

– O Boże, Ianie – wydyszała.

Zrobił to jeszcze raz, przesuwając się do drugiej piersi, a potem jego usta zaczęły wędrować coraz niżej i niżej, wzdłuż klatki piersiowej. Jego wargi, język i oddech zatrzymywały się na wystarczająco długo, żeby rozpaścić każdą komórkę jej ciała, jaką napotkały na drodze.

Był zaskakująco wprawnym kochankiem. Każdy szybki, zmysłowy atak był celowy, nowy i miał spustoszenie. Językiem, palcami, ruchem dłoni potęgował jej doznania, opadał na nią, zniewalał, zmienił ją w istotę, której jedynym celem było przyjmowanie rozkoszy. Wiła się pod nim, jęcząc cicho.

Zanurzył język w jej pępku, przesunął dłońmi po miękkim brzuchu i rozsunał jej uda, dotykając językiem jedwabistej, gorącej wilgoci między nogami.

Gwałtownie zadrżała. Cóż za cudowny szok.

Ale nie przestał. Jego palce muskały delikatną skórę wewnętrznej strony ud, gdy jego język nie przestawał pieścić jej, lekko i szybko, a potem powoli i zdecydowanie.

Zaczęła pojękiwać. Dobry Boże, nigdy nie wyobrażała sobie takiej przyjemności. Kołysała biodrami w rytm ruchów jego języka. Czuła, że pędzi ku nieznanemu.

– Nie zniosę tego... och, proszę... muszę... – słowa wychodziły z niej urywanymi łkaniami.

Zadrżała, wydając zachrypnięty okrzyk, wyginając się do góry pod wpływem rozkoszy. Omal nie straciła świadomości, gdy drgawki ogarnęły jej ciało.

Uniósł się nad nią i pomagając sobie jedną dłonią, szybkim pchnięciem wprowadził w nią swój penis.

Zaskakujące doznanie sprawiło, że odchyliła głowę, wstrzymując oddech. Owinął jej udo dookoła swojej talii i ponownie, tym razem powoli wszedł głębiej. Schylił się, żeby delikatnie ją pocałować; lizał jej sutek, kiedy niemal leniwie poruszał się w niej.

Cofnął się. I znów ją wypełnił. Na skraju jej zmysłów, z nieuchwytną uporczywością i cudownym napięciem, tworzył się nowy rytm rozkoszy. I z każdym ruchem Iana narastał do czegoś tak potężnego, że mogła go uwolnić z siebie jedynie krzykiem.

Ich ciała zderzały się mocno, gdy szybkimi ruchami bioder zanurzał się głęboko w niej. Rytm jego pchnięć stał się szybki i intensywny. Zaczął chrapliwie oddychać i mruzczyć przekleństwa, które mieszały się z jej

cichymi krzykami, kiedy wbiła paznokcie w jego plecy, a ich ciała pomknęły do orgazmu.

Odchyliła głowę.

– Proszę, Ianie... proszę... ja...

Jego ciało zeszywniało i usłyszała urywany, triumfalny krzyk, kiedy orgazm wstrząsnął jego ciałem.

Ostrożnie opadł obok niej i przysunął do siebie. Jedwabistość jej skóry urzekła go.

– Jesteś piękna – zamruczał.

– Komplementy – szepnęła. – Nie przestajesz mnie zadziwiać.

Oddychał przy płaszczu jej włosów. Odgarnął jedwabistą zasłonę na bok i pocałował ją w szyję. Westchnęła. Objął ją i przez jakiś czas leżeli w milczeniu. Rozkoszował się unoszeniem i opadaniem jej klatki piersiowej pod swoimi dłońmi. Nie powiedzieli ani słowa.

Nieuchronnie jego dłonie zaczęły wędrować. Wyruszyły w nieśpieszną podróż, przesuając się po jej brzuchu, potem delikatnie wyżej, aż dotarły do piersi. Wziął je w dłonie i pieścił lekkimi jak piórko muśnięciami. Raz po raz, jak człowiek podsycający płomień. Upajając się satynową gładkością jej skóry. Upajając się napięciem, które w niej wyczuwał, gdy pożądanie spięło jej mięśnie i spłyciło oddech. Upajając się tym, że wyginała ciało w łuk niczym kot. Była niezwykle zmysłowa i dzika: z instynktem pięknego zwierzęcia przyjmowała dawaną rozkosz, co tylko sprawiło, że chciał dawać jej coraz więcej i więcej, i brać ją na każdy możliwy sposób.

I wkrótce znów zaczęła prężyć się pod jego dotykiem, jej pośladki poruszały się kolistymi ruchami przy

jego twardym penisie. Przesunął dłonią po jej kręgosłupie i wsunął ją między uda, a palce w jej jedwabistą wilgoć. Jęknęła i rozsunęła lekko uda, prosząc o więcej.

Jego pożądanie wydawało się nie mieć kresu. Im więcej brał, tym więcej chciał.

Przygryzł jej kark i delikatnie odsunął się od niej, obracając ją na brzuch.

Powędrował dłońmi w dół pleców i uniósł jej biodra. Ślepo poddała się jego ruchom, ufając mu. Złożył pocałunek na mokrej skórze lędźwi i przesunął dłońmi po pośladkach. Delikatnie ugryzł jeden z nich, jakby był brzoskwinia.

Wyprostował się i wsunął penis między jej nogi, dręcząc ją, dręcząc samego siebie.

– Jesteś... taka cudowna, Tansy.

Jęknęła cicho. Czuł, jak jej ciało pulsuje przy nim.

Zrobił to znowu, wsunął się lekko, delikatnie. Kolejna dręcząca pieśczoła.

Zadrzała, ściskając w dłoniach narzutę z łóżka.

– Ianie, umrę, jeśli nie... proszę... szybciej...

Wsunął się w nią, szybko i głęboko. Czuł, jak wstrzymuje oddech. I wysunął się, powoli, tak bardzo powoli, pozwalając, aby poczuła każdy centymetr jego ciała.

Jęknął, a ona syknęła.

– Błagaj mnie, Tansy – szepnął.

– Proszę, Ianie. Proszę. Szybciej, proszę.

Wszedł w nią, przyciągając zdecydowanym ruchem jej biodra do siebie, zanurzając się w niej do końca i powoli się wysuwając.

– Proszę... – Zakołysała biodrami przy jego ciele. Niemal łkała ze zmysłowej tortury. – Jestem tak blisko...

Ponownie to zrobił. Powoli. Zmysłowy sadysta.

I jeszcze raz.

A potem już nie mógł dłużej się z nią droczyć, ponieważ pożądanie skutecznie nim zawładnęło. Był sztywny, drżał i pocił się, usiłując zachować kontrolę.

I uwolnił ich oboje.

Wsunął się w nią szybko. Natarł biodrami, gdy przysunął ją do siebie, zanurzając się głęboko. Coraz szybciej i szybciej, bezlitosnym tempem, w szalonym pożądaniu.

– O Boże... O Boże...

Krzyknęła z rozkoszy, szarpiąc za narzutę, gdy Ian zmierzał ku swojemu orgazmowi. Rozkosz przelała się po jego ciele, niemal odcinając świadomość. Słyszał własny gardłowy krzyk, jakby pochodził z innej planety. Sądził, że mógł nawet powiedzieć jej imię.

\* \* \*

– Gdybym wcześniej wiedziała... – szepnęła, muskając palcami włoski pokrywające jego pierś. I dalej wędrując palcami w kierunku jego pachy. Jedno ramię miał zarzucone nad głową.

– Gdybyś wcześniej wiedziała...? – zachęcił ją cicho.

Przyłgnęła policzkiem do jego piersi. Czowała stały rytm serca pod twarzą. Dziwnie cenny, intymny dźwięk. Spojrzała na bliźnię, która przypominała, że był człowiekiem narażonym na niebezpieczeństwa, i omal nie zginął.

Spięta się na tę myśl i odrobinę zacieśniła uścisk, pociągając za kilka jego włosków.

– Auu – jęknął cicho.

– Przepraszam.

– Dokończ zdanie.

– Jakie to cudowne...

– Możliwe, że ominęłaś etap dobrze wychowanej dziedziczki i przeszłaś od razu do nierządniczy?

– Niekoniecznie. Wiem z dobrego źródła, że nie każdy mężczyzna jest dobry w tych sprawach.

– Wielu mężczyzn po prostu wspina się na kobietę i działa.

– Cóż za marnowanie tylu cudownych części ciała. Zaśmiała się cicho.

Pocałowała go w pierś. W jego piękny tors.

– Cudownie – mruknął zachęcająco.

Wysunęła język i przesunęła nim po jego mostku, po chwili tę samą trasę przebyły jej dłonie. Przypomniała sobie, jak on ją dotykał i jak rozpałał każdą komórkę jej ciała.

Zadrżał i westchnął. Wsunął palce w jej włosy.

– Cudownie – potwierdził szeptem. – Nie przedstawaj.

Zmierzała do jego płaskiego brzucha, gładząc go delikatnie palcami. Drocząc się z nim. Czekając, tak jak on, na napięcie mięśni, zmianę oddechu, żeby dokładnie wiedzieć, jak go zaspokoić.

Zanurzyła język w jego pępku; smakował solą.

Jego oddech stał się płytszy, jego penis poruszył się i lekko uniósł, gdy stwardniał.

Więc przesunęła tam usta i powoli przeciągnęła językiem po całej jego długości.

– Chryste... – A po chwili przeklął znacznie bardziej ordynarnie.

Okrążyła językiem główkę i wzięła do ust cały penis. I zaczęła ssać.

Jęknął cicho i powędrował dłońmi w dół, aby chwycić jej włosy.

Zdolność dawania mu przyjemności ponownie wzbudziła w niej pożądanie. Zdawało się bezkresne. Nienasycone.

– Jeszcze raz? – przekomarzała się.

– ...jeszcze raz i jeszcze – nakazał.

Zrobiła, co powiedział.

Gdy jego penis zgrubiał, przesuwała ustami i językiem po nim – już w szybszym tempie – i upajała się rozsuwającymi się udami, wyginającymi się w łuk plecami, dłońmi ściskającymi narzutę łóżka i płytkim, chrapliwym oddechem. Odrzucił głowę do tyłu i przekłnął ślinę; przyjemność wydawała się niemal nie do wytrzymania i zwiększyła jej własną rozkosz.

– Tansy... chcę, żebyś mnie ujeżdżała.

Siadła na nim okrakiem, odrzucając burzę włosów na plecy, i spojrzała na niego. Mięśnie jego szyi się napięły, pierś błyszczała w blasku ognia, jego oczy płonęły.

Wspólnie wprowadzili penis do jej wnętrza.

Chwycił jej biodra i zachęcił ją do unoszenia i osuwania ciała, dopóki nie wpadła w rytm. Początkowo obserwowała, jak jego oczy ciemnieją, słuchała, jak chrapliwym głosem, błagalnie woła jej imię. A następnie skupiła się na zaspokajaniu siebie, ponieważ nie miała wyboru: instynkt nieubłagalnie kierował ją tam.

Kołysali się razem, dopóki każde z nich, jedno po drugim, nie zobaczyło spadających gwiazd.

Gdy niebo zaczynało nabierać perłowoszarego koloru, wiedziała, że powinna wrócić do swojego pokoju.

Westchnęła i wysunęła się z jego ramion. Sięgnęła po koszulę nocną i naciągnęła ją przez głowę.

Przez chwilę siedziała, obserwując go, jego ramiona skrzyżowane za głową, zmierzwiłone włosy, senne i ciepłe oczy, wciąż ciężkie od snu, i lekki uśmiech, który pojawił się na jego ustach, gdy na nią spojrział.

Jej serce podskoczyło.

A gdyby tak codziennie po przebudzeniu witał ją taki widok? Czy to naprawdę było nierealne? Z pewnością żaden mężczyzna nie mógł pozostać uwodzicielem przez całe życie. I chyba Ian też nie miałby nic przeciwko budzeniu się w takich okolicznościach.

Ale w jej głowie odezwał się cichy, ostrzegawczy głos. Zabrzmiał jak książkę Falconbridge, co jej nie zaskoczyło. Nic nie powiedziała. Jedynie uśmiechnęła się do Iana.

Uśmiechnął się szerzej, figlarnie, a jej serce zadrżało. Czowała, że się czerwieni. Mimo że była goła i mimo wszystkich rozkosznie grzesznych rzeczy, które robiła tej nocy.

Wreszcie Ian przesunął się i z cichym stęknieniem usiadł na skraju łóżka. Przeciągnął się i ostrożnie wstał.

– Zaczyna boleć, jeśli nie rozciągam jej codziennie rano – powiedział przepaszająco, wskazując na bliznę.

Patrzyła, jak wygina plecy w łuk, unosi ramiona i wychyla się do tyłu, walcząc z grymasem na twarzy. Poczwała, że jej mięśnie napinają się razem z nim.

Nie jest bogiem.

Ani pogańskim bożkiem witającym dzień.

Po prostu jest pięknym, zranionym mężczyzną.



Tansy przytrzymała czepek dłonią, gdy konie Stanhope'a wyciągnęły nogi, żeby wziąć zakręt z zatrważającą szybkością. Doskonale powoził, a kasztanowe konie były piękne; lśniły jak nowe pensy, gdy słońce odbijało się w ich zadach i grzywach.

– Doskonale pan powozi!

– Słucham?

Nie można było przekrzyczeć huku ich kopyt.

– Doskonale pan powozi!

– Podoba się pani mój powóz? – zgadywał.

Poddała się.

– Tak!

Rozpromienił się, pewny jej odpowiedzi.

Ale kiedy się zatrzymali i konie zaczęły kręcić łbami i się niecierpliwić w swoich uprzężach, a upiorna przejażdżka już nie zaprzętała jej myśli, poczuła pewną monotonię.

Był niezwykle pogodną osobą i mówił tylko o sobie, ale robił to tak przyjaźnie, że pozwalała mu na to. Z pewnością dużo się śmiał. Jednak coś w jego śmiechu sprawiało, że czuła się bardziej samotna, niż gdyby stała na wysokim klifie na końcu świata, wykrzykując w pustkę swoje imię, które wracałoby do niej echem.

Z całą pewnością był przekonany, że urodził się – jakże inaczej! – fascynującą osobą, ponieważ po śmierci ojca zostanie księciem, a niekończące się rozmowy o sobie traktował jako wspaniałomyślny gest ze swojej strony.

Choć lepszy radosny typ niż gburowaty, pomyślała.

Pomógł jej zsiąść, uśmiechając się promiennie z zadowolenia spowodowanego tą czynnością, a potem podał jej ramię, by odprowadzić ją do domu.

Gdy zaczęła iść, w sztywnych nogach poczuła zeszłą noc. A gdy Stanhope prowadził ją w kierunku domu, ukradkiem musnęła dłonią otarte i nabrzmiałe od pocałunków wargi. Żar bez ostrzeżenia załął jej skórę. Rankiem, gdy przeglądała się w lustrze, wyglądała niepokojąco, intrygująco, na wskroś rozpustnie: włosy zmierzwione, oczy lśniące, policzki zaczerwienione. Jej piersi wciąż nosiły ślady namiętnych, długich pocałunków. Na wspomnienie Iana kolana się pod nią ugięły.

Nie podobało jej się, że musiała wcześniej się wykąpać i ubrać, żeby być gotową na spotkanie ze Stanhope'em i jego końmi; pragnęła leżeć nieruchomo, gdy dotyk rąk Iana oraz ciepło i zapach jego ciała wciąż unosiły się na jej skórze. Leżeć nieruchomo i rozkoszować się nimi, aż wybrzmiał niczym ostatnia nuta w symfonii. Leżeć nieruchomo i spróbować zrozumieć, co to dla niej znaczy.

Podczas gdy zeszła noc wydawała się realna, dzisiejsza irytująco radosna, niebezpieczna przejażdżka z dziedzicem jawiła się jej snem.

– Muszę przyznać, panno Danforth, że zawsze będę hołubił list, który otrzymałem od kapitana Eversea. Może go nawet oprawię.

W takim razie mają coś wspólnego, pomyślała. Oboje chcieli oprawić wiadomości od kapitana Eversea.

– Otrzymał pan list od kapitana Eversea? Którego kapitana Eversea?

– Tego, który wkrótce wyrusza w morze. W ciągu miesiąca, jak mniemam. Od kapitana Iana Eversea.

Zaskoczenie natychmiast odebrało jej mowę.

– Wyrusza w morze? – wykszusiła. Nagle wstążki czepek wydały się jej za ciasno związane.

– O tak, dokoła świata! W podróż dorównującą podróżom Milesa Redmonda, z tego co słyszałem. Może opuścić nas na lata. A jeśli szczęście mu dopisze, kani-bale go nie zjedzą. Wygląda mi na nieco żylastego, ha, ha! Ani odrobiny tłuszczu.

Tansy nie czuła rąk ani stóp.

– Na lata? – powiedziała cicho.

– Nie można poznać Afryki, Chin i Indii w krótszym czasie – powiedział. – Więc zapewne na lata.

– C-co napisał w liście?

Dzwoniła zębami, jakby ktoś wrzucił jej sopel lodu za suknię.

– Zasugerował, że mogę zechcieć przyspieszyć swoją wizytę w Sussex, aby poznać „amerykańskie wciele-nie cnót”, jako że ustawiają się do pani długie kolejki, a rywale strzelają do siebie z łuku. Nie jest człowiekiem wylewnym, więc wiedziałem, że musi być pani wyjątkowa. Ian doskonale potrafi ocenić świat, od koni, przez strzelanie, po kobiety.

Miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Potknęła się.

Lord Stanhope wyciągnął ramię i umiejętnie uratował ją od upadku.

– Pantofelki nie są najpraktyczniejszym wyborem na spacer – powiedział czule.

Zaczęło jej dzwonić w uszach. Miała wrażenie, że jego słowa dochodzą do niej z oddali. Z Afryki, a może nawet z Chin.

– Wezwał pana do Sussex? Dla mnie?

Stanhope wyglądał teraz na zmartwionego.

– Może nie powinienem był tego pani mówić. Po prostu wydawało mi się to szczęśliwym trafem i poczułem, iż przyszła pora na wyrażenie wdzięczności, skoro zachęcił mnie, żebym tu przyjechał.

– Wezwał pana do Sussex, żeby mógł mnie pan poznać?

Brzmiała jak obłąkana papuga. Nie przejmowała się tym. Była w potężnym szoku.

– Pragnę mu podziękować. Czyż nie spędzamy miło czasu? Nie sądzę, żeby miał coś przeciwko.

– Spędzamy miło czas – powtórzyła po chwili cicho jak zepsuty zegar z kukułką.

Dziś wbił ostatni gwóźdź w dach plebanii. Gdy skończyli podziwiać swoją pracę, stojąc przed budynkiem z rękami na biodrach, Ian zabrał grupę pracowników i Adama do pubu, żeby pogratulować wszystkim wspólnie.

Był zaskoczony, że młodzieniec imieniem James, który pracował w stajniach rodu Eversea, sprawnie obsługuje gości.

– Kapitanie Eversea, co mogę panu podać?

– James! Co za miła niespodzianka spotkać cię tu. Pomagasz, dopóki Polly nie wyleczy kostki?

– Tak, psze pana, i to pańskiej panie Danforth musimy podziękować.

Jego serce się zatrzymało. Walczył, żeby nie przybrać miny winowajcy.

– Yy... mojej panie Danforth?

– Panna Danforth, która mieszka z rodziną Eversea – powiedział z uśmiechem. – Ta, która wygrała puchar zawodów strzeleckich Sussex.

– Ach, ta panna Danforth. Tak. Miło z jej strony.

Na razie Polly stała za barem, gdzie łatwiej było jej flirtować z wszystkimi klientami naraz. Ian pomyślał, że Ned lada chwila będzie miał na głowie jej zalotników.

Gdy robotnicy, łącznie z Seamusem, Henrym i Adamem, jeden po drugim wychodzili z pubu, aby wrócić do swoich obowiązków, Ian został. Zamówił kolejne piwo, ale sączył je wolniej niż zazwyczaj.

Gdy rankiem obserwował, jak Tansy wymyka się z pokoju, musiał powstrzymać się, żeby nie spróbować jej zatrzymać. Niczego bardziej nie pragnął niż ująć ją w ramiona, wtulić się w nią i leżeć cicho na łóżku, odmierzając upływające godziny jedynie na podstawie długości promienia słonecznego, który wpadał przez zasłony, lub na podstawie koloru cieni w pokoju. Podziwiałiby, jak słońce wędruje po niebie, kochając się i śpiąc, i kochając się, i śpiąc, i rozmawiając, śmiejąc się i kochając się, i śpiąc.

Dziś świat zdawał się... przestronniejszy... i miłszy, bardziej kolorowy i radośniejszy. Znał wpływ cudownego seksu na nastrój człowieka, ale dziś było niby tak samo jak zawsze, a jednak inaczej. Czuł się całkowicie odmieniony. Jakby latami siedział w ciemnym pokoju, do którego ktoś mimochodem wszedł i zapalił lampę.

Tylko jedna rzecz mogłaby sprawić, że dzień byłby jeszcze lepszy, pomyślał. Gdyby ona siedziała teraz naprzeciw.

Niepokojąca myśl.

Pańska panna Danforth.

Moja. Tylko moja. Zaczynał rozumieć urok tego zamka i dlaczego Colin i Chase wymachiwali nim, jakby był medalem, którym ich odznaczono.

Gdy słońce zeszło już nisko, uświadomił sobie, że zwleka z powrotem do domu, ponieważ czuł jakby... nieśmiałość. Wzdrygnął się na to słowo. Z pewnością niewłaściwe. No dobrze, w takim razie: czuł się niepewnie. A jeszcze nie tak dawno był wszystkiego pewien. Nic nie trzymało go w Sussex i czas wrócić do Londynu, żeby skończyć przygotowania do podróży.

Po prostu nie wiedział, co się teraz wydarzy. W tym krępującym, pełnym napięcia okresie między dniem dzisiejszym a chwilą, kiedy jego statek odbije od wybrzeża.

Wiedział jedynie, że pragnie ją zobaczyć.

I zastanawiał się, co wtedy wyczyta na jej twarzy. Radość? Pożądanie? Postanowienie, aby nigdy nie znaleźć się z nim sam na sam? Czy będzie żałowała tego, co zaszło? Czy znowu będą się kochać?

Na tę myśl spiął mięśnie brzucha. Oczywiście nie byłoby to mądre. Ale prawa fizyki działały dla niego odwrotnie. Im dalej odsuwał myśl o kochaniu się z nią, tym mocniej tego pragnął.

Wstał gwałtownie i wrócił do domu.

Na szczęście do domu, kiedy dzień przechodził w noc.

Jego serce zaczęło szybciej bić, gdy zbliżał się do swojego pokoju. Spojrzał na starannie posłane łóżko.

Potem wziął głęboki wdech, powoli wypuścił powietrze i niemal z czułością odsunął zasłonę od okna. Jakby odgarniał włosy z jej twarzy, żeby ją pocałować.

Zmierzch zalał horyzont czerwienią.

Stała na balkonie, trzymając idealnie skręconego papierosa i próbując na próżno go zapalić.

Zmarszczył czoło.

Mógłby się założyć, że nigdy w życiu nie paliła papierosa. Choć z pewnością skręcała niejednego.

– Nie palisz – zawołał łagodnie.

Zastygła w bezruchu. Ale nie odwróciła się do niego.

Minęła chwila, zanim się odezwała.

– Skąd wiesz?

Powiedziała to z goryczą, co go zaskoczyło.

Nie chciała spojrzeć mu w oczy. Lecz widział, że jej ręce zaczęły drżeć i omal nie upuściła papierosa.

Jasna cholera. Coś było nie tak.

Wrócił do siebie, a potem otworzył jej drzwi, przeszedł przez pokój i wszedł na balkon.

– Mogę? – spytał łagodnie.

Wzruszyła gniewnie jednym ramieniem.

Wyjął papierosa z jej palców.

Zapalił go krzemieniem.

Gryzący dym zaczął się z niego unosić i Ian zakaszlał. Tytoń jej ojca.

Też zakaszlała.

Nie miała zamiaru palić. Oddał jej papierosa. Chwycała go między palce, jakby był dzidą, którą miała zamier w niego wbić.

Ani razu nie spojrzała mu prosto w oczy, nie odezwała się słowem. Wyglądała na niedostępną i zimną, jak zamknięty na klucz pokój.

Po chwili spojrzała w zamyśleniu na gwiazdy, jakby szukała pocieszenia, a jego serce lekko drgnęło. Albo podskoczyło. Nie był pewien, ponieważ ból był słodki.

Czuł, że tymi drobnymi gestami zawsze otwierała jego serce. Zawsze. Jego serce zawsze będzie jak skutny lodem staw, który łamie się pod wpływem odwilży.

– Kiedy miałeś zamiar mi powiedzieć? – Wreszcie przemówiła zmęczonym głosem.

– Powiedzieć ci... jak zapalać papierosa?

– Że wyjeżdżasz. Chyba na dobre. Za dwa tygodnie, prawda? A może miałeś zamiar zniknąć i liczyć, że będę traktowała cię jak wytwór wyobraźni?

Do diabła!

– Ach. Sądziłem, że wiesz o moim wyjeździe.

– Nie – powiedziała beznamiętnie.

– Tak. Wkrótce wypływam, Tansy – powiedział łagodnie. – Mówiłem, że będzie to podróż dookoła świata.

– Mówiłeś – powiedziała z lekką drwiną. – Tylko zapomniałeś powiedzieć kiedy.

Cisza.

Popiół zbierał się na końcu papierosa, spadając na jej palce.

– Zamierzasz palić, czy...

Gwałtownie zgasiła papierosa i obróciła się do Iana.

– I napisałeś do Stanhope'a, żeby pośpieszył do Sussex, aby mnie poznać. Rozwiązałeś problem, prawda? Ładnie się mnie pozbyłeś. Pomachać ogromnym majątkiem przed oczami panny Danforth, żeby odwrócić jej uwagę od niedorzecznego uczucia, jakim cię darzy. Trzymajcie ją z dala od Landsdowne'a, bo jest tak płytka i tak zmienna, że każdy może jej zawrócić w głowie. Masz swoją dziedziczkę, Stanhope, żeby nie weszła w drogę nikomu, na kim mi naprawdę zależy.



W intensywności jej złości i cierpienia odnalazł niezwykle spokojny i wyjątkową jasność. Dzięki temu był dobrym żołnierzem i nigdy nie przestał nim być.

– Nie ująłbym tego, oczywiście, w tak wielu słowach. I wiesz, że tak nie myślę.

Jego spokój zdawał się podsycać jej złość.

– Czyżby? W tak razie, co myślisz, Ianie?

Milczał. Nie mógł wybrać żadnych słów spośród tych mu znanych, ponieważ żadne nie oddawały tego, co czuł. Oczywiście jedno słowo, aby załatwić sprawę. Ale nie miał zamiaru powiedzieć go teraz. Ponieważ miał ją stracić i nie sądził, żeby mu uwierzyła. Poza tym i tak wypływa, więc co dobrego by im to słowo przyniosło?

Prychnęła cicho, a on stał i milczał.

– Co zrobiłeś księciu Falconbridge? – spytała gorzko. – Wiem, że coś się wydarzyło. Nie lubi cię.

Ach. Więc jej celem na dzisiejszy wieczór było zranienie go na najwięcej możliwych sposobów.

– Tak właśnie powiedział? – W ogóle go to nie zaskoczyło, ale wątpił, by powściągliwy książe ujął to tak bezpośrednio.

– Sugerował, a ja nie jestem głupia, Ianie. Nawiazanie do „wspinania się” w odniesieniu do ciebie może wiele oznaczać. Wątpię, czy coś dobrego.

Jej gorycz była namacalna.

Nie miał prawa się złościć. Poczł, jak ogarnia go coraz większy spokój. Jakby znalazł się w oku cyklonu.

– Co zrobiłem księciu? – powiedział z zadumą. – No dobrze. Skoro nigdy cię nie okłamałem, Tansy, i skoro pytasz... oto, co zrobiłem księciu: próbowałem uwieść jego narzeczoną. Kobieta, z którą miał się ożenić, zanim poznał moją siostrę. Szczerze mówiąc, była dosyć chętna.

Prawdę powiedziawszy, od jakiegoś czasu planowaliśmy schadzkę. Wspiąłem się po drzewie do okna jej pokoju, gdzie księżę czekał na mnie w ciemności, o czym ona nie wiedziała. Ledwie znaleźliśmy się w łóżku i nawet jej jeszcze nie dotknąłem, kiedy... on... Dość powiedzieć, że poprosił, aby wyszedł przez okno, celując we mnie z broni. Byłem nagi.

Mówił bez ogródek, bez krzty współczucia, delikatności czy wyrzutów sumienia. Sama spytała, więc ma. Niech stawi czoło prawdzie.

Wiedziała o nim więcej niż osoby, które znał przez całe życie.

Tansy milczała, słuchając go.

Zastygła w bezruchu.

Nie słyszał jej oddechu.

Widział, jak zasłony unosiły się lekko przy jej oknie, które było uchylone na cal.

Wydawało się, że okna ogrywają istotną rolę w jego życiu.

– Czy... wiedziałeś, że była jego narzeczoną?

Jej głos był ochrypły. Jakby nie mogła mówić w związku z jego wyznaniem. Była przerażona.

– Tak.

Złowieszcza, lodowata cisza.

– Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś?

Nagle wściekłość doszła do głosu.

– Ponieważ była piękna. Ponieważ mnie chciała. Ponieważ ja jej chciałem. To mam powiedzieć, Tansy? Ponieważ chodziły słuchy, że księżę jest niebezpieczny, a ja lubię ryzyko. Mam zacytować, co mówiłaś o ryzyku, panno Danforth? Mam przypomnieć, że weszłaś przez

moje okno, że pozwoliłaś mi położyć się na plecach na moim łóżku, zdjęć z siebie koszulę nocną, że twoje ręce wsunęły się pod moją koszulę, że...

Odskoczyła od niego, jakby przysunął do jej twarzy pochodnię.

– Przestań. Nie wiesz, Ianie, że... księżę to człowiek? Stracił dziecko. Stracił żonę...

– Nie wiesz, że chodzą słuchy, iż zabił swoją żonę? Plotki nie biorą się z niczego. Nikogo się o takie rzeczy nie podejrzewa, chyba że ludzie mają ku temu powód. On nie jest święty, Tansy,

– Co za wierutne brednie, a ty dobrze o tym wiesz! Oczywiście, że nie jest święty! Kto jest? Z pewnością nie ty. To tylko wymówka i o tym też dobrze wiesz. Liczył na powtórne małżeństwo i miał nadzieję odbudować swoje życie, a ty mu to odebrałaś. Nic dziwnego, że według niego jesteś złamany życiem. Odebrałaś mu to, bo mogłaś. Odebrałaś mu to, bo po prostu tego chciałaś.

Złamany życiem? Chyba taki był.

Zaśmiał się krótko.

– To nie takie proste, Tansy. Życie nie jest czarno-białe. A jeśli weźmiesz głęboki oddech i zastanowisz się nad tym, będziesz wiedziała, że mam rację. Wiedziałaś, kim jestem, zanim do mnie przyszałaś. Nigdy cię nie okłamałem. Nigdy. I nigdy nic ci nie obiecywałem.

Ale Tansy nie była w nastroju do słuchania. Była w nastroju do znienawidzenia go i potrzebowała nienawiści, aby zdystansować się od niego. Jak łodzi, do której mogłaby wskoczyć i odpłynąć. Jakby mogło to choć trochę zmniejszyć ból.

– Zawsze dostajesz to, czego chcesz, prawda, Ianie? Chciałaś mnie i najprawdopodobniej zrobiłaś dokładnie

to, co musiałeś, żeby mnie dostać. Czy to dzięki ryzyku byłam tak pociągająca? A może znów chciałeś przynieść hańbę księciu?

Milczał. Na tyle długo, aby jej słowa wybrzmiały. Na tyle długo, aby dotarło do niej, co powiedziała i odrobinę się zawstydzila. Wiedziała, że nie było to prawdą. Ciskała słowami. Miała nadzieję, że kilka z nich go dosięgło. Chciała go zranic.

Udało jej się.

Lecz Ian umiał znieść ból lepiej niż ona.

– Nigdy nie chciałem nikogo okryć hańbą – powiedział cicho.

Jej oddech przyspieszył. Gwałtownie pokręciła głową.

– Spójrz mi w oczy i powiedz, że jesteś dumna ze wszystkich swoich czynów, Tansy. Spójrz mi w oczy i powiedz, że myślałaś o sercach, które możesz skraść lub złamać flirtowaniem i schlebianiem. Spójrz mi w oczy i powiedz, że dokładnie przemyślałaś konsekwencje każdego ze swoich poczynań, zwłaszcza tych z zeszłej nocy.

Nie spojrziała na niego.

– Tak. Niech cię diabli! – powiedziała łamiącym się głosem. Była wściekła. – Przemyślałam wczorajszą noc. A ty?

– Ja też – odparł szorstko.

Przez drżenie jej głosu z trudem panował nad sobą.

Wpatrywali się w siebie z odległości zaledwie kilkudziesięciu cali, choć równie dobrze mógł ich dzielić ocean.

– Tansy. – Ostrożnie wysunął rękę. Desperacko pragnął przygarnąć ją do siebie.

– Proszę, nie dotykaj mnie.

Opuścił rękę.

– Zawsze dostajesz to, czego chcesz, prawda, Ianie? Chciałeś mnie i najprawdopodobniej zrobiłeś dokładnie to, co musiałeś, żeby mnie dostać. Zawsze chodzi o zdobywanie, prawda? Broń Boże, żebyś ty coś dał. Czy to dzięki ryzyku byłam tak pociągająca? A może znów chciałeś przynieść hańbę księciu?

Nie mógł uwierzyć, że naprawdę tak myślała. Chciała po prostu dać upust swojej wściekłości.

Znów czekał i choć był pewien, że nic, co powiedziała, nie miało większego znaczenia w tej chwili, starannie dobrał słowa. Może je wspomni, kiedy złość jej przejdzie.

– Powiem ci kilka rzeczy, które na pewno są prawdą. Pragnąłem cię, Tansy. Pragnę cię teraz. Będę cię pragnął aż do śmierci. Nigdy nie obiecywałem ani nie sugerowałem nic innego. Też mnie pragnęłaś. Księżę nigdy nie pozwoli mi cię poślubić. A więc wypływam.

Czuł, że każde jego słowo było dla niej niczym cios. I tak je wypowiadał. Niezbite fakty, niespójne ze sobą.

Stała w kompletnym bezruchu, jej twarz była osobliwie nieruchoma, a jednocześnie dziwnie miękka, jakby wykonana z roztopiającego się wosku.

– A ty... zapewne poślubisz przyszonego księcia. Znajdź w tym pocieszenie, panno Danforth. A przy okazji... nie musisz mi za to dziękować.

Też umiał zdobyć się na gorzką odpowiedź.

Odwróciła od niego głowę. Wpatrywała się w kierunku Ameryki lub Lilymont, lub innego miejsca, które było dla niej jak dom. Miejsca, w którym go nie było.

I jak przed wejściem na jej balkon nie czuł się złamany życiem, to gdy wyszedł, poczuł, co to oznacza.

Jak zwykle nie trzeba było długo czekać, aby nowiny rozniosły się po Sussex: lord Stanhope z dużą determinacją zalecał się do panny Titanii Danforth. Zaczęto obstawiać zakłady, jak długo mu zajmie uczynienie jej swoją żoną. Jeśli sposób powożenia końmi miałby wskazywać na styl zalotów, ci, którzy postawili na „najwyżej miesiąc”, mogli wygrać.

Powszechnie wiedziano, że rywale, liczeni w zastępach, nie mieli szans, i że wysyłanie jej kwiatów było donkiszotowskim zajęciem, mimo to nie ustawali w wysiłku. W końcu nigdy nic nie wiadomo. Tę samą filozofię przyjęli liczni wielbicieli Olivii Eversea. Kwiaty były inwestycją. Najlepiej trzymać rękę na pulsie. Los bywa zmienny jak wiatr.

Zatem kwiaty wciąż wypełniały dom Eversea.

Co oznaczało, że rodzina sporo zaoszczędziła na dekoracjach do wielkiego balu.

Tansy stała z Annie przed swoją szafą i uważnie przypatrywała się rzędowi sukienek, jakby była królową i miała wybrać swoje damy dworu.

Spojrzenie służącej było promienne i rozkojarzone. Wreszcie spojrzała na Tansy i wyrzuciła z siebie:

– Muszę coś pani powiedzieć, panno Danforth. Za tydzień bierzemy ślub. Ja i mój James!

– Och, Annie! Jaka wspaniała nowina!

Odwróciła się i lekko ścisnęła dziewczynę, po czym obie się zarumieniły.

– To wszystko dzięki pieniądzom z obsługiwanego stolików w pubie Pod Prosiakiem i Ostem. Ned Hawthorne uważa, że James doskonale radzi sobie z klientami. Nie wiem, jak się pani odwdzięczymy, psze pani, za to, że go pani poleciła.

– Miło to słyszeć. Podobno Titania to wyborne drugie imię dla dziewczynek – droczyła się.

Annie zaczerwieniła się na te słowa i na chwilę odebrało jej mowę.

– Powinniśmy dzisiaj panią ubrać, jakby już była pani księżną, psze pani – powiedziała wreszcie.

Titania zastygła w bezruchu.

No, ale przecież rodzina Eversea miała plotkowanie we krwi, a służący wiedzieli o intencjach Stanhope'a.

Od razu wyprostowała ramiona, jakby zaloty były pokrytą ołowiem peleryną.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni prawie w ogóle nie siliła się, aby kogokolwiek oczarować, ale ani Stanhope, ani nikt inny tego nie zauważył. Rozmawiał radośnie podczas spaceru, brawurowo powoził lub jechał konno przy niej.

W tym czasie w ogóle nie widziała Iana.

Domyślała się, że był zajęty przygotowaniami do swojej podróży dookoła świata. Ze wszystkich sił próbowała spojrzeć na sprawę filozoficznie i dojrzałe, myśleć o spędzonym z nim czasie jako o olśniewającym, lecz przelotnym pięknie: wschodzie czy zachodzie słońca lub czymś podobnym. Gdy nie odnalazła w tym ukojenia, starała się rozpaść intensywną złość, jaką skierowała na niego tamtej nocy na balkonie. Lecz to też jej nie pomogło, ponieważ tamten ogień już zgasł, bo on miał absolutną rację. Niedorzeczne, aby złościła się

na niego za coś (co prawda głupiego i samolubnego), co zrobił, zanim ją poznał. Aby złościła się na niego za to, kim był. Rozumiała, co nim kierowało, może lepiej niż ktokolwiek inny. Już zdążyła mu wybaczyć.

I nie uważała, aby wciąż był tamtym człowiekiem.

Wydawało się, że pozostało jej tylko cierpieć w milczeniu, dopóty, dopóki... hm, dopóki nie przestanie. Zapewne kiedyś przestanie cierpieć, a przynajmniej znajdzie jakiś skuteczny sposób, aby poradzić sobie z tym, co na razie zdawało się jaskrawo niesprawiedliwe i prawie nie do wytrzymania.

Po prostu będą musieli dołączyć do innych znanych nieszczęśliwych kochanków, pomyślała. Tristan i Izolda. Romeo i Julia.

Olivia Eversea i Lyon Redmond.

W książkach brzmiało to romantycznie.

W rzeczywistości było koszmarem.

Poza tym nie powiedział, że ją kocha. „Będę cię pragnął aż do śmierci”. Tak, to powiedział, ale ani słowa o miłości.

Czy byłoby lepiej, gdyby to powiedział?

Tak, stwierdziła. Byłoby. Nie była pewna, czy ją kocha, ani czy zdałby sobie sprawę, że ją kocha, i właśnie to dodawało jej siły i pomogło wytrwać dwa tygodnie zalotów Stanhope'a. To dzięki temu wstawała z łóżka każdego ranka od czasu tamtej nocy na balkonie, i to sprawiało, że myśl o życiu bez niego była odrobinę znośniejsza.

Właściwie wyjazd Iana z kraju był łaską od losu. Ponieważ poślubienie kogoś innego, kiedy znajdowałiby się na tym samym kontynencie, oddychaliby tym



samym powietrzem, widzieli te same gwiazdy, wydało się... niedorzeczne. Niezgodne z prawem natury.

Z drugiej strony myśl, że nie wyszłaby dobrze za męża, wydawała jej się zdradą nie tylko życzeń rodziców, ale też księcia i jej samej. Jej rodzice nie pragnęli niczego bardziej niż jej szczęścia i bezpieczeństwa. Żeby miała dom, rodzinę i coś stałego w życiu.

I ona, na Boga, też tego pragnęła.

Ale dziś... najprawdopodobniej będzie musiała go dziś zobaczyć. Przynajmniej kątem oka.

Wyrwała się z zadumy i spojrzała na Annie, która obserwowała ją z niepokojącym współczuciem, ale ono natychmiast zniknęło.

– Annie, co byś wybrała, gdybyś miała po raz ostatni zobaczyć mężczyznę i chciałabyś, żeby cię nigdy nie zapomniał? I żeby każda kobieta, jaką spotka, bładła w porównaniu ze wspomnieniem o tobie?

Spojrzenie Annie uświadomiło Tansy, że służący byli bardzo spostrzegawczy. Wiedzieli, kto i gdzie spał, i jak wygniecione rano były łóżka. A lokaje, który niezauważalnie poruszali się po domu, musieli dostrzec ich spojrzenia. Musieli wiedzieć.

Współczucie wróciło na twarz Annie. Ona poślubi swoją miłość.

Pod wpływem impulsu służąca ścisnęła dłoń Tansy.

– Nieważne, co pani założy – szepnęła. – On nigdy pani nie zapomni.

Ian nie chciał iść na bal.

Nie chciał patrzeć, jak Tansy tańczy z innymi mężczyznami, i nie chciał tańczyć z innymi kobietami, ale nie był tchórzem, generalnie miał nienaganne maniere

i poczucie obowiązku, więc ogolił się, przywdział elegancki strój i poszedł do sali balowej. Jego matka na to nalegała; skoro wyruszał w podróż dookoła świata, chciała napatrzeć się na niego, dopóki mogła. Nigdy nie umiał odmówić matce.

Więc zdobywał się na uśmiechy, ukłony i banalne rozmowy z osobami, które go mijały. Znał gorsze sposoby spędzania wieczorów, więc i ten przetrwał. Po prostu będzie przechadzał się po sali balowej, uśmiechając się i kiwając głową. Dzięki temu, gdyby ktoś spytał: „Widzieliście Iana?”, wiele osób stwierdziłoby, że należycie uczestniczył w balu. Był doskonałym strategiem.

A jutro będzie mógł wyjechać do Londynu. Odległość się przyda. Nie wyeliminuje bólu jak opium, ale z pewnością pomoże go stłumić.

Sala pękała w szwach. Wszyscy, których znał, przybyli tłumnie, jak zawsze wystrojeni. W końcu wszyscy chcieli być obecni, skoro plotka niosła, że podopieczna księcia, panna Titania Danforth, która wzburzyła spokojne wody socjety Sussex, zaręczy się z kimś, kto również zostanie księciem.

Co za cudowne zrządzenie losu, niektórzy wzdychali. Z pewnością przeznaczenie.

Ian jeszcze jej nie widział.

Prawdę mówiąc, nie widział jej od dwóch tygodni.

A dokładniej od dwunastu dni, czterech godzin, trzydziestu dwóch minut i czterdziestu jeden sekund.

Od tamtego wieczora nie spojrzął na swoją mapę, ale rzucił ją w kąt, a potem zaczął oddawać się tym szczególnym obliczeniom.

W tym czasie wrócił do Londynu i zaczął kupować zapasy oraz zamawiać ubrania nadające się do podróży

do Afryki. W tym czasie, jak się domyślał, Tansy oddawała się przejażdżkom, piknikom, spacerom i podobnym rozrywkom. Żywił samolubną nadzieję, że się nudziła i że ciągle o nim myślała, ponieważ jeśli miała o nim zapomnieć, będzie miała na to wystarczająco dużo czasu po tym, jak wypłynie w morze.

A jednocześnie miał nadzieję – jego bezinteresowność go zaskoczyła – że nie nudziła się za bardzo, ponieważ sama myśl, że może być nieszczęśliwa, że jej blask osłabł z jakiegokolwiek powodu, napełniła go czymś podobnym do paniki. Jakby jego własne życie było zagrożone.

– Na kogo, u diabła, patrzysz tak gniewnie?

Colin, jeden z krążących po sali gości, przystanął przed Ianem i wpatrywał się w niego.

– Nie patrzyłem gniewnie – zaprzeczył instynktownie Ian.

– Ośmielę się nie zgodzić. Niezłe przeraziłeś stojące naprzeciw ciebie młode damy.

Ian zamrugał ze zdziwienia. Naprzeciw niego stały młode damy, to prawda. A każda z nich miała szeroko otwarte oczy i blade oblicze. No cóż...

– Ach. Chyba muszę oddalić się do toalety – powiedział bezceremonialnie do Colina, który spojrział na niego ze zrozumieniem. Ian ruszył korytarzem tam, gdzie kiedyś przerwał sierżantowi Suttonowi tłumaczenie Tansy łączącej ich duchowej więzi. Nie szedł w kierunku toalety. Chciał po prostu znaleźć się jak najdalej od tłumy.

I wtedy ktoś przed nim stanął.

Zastygł w bezruchu.

Piękna brunetka o wydatnej dolnej wardze. Z zaniepokojeniem zauważył, że minęła chwila, zanim ją poznał.

Prawie o niej zapomniał.

A teraz nie miał najmniejszego powodu, aby jej unikać.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny, lady Carstairs, że nie odpisałem. Niestety zatrzymały mnie interesy w Sussex i Londynie. Ale jest mi niezmiernie miło panią tu widzieć.

– Powinam spróbować panu przebaczyć. Czasami oczekiwanie wzmagą apetyt.

Oczekiwanie?

Musiała to powiedzieć.

Jakby ktoś wbił mu strzałę w brzuch.

Znieruchomiał na chwilę.

– Czy coś się stało, kapitanie Eversea? – Położyła dłoń na jego ramieniu.

– Nie, w żadnym wypadku. – Zdobył się na uśmiech. Spojrzał na rękę spoczywającą na jego ramieniu i kusił go, aby ją strącić. Była to smukła, zadbana i elegancka dłoń, ale w niewytłumaczalny sposób przypominała mu pająka. – Może mi pani powie, gdzie są pani pokoje?

– Drugie piętro. Trzecie drzwi.

Usłyszeli stukot kroków, roznoszący się po korytarzu.

Kobiece kroki.

Lady Carstairs odsunęła się, muskając palcami jego ramię.

– Do zobaczenia – mruknęła i zniknęła z gracją osoby nawykłej do znikania.

Ian gwałtownie odwrócił się w kierunku źródła dźwięku.

I zastygł w bezruchu.

Tansy.

Obserwowała go.

Jej twarz była blada.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie. Przyjemność z patrzenia na siebie, przebywania w swojej obecności naruszały niewypowiedziane słowa.

Nie miała prawa czuć się zdradzona.

Mimo to widać było, że tak się czuła.

W końcu przemówił.

– Co mogę dla pani zrobić, panno Danforth? – spytał cicho. Szorstko.

Dziwnie się poczuł. Jakby mówił swoim ojczystym językiem po raz pierwszy od dłuższego czasu. Jakby z wszystkimi rozmawiał w innym języku.

Przez dwanaście dni, cztery godziny, trzydzieści dwie minuty i czterdzieści jeden sekund.

Poczuł ulgę, będąc blisko niej. Nagle grawitacja przestała być tak przytłaczająca.

Dłuższą chwilę milczała. Wyraźnie zbierała się na odwagę. Jakie to do niej niepodobne, że musiała się zbierać na odwagę.

– Zamierzasz się z nią kochać?

O mało nie przeklął. Do diabła z nią i jej zamiłowaniem do zastawiania na niego pułapek pytaniami.

Zrobiłby prawie wszystko, żeby nie patrzyła tak na niego, a mimo to... Mimo to chciał wykrzyknąć, żeby nie była naiwna. Życie było, jakie było.

– Zamierzasz poślubić przyszłego księcia?

Głosy gości roznosiły się echem niczym echa snu. Jeden z nich zapewne należał do przyszłego księcia. Młodego mężczyzny z okazałym majątkiem, wpływami, tytułem. Młodego mężczyzny, który z pewnością nigdy nie przyprawił rogów księciu Falconbridge.

– Prawdopodobnie tak – powiedziała drżącym głosem. Lekko udręczonym. Obronnym.

I wściekłym.

Zdecydowanie skinął głową.

A potem wzruszył ramionami.

W końcu mieli to za sobą.

Zaległa absurdalna cisza.

A lady Carstairs czekała na niego w swoim pokoju. Zapewne za dziesięć minut zacznie niecierpliwie stukać swoim satynowym pantofelkiem. Wyobraził sobie jej kształtne ciało pod swoimi dłońmi. Wyobraził sobie jęki i westchnięcia, które umiał wywoływać. Owinąłby jej udo wokół swojej talii i zdecydowanym ruchem przysunął ją do ściany. Zanurzając się w jej cieple, mógłby oddać się cudownej rozkoszy i zapomnieniu. Znaleźć się w tymczasowej pustce.

Tansy nie poruszyła się ani nie odezwała.

Podszedł ku niej tak gwałtownie, że zadrżała.

– Czego ode mnie chcesz, Tansy? – Jego głos był niski, wściekły, zniecierpliwiony.

Ścisnęła ręce wokół piersi. Spojrzał na jej małe, białe piąstki i na bladą twarz. Dwa ogniste punkty pojawiły się na jej policzkach.

Pragnął jej dotknąć, aby złagodzić rumieńce.

Nie odważył się.

Czekał.

I czekał.

A głos, który wyszedł z jej ust, był ledwo słyszalnym szeptem.

– Nie chcę, żebyś się z nią kochał.

Wziął gwałtowny oddech. Jej słowa były dla niego niczym cios. Taki, który zabija.

Jak strzała, jaką Kupidyn godzi w swoje ofiary.

Mógł powiedzieć tak wiele. Mógł wskazać na hipokryzję, bezsens, uczciwość i słuszność. Mógł jej zwrócić uwagę, że choć w wielu aspektach była mądra, pozostawała naiwna w innych; że mężczyźni mają potrzeby i że nie ma prawa, żadnego prawa, tak na niego patrzeć. Że wszystko, co o nim powiedziała, było prawdą, i że doskonale o tym wie. Mógł stwierdzić, że to ona go do tego doprowadziła. Nie miała żadnego prawa.

Kiepsko się składa, Tansy.

To była najbardziej litościwa rzecz, jaką mógł powiedzieć. Pozwoliłaby im się rozejść w swoje strony, co było słuszne w tej sytuacji. Pozwoliłaby jej nim gardzić, a potem jeszcze bardziej, i wreszcie o nim zapomnieć.

To właśnie miał zamiar powiedzieć.

– W takim razie nie zrobię tego – powiedział jednak. Bardzo łagodnie. Co było równoznaczne z przyznaniem się do wszystkiego.

Już nie wiedział, kim jest.

Wiedział jedynie, że pragnie, aby dostała wszystko, czego chciała. Bez względu na to, czego chciała. Bez względu na koszt.

I przypięcętowawszy swój los, obrócił się na pięcie i zostawił ją, zanim jej piękna twarz rozpromieniła się niemal niebiańskim światłem, ponieważ tego widoku też by nie zniósł.

Podczas przerwy między tańcami Stanhope podszedł do niego. Na przystojnej młodej twarzy rysowała się

szczerłość i radość. Ma arogancki podbródek, stwierdził bez krzty wyrozumiałości Ian. Coś w tym, jak siedział, nienagannie i prosto, niezwykle go irytowało.

– Chciałem ci podziękować, Eversea, za twój list informujący mnie o panie Danforth.

– Nie ma za co – powiedział szorstko Ian.

– Och, proszę, nie pozbawiaj mnie przyjemności wyrażenia swojej wdzięczności – odparł wspaniało-myślnie, wyraźnie zadowolony z doboru słów.

– Będziesz księciem. Jakże mógłbym pozbawić cię czegokolwiek?

Stanhope przez chwilę nie był pewien, jak zareagować, ale potem skinął głową, kompletnie nie zauważając ironii. Z drugiej strony ironia jest obroną tych, którzy przynajmniej czasami doznają rozczarowania, a z pewnością młody lord nie doświadczył niczego podobnego.

– Sądzę, że moje zaloty do panny Danforth dobrze idą. Nawet bardzo dobrze.

– Ach, tak? – Ian zazgrzytał zębami.

– Nic trudnego, staruszk. Naprawdę nie musiałem nic robić. – Pstryknął palcami. – Kilka bukietów, kilka komplementów o jej oczach, kilka przejażdżek moim starym powozem i jest moja! To prosta dziewczyna, naprawdę.

– Aż tak łatwo poszło?

– Oczywiście, jest jeszcze młoda, a jej osobowość cały czas się kształtuje. Choć jest pogodna i miła. Podejrzewam, że można ją uformować.

– Ach, więc jest aż tak uległa? – Nie był świadomy, że jego głos z każdym kolejnym zdaniem staje się donośniejszy. Nie lada wyczyn, gdy się mówi przez zaciśnięte zęby.



– Ależ oczywiście – powiedział Stanhope poważnie, jakby się zwierając. – Och, ale nie jest idealna. Nieco próżna i niepoważna. I sądzę, że trochę mdła, trochę płytka. Ale to wina młodości. Kilkoro dzieci to zmieni. Ale, dobry Boży, wygląda idealnie.

Na chwilę wściekłość odebrała Ianowi mowę.

– Próżna? Niepoważna? Mdła? Płytką? – wysyczał kolejne słowa, jakby były strzałkami rzucanymi w tarczę. Stanhope mrugał ze zdziwienia przy każdym z nich. – Przeglądałeś się ostatnio w lustrze, Stanhope?

– Ha, ha! – roześmiał się lord. Śmiał się nieprzyzwoicie długo. – Naprawdę, Eversea! Dowcipny jesteś. Ale faktycznie jest piękna – zauważył. – Z chęcią ją ujeżdżę, a nasze dzieci będą niezwykle piękne, nie sądzisz?

– Czy właśnie powiedziałaś, że... z chęcią ujeżdżisz pannę Danforth?

– Tak.

– Z chęcią... ją... ujeżdżisz – powtórzył Ian powoli, beznamyślnie. Jakby uczył się nowego słownictwa.

Przed oczyma zaczęły mu latać mroczki.

– Bo co? – Stanhope był tym razem nieco zdezorientowany.

– Chociaż sądzisz, że jest próżna, niepoważna, mdła i płytka? Czy tak? – powiedział, jakby próbował zarejestrować słowa przyszłego księcia dla potomności. Jakby chciał je dokładnie zrozumieć.

– No, tak – pośpiesznie zapewnił go Stanhope. – Ale przecież większość kobiet taka jest. Nasze drogie kobiety. Co byśmy bez nich zrobili, prawda, Eversea? – Spojrzał po sali na te wszystkie damy, które, zważając

na jego tytuł, z łatwością mógł mieć. – A wiem, że ty się bez nich nie obejdiesz.

Ian wpatrywał się w niego w sposób, w jaki patrzyłby na kobrę, którą planował zastrzelić.

Patrzył tak przez dłuższy czas.

Bez mrugnięcia.

Stanhope zerknął na niego, zaczął odwracać się w kierunku sali balowej, a potem wzdrygnął się, gdy zauważył spojrzenie Iana.

– Zaczynam się martwić o ciebie, Eversea. Nawet nie mrugnąłeś. Jesteś trochę za młody na apopleksję, czyż nie?

– Powinieneś zacząć się martwić o siebie, Stanhope – powiedział uprzejmie Ian.

Stanhope spojrział w dół i dostrzegł, że dłonie Iana są zaciśnięte w pięści. Gotowe spotkać się ze szczęką młodego lorda.

– Czy myślałeś, że... Och, nie miałem zamiaru nikogo obrazić. To wspaniała dziewczyna. Cudowna. Myślałem, że jasno się wyraziłem. – Skinął krótko. Najwyraźniej uważał, iż to załatwia sprawę.

– To wszystko, co masz do powiedzenia? Że to wspaniała dziewczyna?

Teraz Ian już krzyczał.

Rozmowy ucichły, gdy ludzie zaczęli wyciągać szyje, aby się przysłuchać.

Stanhope był wyraźnie zdumiony i nerwowo przestępował z nogi na nogę

– Jakim doskonalszym komplementem mógłbym ją obdarować? O czym można jeszcze powiedzieć?

– O czym można jeszcze powiedzieć? O CZYM MOŻNA JESZCZE POWIEDZIEĆ! – Ian z trudem od-

dychał i mówił chrapliwie. – Ona... przeprasza kwiaty. Rozmawia z gwiazdami. Doskonale skręca papierosy. Przejmuje się losem służących. Pachnie jak łąka. Strzeła jak wyborowy strzelec. Jeździ konno jak centaur. Rozśmieszenie jej to jak... wygranie tysiąca pucharów w zawodach strzeleckich. I co ty na to, ty nadęty, rżący, irytujący dupku?

Jak przez mgłę dochodziło do niego, że brzmiał, jakby mówił w obcych językach, wyciągał nielogiczne wnioski. Że żywo gestykulował, może nawet groził. Że Stanhope wpatrywał się w niego rozszerzonymi oczami i że jasność, jaką zauważył wokół siebie, mogła pochodzić z wytrzeszczonych dziesiątek par oczu.

Nie przejmował się tym. W jego umyśle zaczęły się tłoczyć wspomnienia Tansy, jak połączone sny, których nie mógł przerwać. Każdy obraz był niezmiernie istotny, mimo to żaden z nich nie był wystarczający. Żaden nie oddawał w pełni czaru dziewczyny.

Stanhope zrobił kolejny krok do tyłu.

– Yyy... czy ci wychodzą na wierzch, Eversea...

– Jej rozum może zawstydzić niejednego mężczyznę. Jest... o Boże, jest szlachetna. Wybacz więcej, niż powinna. I jest życzliwsza, odważniejsza, mądrzejsza i bardziej lojalna niż ty kiedykolwiek będziesz, bezwartościowy, jęczący, wymuskany głupcze...

Zamilkł, kiedy doszło do niego, że mają całkiem dużą widownię.

Milcząca.

Słuchając w skupieniu.

– Ach, ci Eversea – mruknął ktoś z rezygnacją.

– Co za szkoda, że syfilis zaatakował jego mózg – szepnął inny. – To pewnie dlatego.

– Nie postradałem rozumu! – powiedział odrobinę za głośno. A po chwili dodał: – I nie mam syfilisu!

Postradał rozum?

I do końca życia będzie żałował, że wykrzyczał: „Nie mam syfilisu!”, w zatłoczonej sali balowej?

Jego bracia nigdy, przenigdy mu tego nie wybaczą. Cisza, która zaległa, zwiastowała katastrofę.

Młody Stanhope podszedł do niego i powiedział cicho:

– Kapitanie Eversea, może warto udać się na spoczynek? Zapomnę o zniewadze, jeśli usłyszę przeprosiny. Ona i tak wystarczająco ogłupia umysły mężczyzn. Tylko spójrz na nią w tej sukni. Wygląda jak anioł.

Ian omal nie westchnął.

Jak cudownie byłoby go zastrzelić, pomyślał leniwie. Jak łatwo byłoby powiedzieć: „Wybierz swoich sekundantów”. Zabiłby go. Co do tego nie miał wątpliwości. Ale jego jedyną wadą było to, że nigdy nie musiał kształtować swojego charakteru i prawdopodobnie nigdy nie będzie musiał. Stanhope był najważniejszą rzeczą w świecie Stanhope’a i z tej perspektywy przestrzegał wszystko i wszystkich.

A mimo to był wystarczająco dobrze wychowany, aby wybaczyć Ianowi to co było niemal nie do zniesienia.

Ian powiódł wzrokiem po gościach i dostrzegł duże niebieskoszare oczy. I natychmiast poczuł ją w każdym zakątku swojego ciała.

Pod jej spojrzeniem jego kolana się ugięły.

Jednak gdyby zabił młodego dziedzica, zniszczyłby reputację Tansy i jej przyszłość, nie wspominając o swojej.

Przyjrzał się innym oczom. Genevieve wpatrywała się w niego z rumieńcami na twarzy pełnej niedowierzania.

Lekko pokręciła głową.

Falconbridge również na niego patrzył.

Ian wytrzymał jego spojrzenie. Sądził, że zobaczy w nim morderczy błysk, ale niczego takiego nie dostrzegł. W zasadzie w ogóle nie potrafił czytać z twarzy księcia.

Przez chwilę mężczyzna intensywnie się w niego wpatrywał. Hardo. Bez cienia współczucia.

I nagle Ian zrozumiał, co musi zrobić.

Wszystko stało się jasne, niemal boleśnie jasne, jakby rankiem, gdy miał najgorszego w życiu kaca, ktoś rozsunał zasłony.

A po chwili wszystko stało się ekscytujące. I bardzo, bardzo łatwe.

Ale po kolei.

– Przepraszam, Stanhope.

Obrócił się na pięcie i wyszedł z sali balowej. Nigdy nie zapomni stukotu swoich butów, roznoszącego się po drewnianej podłodze, gdy wszyscy odprowadzali go wzrokiem.

– Szaleństwo. To wszystko wina szaleństwa. Wiesz, jacy potrafią być starzy żołnierze. A ty każdego potrafisz doprowadzić do szaleństwa. Jesteś niezwykle czarująca, moja droga.

Zaczął zwracać się do niej „moja droga” i za każdym razem, kiedy Tansy słyszała to „moja”, miała ochotę pacnąć go, czego z pewnością nie powinna czuć do osoby, która ma się jej podobno oświadczyć.

- Nie jest stary – powiedziała stanowczo.
- Starszy – odrzekł łagodnie Stanhope, wyraźnie nią rozbawiony.

Świadomość, że wkrótce jej się oświadczy, napawała ją pewnym spokojem. Trudne lata pełne zmian dobiegają końca. Życie znów nabierze stałości, której jej brakowało. Będzie miała męża, z którym sobie poradzi. Uzyska dostęp do majątku rodziców. Nigdy niczego jej nie zabraknie. Jeszcze nie próbował jej pocałować, ale wiedziała, dzięki tańcom, że pachniał głównie krochmalem. Nieoczekiwanie zaczęła mieć poważne problemy, żeby wyobrazić go sobie nagiego lub puszczającego wiatry, lub krzyczącego rankiem.

I całującego ją.

I kochającego się z nią.

Po wybuchu Iana wieczór trwał w najlepsze. Nie minęła chwila, a wznowiono przerwane rozmowy. Goście pili i tańczyli, aż większość z nich zapomniała o całym zajściu.

Wiedziała, że Ian opuścił bal. Była pewna, że nie znajdzie go w sali, tak samo jakby była pewna, gdyby słońce nagle zniknęło z nieba.

Została. Na jakiś czas.

Prowadziła rozmowy i tańczyła, i przyjmowała i odpowiadała na komplementy, ale nie mogła przypomnieć sobie niczego, kiedy wróciła do swojego pokoju. Wymówiła się bólem głowy i pozwoliła Stanhope'owi uwierzyć, że to wina nerwów.

A kiedy znów znalazła się w pokoju, oparła policzek o ścianę, jakby mogła przez nią usłyszeć bicie jego serca.

Jutro Ian wypływa. A przynajmniej tak słyszała.

W ogóle nie spała.

Poszła świetlną drogą do okna, ale nie było go na balkonie.

Więc usiadła przy biurku i po raz ostatni wyjęła swoją listę wymagań.

Stanowczo wykreśliła „nieskazitelną postawę moralną” i starannie – małymi i równymi literami, jeszcze mniejszymi niż dotychczas, ponieważ kończyło jej się miejsce – napisała coś innego.

Zniecierpliwna dmuchnęła na kartkę, chcąc, żeby atrament wysechł.

Po chwili na papier spłynęła łza. Musiała ostrożnie ją usunąć, co wydłużyło oczekiwanie i ją zirytowało.

Po chwili chwyciła kartkę i ruszyła korytarzem do gabinetu, gdzie księżę Falconbridge lubił prowadzić interesy.

Zdecydowanie zastukała do drzwi. Głośniejsz niż zamierzała.

– Proszę – zawołał.

Podniósł wzrok i zaczął wstawać od biurka.

– Titania. – Był zaskoczony.

Dygnęła, ale nie traciła czasu na pozostałe konwencje.

– To moja aktualna lista, Wasza Księżęca Mość.

Ostrożnie wziął od niej kartkę. Domyślała się, że lista zaczęła wyglądać nieco podejrzanie.

– Widzę, że się trochę rozwinęła.

– Podobnie jak ja.

Poczuła satysfakcję, gdy zobaczyła, że księżę zamrugał ze zdziwienia.

Odwróciła się i wyszła, nie czekając, aż ją odprawi.

Spojrzenie Falconbridge'a powędrowało do najnowszego podpunktu:

*Broni mnie w zatłoczonej sali balowej, ryzykując własną godność, ponieważ zna mnie lepiej i kocha bardziej niż ktokolwiek inny, nawet jeśli jeszcze nie może się do tego przyznać.*

## 26

**D**ochodziła ósma rano. Ian nie spał od czterech godzin, co było nie lada osiągnięciem, które zaskoczyłoby wiele osób.

Ruszył do pokoju, którego Falconbridge używał podczas swojego pobytu jako gabinetu.

Drzwi wciąż były zamknięte. Zegar nie wybił jeszcze pełnej godziny.

– Co słyhać, Stanhope?

Stanhope siedział w fotelu przed gabinetem księcia i nerwowo kiwał nogą.

– Eversea. – Skoczył na równe nogi i chwiejnym krokiem cofnął się kilka kroków.

Wyglądał na zdenerwowanego. Mógł być. I to z wielu powodów.

– Jeszcze raz przepraszam za wczoraj, stary. – Ian spokojnym głosem wyraził skruchę. – Wypiłem trochę za dużo. Wiesz, jak to jest, kiedy pracuje się tyle co ja...

Był stuprocentowo przekonany, że Stanhope nie przepracował ani dnia.

– Oczywiście, oczywiście.



– Zdenerwowany? – Ian uśmiechnął się zagadkowo.  
– Ależ naturalnie. Mam zamiar poprosić o rękę panny Danforth. – Pozieleniał z nerwów.

Zaczął krążyć w tę i z powrotem.

Ian zagwizdał cicho i przeciągle.

– Małżeństwo jest na zawsze.

– Ach, tak? Wiem. „Na zawsze” to długi czas.

– Istotnie. Istotnie. Posłuchaj, mam ci przekazać, że ksiązę czeka na ciebie na plebanii. Pojechał tam w interesach związanych z parafią i coś go tknęło, że chciałby się tam z tobą spotkać.

– Na plebanii? – Stanhope był zdezorientowany. – Na plebanii Pennyroyal Green? Byłem pewien, że chciał porozmawiać ze mną tutaj.

– Chyba uznał, że plebania lepiej odda doniosłość chwili – płynnie improwizował Ian. – Przyda świętości.

– Ach, oczywiście, oczywiście. Rozumiem. W takim razie dziękuję za przekazanie wiadomości, Eversea. Nie żywisz urazy za wczorajszy wieczór?

– Ani trochę. – Ian się uśmiechnął.

Stanhope zerknął niepewnie na drzwi gabinetu.

A potem w kierunku klatki schodowej.

– Lepiej się pośpiesz. Ksiązę nie lubi spóźnień. Uważa je za słabość charakteru.

– Na szczęście mam nowego konia.

– Na szczęście – powiedział Ian z ulgą.

– Życzę dobrego dnia, Eversea, i dziękuję.

Minął go, wkładając kapelusz na głowę.

– Dziękuję, Stanhope.

Ian usiadł w fotelu, żeby zaczekać. Dłoń położył na pistolecie ukrytym w kieszeni.

Nastrój księcia popsuł się, kiedy rano otworzył wiadomość od prawnika odpowiedzialnego za sprzedaż Lilymont. Posiadłość sprzedano z samego rana.

Do diaska! Wiedział, że Genevieve zniesie rozczarowanie, ale księżę niczego bardziej nie nienawidził niż rozczarowywania jej.

Stwierdziwszy, że Stanhope wystarczająco długo kisi się we własnym sosie, księżę wezwał go do siebie.

– Proszę – zawołał zirytowany. Może rozmowa z młodzieńcem poprawi mu nastrój.

Tymczasem do gabinetu wszedł gładko ogolony, nienagannie ubrany, blady jak prześcieradło Ian Eversea.

W jednej ręce ścisnął kapelusz, w drugiej – pistolet. Zrobił kilka kroków i położył broń na biurku.

– Chciałbym, żebyś mógł podjąć przemyślaną decyzję, Falconbridge, po tym, jak mnie wysłuchasz. Raz na zawsze rozwiążemy sprawy między nami. A jeśli będziesz chciał mnie zabić, chciałbym, żebyś miał taką szansę.

Księżę wpatrywał się w niego. Ian miał satysfakcję, widząc, że przynajmniej trochę go zaskoczył.

Mroczne rozbawienie zagościło na twarzy księcia. Potem lekko skinął głową.

– Oczywiście. Co mogę dla ciebie zrobić, Eversea? – Jego ton nie był, delikatnie mówiąc, przyjazny.

– Przyszedłem porozmawiać o panie Danforth. Zaległa cisza.

Ian domyślał się, że takiej ciszy człowiek mógł doświadczyć, zanim gilotyna spadła mu na szyję.

– O czym konkretnie? – Ton księcia był tylko pozornie swobodny. Przeciągał samogłoski. W ten sposób Falconbridge go ostrzegał. Jego spojrzenie pobiegło w kierunku pistoletu.

– Umarłbym dla niej – powiedział zwyczajnie Ian. Rozpoczęcie rozmowy tak bezpośrednio było dobre jak każde inne.

Księżę zamrugał ze zdziwienia.

Ian nie czekał, aż Falconbridge się odezwie.

– Ale nigdy do tego nie dojdzie, ponieważ bardziej niż ktokolwiek inny jestem uprawniony, by zapewnić jej bezpieczeństwo do końca jej dni. Ponieważ kocham ją. I ją znam. Znam jej serce. Nikt nigdy nie pokocha jej bardziej. Do końca swoich dni będę dążył, aby zasłużyć na nią.

Księżę zaczął leniwie stukać palcami o biurko.

Milczał. Nawet nie mrugnął.

– Wiem, że masz powód, aby mną pogardzać, Falconbridge. Wiem, że masz powód, aby wątpić w mój honor. Przeprasiny za moje przeszłe występki wobec ciebie wydadzą się w tej chwili wyrachowane. Ale przepraszam. Wtedy kierowała mną motywacja, której dziś sam nie rozumiem. Ale lekkomyślna noc nie powinna definiować człowieka na zawsze. Jeśli możesz spojrzeć mi w oczy i powiedzieć, że twoja dusza jest bez skazy, wyjdę natychmiast. A jeśli możesz mi spojrzeć w oczy i powiedzieć, że nie zasługuję na szczęście, też wyjdę natychmiast. I jeśli naprawdę wierzysz, że nie mogę uszczęśliwić Tansy, wyjdę natychmiast. Nie wiem, czy mnie kocha, ale ja ją kocham. I umarłbym dla niej.

Księżę słuchał go z miną pokerzysty. Cisza była namacalna. Krucha jak szkło.

– Sądziłem, że wyptywasz, Eversea – powiedział księżę w zamyśleniu. – W podróż dookoła świata.

– Ona jest światem. Jest całym moim światem.

Błysk pojawił się w oczach księcia.

- A co z twoimi oszczędnościami?
- Chyba domyślasz się, co z nimi zrobiłem.

Książę zaśmiał się krótko. Był pozytywnie zaskoczony.

– Niech i tak będzie. Czego ode mnie chcesz? – Głos księcia był odrobinę roztargniony. Brzmiał, jakby rzeczywiście był tym zdumiony.

- Przyszedłem, aby poprosić cię o jej rękę.

Zaległa długa i bolesna cisza, jakby czas się rozciągnął. Ian przez chwilę martwił się, że przyprawił księcia o apopleksję i na dodatek będzie miał na sumieniu jego życie.

Wtedy książę powoli wstał.

Ian ani drgnął.

Książę nieśpiesznie obszedł biurko. Nie przypominał myśliwego podchodzącego zwierzynę. W jego ruchach była raczej rozwaga. Jakby dał sobie czas na zmianę zdania.

Ian ucieszył się, że mężczyzna nie chwycił za pistolet.

Stanął dokładnie naprzeciw Iana, oko w oko.

Ian nie cofnął się. Nie podobała mu się świadomość, że mógłby policzyć rzęsy swojego szwagra, gdyby chciał, ale nawet nie mrugnął.

Dlatego zajęło mu chwilę, zanim uświadomił sobie, że książę trzyma coś w ręku.

Ostatnim razem, gdy książę skierował w niego rękę, trzymał w niej pistolet.

Tym razem trzymał coś, co wyglądało na kartkę.

– Titania przyniosła mi to dziś rano. To lista jej wymagań co do przyszłego męża. Stwierdziła, że... mogłaby mi się przydać.

Podał kartkę Ianowi. Polecił mu ją wziąć, unosząc jedną brew.

Ian spojrział na niego sceptycznie.

I po chwili ostrożnie wziął kartkę. Księżę zachęcił go skinieniem głowy do czytania.

Schylił głowę. Zakłuło go w sercu, gdy zobaczył jej odciski palców na papierze. Niektóre słowa były rozmazane, zapewne przez łzy, ale wystarczająco czytelne. Zaczął czytać, aż doszedł do końca. Tam, gdzie kartka była nieco zmięta.

Ręce mu drżały.

Spojrział na księcia.

– Chyba można powiedzieć, że ona cię kocha, Eversea. – Księżę miał głos nieco zrezygnowany. Ale, co zaskakujące, łagodny. Nawet rozbawiony.

Ian uświadomił sobie, że z trudem oddycha.

– A co z naszymi sprawami? – spytał wreszcie.

Chwila wahania.

– Jesteśmy kwita.

Ian skinął krótko.

– Rozumiem. Moje życie jest znów w twoich rękach, Falconbridge. Co z nim zrobisz tym razem?

– Tansy, co powiesz na przejażdżkę?

Tansy podskoczyła. Genevieve była pierwszą osobą, którą dziś rano usłyszała. Tansy ubrała się sama i wypła filiżankę herbaty w swoim pokoju. Poskubała babeczkę od pani deWitt na drobne kawałeczki, które leżały nietknięte na talerzu. Potem czekała nerwowo, niczym więzień na egzekucję. Nie tak powinna witać dzień, w którym prawdopodobnie się zaręczy.

– Ale... – Nagle nie miała żadnej wymówki. I wyjście z domu wydawało jej się lepsze niż przebywanie w nim. A ruch był lepszy niż nicnierobienie.

Ruch. Ian pewnie był w drodze do Londynu. Może nawet stał już na pokładzie.

Genevieve wzięła Tansy pod ramię i pociągnęła za sobą.

– Chodź. Dzisiaj jest cudowny dzień na przejażdżkę. Może nawet przełomowy.

Bez entuzjazmu obserwowała przez okno przesuający się krajobraz Pennyroyal Green.

Genevieve wskazywała kolejne atrakcje.

– Spójrz na te dwa splecione dęby na placu! Jest o nich legenda, wiesz?

Tansy to nie interesowało.

– Czyż plebania nie wygląda wspaniale po remoncie?

– Spójrz na akademię panny Marietty Endicott. Dobudowali skrzydło, odkąd wyjechałaś. Pamiętasz?

Dla spokoju pokręciła głową. Pamiętała ją jak przez mgłę. Po prostu nie chciała o tym rozmawiać.

– A teraz mijamy dom rodziny O’Flahertych. Znacznie lepiej wygląda. Wyremontowali dach i ogrodzenie.

Kim była rodzina O’Flahertych? I dlaczego miałyby interesować się ich nowym ogrodzeniem?

Zastanawiała się, gdzie na Boga jechały. Zaczęła podejrzewać, że przejażdżka miała nie tyle uspokoić jej nerwy, ile być środkiem do osiągnięcia konkretnego celu podróży.

Tansy wyprostowała się, kiedy krajobraz zaczął wyglądać trochę bardziej znajomo. Coś w linii skał po lewej stronie... lekkim wzniesieniu i łuku drogi...

Ciarki zaczęły jej chodzić po plecach.

– Gdzie jedziemy, Gen...

Wstrzymała oddech, kiedy jej oczom ukazał się dom.

– No i popatrz. Jesteśmy w Lilymont – niepotrzebnie poinformowała Genevieve. – Uświadomiłam sobie, że nie widziałas go od dzieciństwa.

– To prawda – wydusiła Tansy.

Służący pomógł jej wysiąść z powozu i instynktownie zaczęła iść w kierunku domu. Dom wyglądał tak samo, choć przydałoby mu się trochę farby i odchwasczenia. Kamienne ściany wciąż lśniły bursztynową poświatą w porannym słońcu. Okna błyszcząły niczym uśmiechnięte oczy i prawie mogła sobie wyobrazić, jak ośmioletnia Tansy i jej brat spoglądają na nią z jednego z nich.

Genevieve nie odezwała się słowem. Została przy powozie.

– Popatrz, brama do ogrodu jest otwarta – zauważyła.

Drewniana brama była lekko uchylona. Jakby oczekiwała na ich przybycie.

– Miałabyś coś przeciwko? – Tansy zwróciła się z przejściem do Genevieve. – Możemy?

– Tak! Chodźmy... Och! Zostawiłam w powozie rękawiczkę... idź śmiało, Tansy. Zaraz do ciebie dołączę. Wiem, że nie możesz się doczekać, żeby zobaczyć ogród.

Tansy lekko popchnęła bramę i zastygła.

Jej dzieciństwo wróciło do niej tak szybko, że aż zakręciło jej się w głowie. Wszystko się rozrosło, ale ścieżka wciąż tam była, choć niewyraźna przez porastającą ją kępki trawy. Jej ukochane drzewa też były. Bluszcz wciąż pokrywał mury. A w ogrodzie stał mężczyzna.

W ogrodzie stał mężczyzna!

– Ian – szepnęła zaskoczona.

Przycisnęła dłoń do piersi. Wstrzymała oddech. Serce podeszło jej do gardła.

Przez długą chwilę milczał. Wpatrywali się w siebie, jakby nigdy wcześniej nie widzieli drugiego człowieka.

– Czy ja śnię? – powiedziała wreszcie cicho.

– Nie.

Podskoczyła i odwróciła się, gdy usłyszała charakterystyczny dźwięk odjeżdżającego szybko powozu. Instynktownie zrobiła krok w kierunku bramy. I zastygła w bezruchu. I znów się odwróciła.

Jego serce łomotało.

– Proszę, nie odchodź, zanim mnie nie wysłuchasz, Tansy.

– No cóż, nie mogę odejść – przytomnie zauważyła. – Chyba zostałam tu porzucona.

Uśmiechnął się.

Odwróciła wzrok, ponieważ jego uśmiech był zbyt piękny, aby go znieść.

I zaczęła niespokojnie spacerować.

Jak przez mgłę słyszała własne kroki i śpiew ptaków, kiedy przechadzała się ze zdumieniem po zarośniętym ogrodzie. Dotknęła kwiatu. I kolejnego. Wyciągnęła rękę i z czułością przesunęła palcami po ciepłym murze ogrodu. Powoli stawiała krok za krokiem. Mimo to nie mogła spojrzeć na niego. Nie odważyła się. Jeszcze nie.

Co jeśli to był tylko sen? Łzy zaczęły zbierać się w kącikach jej oczu. Mieć wszystko, czego się pragnie, i się obudzić. To byłoby okrutne.



Ale nie była tchórzem, więc przystanęła i się odwróciła.  
Na widok jego twarzy kolana się pod nią ugięły.

– Dlaczego tu jesteśmy, Ianie? Nie powinienes przygotowywać się do wypłynięcia?

– Po pierwsze chcę, żebyś wiedziała, że Lilymont jest twoje. Należy tylko do ciebie. Jeśli tego chcesz. Bez względu na to, na jaką przyszłość się zdecydujesz.

Ścisnęło ją w sercu.

– Kupiłeś ten dom... dla mnie?

– Kupiłem ten dom dla nas, ale jeśli nie może być nas, należy wyłącznie do ciebie.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

– Nie roz...

– Kocham cię – powiedział niemal ze zniecierpliwieniem.

Wypowiedział te słowa, jakby strzelał z muszkietu.

Wydawało się, że czas się zatrzymał. Ptaki zamilkły.

Jego słowa rozniosły się echem po cichym ogrodzie.

Magiczne słowa: zaczęła czuć je w każdym zakątku swojego ciała, niczym małe świece zapalone jedna po drugiej w kolejnych komórkach. I nagle przestała czuć kończyny i ziemię. Nie byłaby zaskoczona, gdyby zobaczyła pod pantofelkami chmurę.

– Co powiedziałeś? – szepnęła, tylko dlatego, że chciała usłyszeć to ponownie.

– Kocham cię. Kocham cię. Tak bardzo, że sam się dziwię, jak udało mi się tak długo żyć bez ciebie. Kiedyś myślałem, że muszę być w ciągłym ruchu, ciągle szukać, zbadać każdy zakątek świata, aby odnaleźć spokój. Ale... Tansy... ty jesteś moim światem. Ty jesteś moim domem i moim spokojem, chociaż, jak na ironię, odkąd

cię poznałem, nie zaznałem ani chwili spokoju. I to mi się podoba. I gdybyś zrobiła mi zaszczyt i została moją żoną, zawsze będę cię kochał mocniej niż ktokolwiek na świecie, dopóki nie pojawią się nasze dzieci, a wtedy będę was wszystkich kochał z całego serca. Poświęcę resztę swoich dni, robiąc wszystko, co potrafię, żeby cię uszczęśliwić. Musisz wziąć ze mną ślub, chyba że chcesz, abym umarł. Zgodzisz się?

Nie mogła nic powiedzieć. Chciała zapamiętać jego piękną twarz i to, jak światło i cień na niej grały, żeby do końca swoich dni mogła rozkoszować się tym wspomnieniem.

– To była piękna mowa, Ianie – powiedziała wreszcie.

– Dziękuję.

Wyglądał na spłoszonego.

– Znacznie lepsza niż ta, którą wygłosiłeś na balu.

– Dziękuję – powiedział ponownie z wyczuwalnym napięciem.

Chyba nie powinna się z nim teraz przekomarzać.

– A jeśli powiem, że cię nie kocham?

– Powiedziałbym, że kłamiesz – odparł i teatralnym gestem wyjął listę. Pomachał nią przed jej twarzą.

Wpatrywała się w kartkę z otwartymi ustami.

Zaczęła się czerwienić...

– Dał mi ją Falconbridge. Mam jego błogosławieństwo. Więc równie dobrze możesz to powiedzieć, Tansy.

Wzięła głęboki oddech i ujęła jego dłoń.

Lekko drżał, podobnie jak ona.

Gdy go dotknęła, natychmiast przyciągnął ją do siebie. Do bezpiecznego ciepła swojego ciała. Wziął ją

w ramiona. Przesunął dłońmi po jej plecach, jakby chciał upewnić się, że jest prawdziwa i że jest jego.

– Powiedz to – poprosił.

– Kocham cię – szepnęła. – Będę zaszczycona, zostając twoją żoną. I sądzę, że moje imię będzie miało sens tylko wtedy, gdy nastąpi po nim nazwisko Eversea.

Pocałował ją, żeby przypieczętować tę obietnicę. Ten łagodny, nieśpieszny i głęboki pocałunek połączył ich dusze.

Kiedy odsunął usta od jej ust i oparł czoło o jej czoło, szepnęła:

– Chyba zobaczyłam gwiazdy.

– Oczywiście, że zobaczyłaś. I dopilnuję, żebyś widziała je za każdym razem.

Ian uzyskał specjalne pozwolenie, żeby mogli wziąć ślub wiosną na skromnej leśnej polanie, która nie miała do zaoferowania nic poza bujnie rosnącymi polnymi kwiatami, przybyszami z Ameryki. Ian swego czasu sprawdził informacje w książce i zasadził jeszcze więcej kwiatów, żeby zrobić niespodziankę Tansy.

Dzięki czemu Tansy miała wrażenie, że jej rodzice im towarzyszą.

Tłum mieszkańców miasta, niezliczeni Eversea, Sylvaine'owie i służący zebrali się, żeby towarzyszyć im w tej chwili. Wielebny Adam Sylvaine udzielał ślubu i nawet on musiał robić przerwy, aby podejrzanie odchrząknąć.

Wszyscy ronili łzy, choć z różnych powodów.

Naprawdę, mówili wielkoduszni, to szlachetne ze strony Iana Eversea, że usunął pannę Danforth z życia

towarzyskiego, jako że spowodowała tymczasowe szaleństwo.

A każdemu mężczyźnie, który zachował się jak głupiec, wybaczone. W końcu Ian Eversea zrobił z siebie największego głupca i wygrał równowartość, jak to, legendarnie już, ujął, tysiąca pucharów zawodów strzeleckich.

– Piękna sceneria, nie sądzisz? Jakie zaskakująco kolorowe kwiaty. Co za śliczny dzień na ślub. Taki ciepły i słoneczny. Czyż nie wyglądała pięknie? Nigdy nie pomyślałabym, że nadejdzie dzień, kiedy Ian da się zakuć w kajdany. Nawet przyjął awans w Kompanii Wschodnioindyjskiej, więc przez część czasu będzie przebywał w Londynie. Ona jest z całą pewnością pełna życia. Nie będzie się z nią nudził.

Olivia była zdenerwowana. Paplała bez ładu i składu, a przecież nigdy nie paplała, a już na pewno nie bez ładu i składu. Landsdowne był niezwykle małomówny, przepełniały go różne rodzaje ciszy: cisza zatroskania, cisza oczekiwania. Albo powie jej, że z nimi koniec, że to nie ma sensu, albo...

– Chyba zanosz się na deszcz...

– Olivio...

Zamilkła. I wzięła głęboki wdech.

– Wiem, że mnie nie kochasz – powiedział.

Omam się nie zakrztusiła z zaskoczenia.

– Ja...

Zaoszczędził jej kłopotu.

– Lecz sądzę, że pewnego dnia pokochasz. A do tego czasu z przyjemnością poświęcę swoje życie na uszczęśliwianie cię. Ponieważ twoje szczęście jest moim.

– Och... – Teraz już zupełnie nie mogła oddychać.  
Przystanął i spojrzął na nią.

– Olivio... moja droga, piękna Olivio... zrobisz mi zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Wpatrywała się w niego, jakby po raz pierwszy go zobaczyła. Zakryła twarz dłońmi. Po chwili ją odkryła.

Spodziewała się, że kiedyś może to nastąpić.

Spojrzała na Landsdowne'a.

Stał się jej drogi, a może się do niego przyzwyczaiła, choć czasami te dwie rzeczy były jednym i tym samym.

Tak sobie powtarzała.

Ale nie była pewna.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie miała tę pewność.

To tylko jedno słowo, pomyślała. Słowo, które zmieni jej całą przyszłość. Słowo, które zdecyduje, czy ma przyszłość. Musiała tylko otworzyć usta i je wypowiedzieć.

To proste jak rzut monetą, powiedziała sobie.

Jej serce waliło jak pięść uderzająca w ścianę.

– Tak – powiedziała cicho.

Czuła ciężar tego słowa. Było jak pomnik.

Lub grobowiec.

Landsdowne zamknął oczy i powiedział bezgłośnie: alleluja.

Wziął długi, drżący oddech. Jego twarz promieniała szczęściem.

I wreszcie poczuła, że może kogoś niezwykle uszczęśliwić. Było to bliskie radości, którą dawno temu czuła. I może któregoś dnia nie będzie żadnej różnicy.

– Chciałbym cię teraz pocałować – powiedział.

– Również bym tego chciała.

Odkryła, że to prawda.

Wziął ją w ramiona.

W tej chwili poczuła się jak dziewczynka. Od bardzo dawna się nie całowała. A jeśli malutki zakamarek jej serca, gdzie przechowywała wspomnienia, zawył „zdrada”, zignorowała go. Lyona z nią nie było, w przeciwieństwie do Landsdowne’a, a ona wciąż była młoda.

Senni, wyczerpani i szczęśliwsi niż jakakolwiek inna para na ziemi, jak to zdecydowanie oświadczył Ian, leżeli wtuleni w siebie, odpoczywając po czwartej miłosnej rundzie w swoim nowym domu.

– Chciałem ci coś dać, kiedy będziemy sami, Tansy. Zamknij oczy i daj rękę.

– Bardzo zabawne, Ianie. Jest tak duży, że będę musiała wyciągnąć dwie dłonie.

Roześmiał się.

– Po prostu zrób to.

Zamknęła oczy i podała jej coś, co w dotyku przypominało delikatny łańcuszek.

– Otwórz oczy.

Spojrzała na lśniące złoto. Wsunęła palec pod łańcuszek i uniosła go.

Był to naszyjnik.

Zwisała z niego mała złota gwiazdka.

Poczuł satysfakcję, gdy jej oczy zaczęły lśnić od łez, a po chwili się roześmiała.

– Prezent! Nie do wiary, kolejny prezent od Iana Eversea!

– Odkryłem, że polubiłem je dawać.

Z zachwytem przebiegła kciukiem po prostej, pięknej gwiazdce. Nie była droga, ale idealna.

– Ma wygrawerowany napis?

– Odwróć ją, Tansy, i przeczytaj.

Odwróciła gwiazdkę i przeczytała na głos:

– „Na zawsze” – Moje ulubione słowa! – powiedziała radośnie.

– Moje też. Teraz to nasze słowa.